Wojsko w budowie • Scenariusze dla Tuska • Rozprawa na prawicy
Moda w PRL • Szał Labubu • Brudna marihuana • Wkracza matcha • Hip-chłop

POLITYKA

POLITYKA.PL

Wydanie na długi weekend

TYGODNIK, nr 33 (3527), 13.08–19.08.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA MARTA RÓŻA ŻAK

Jak Tinder zabija miłość

Prof. Tomasz Szlendak o współczesnym randkowaniu i zaniku trwałych związków

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 19.08.2025

ISSN 0032-3500

33>

9 770032 350503

eprasa.pl 3e11af7a1e

KUP TERAZ

Letnie **łamanie głowy!**

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzowe – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

eprasa.pl 3e11af7a1e

© GERARD/REPORTER

16
Armia na czas wojny

Tematy na święta

12 Prof. **Tomasz Szlendak** o tym, jak Tinder dobił miłość romantyczną
16 Marek Świerczyński **Wojsko w przebudowie**

Polityka

20 Mariusz Janicki **Siedem kół ratunkowych dla Tuska**
24 Rafał Kalukin **Wojna o prymat na prawicy**

Społeczeństwo

28 Jakub Halcewicz **Ks. Jarosław Wąsowicz: od kapelana kiboli do kapelana prezydenta**
31 Prof. UW **Stanisław Obirek** o źródłach i skutkach zatrucia chrześcijaństwa antysemityzmem
34 Violetta Krasnowska **Błędy śledztwa w sprawie zaginionej przed laty Iwony Wieczorek**
37 Wyłącz telefon i idź w las, zachęcają **Joanna** i **Łukasz Długowscy**, miłośnicy przyrody i organizatorzy wypraw
40 Paweł Walewski **Miejskie tężnie – wylęgarnie groźnych bakterii**

Rynek

43 Adam Grzeszak **Jak Trump żongluje cłami**
46 Joanna Solska **Gorzko o cukrze**

Świat

48 Artur Domosławski **Głód – bomba z opóźnionym zapłonem**
52 Paulina Wilk JAPONIA **Zadziwiająca kariera matchy**
55 Jędrzej Winiecki **Król laleczki Labubu**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Marta Alicja Trzeciak **Trawka bardziej truje**
61 Olaf Szewczyk **Kosmiczne kłopoty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego**

Historia

64 Kto i w co ubierał Polki po drugiej wojnie, opowiada **Katarzyna Jasiołek**, autorka książki „Dom Mody Telimena"
68 Violetta Wiernicka **Hemofilia – przekleństwo europejskich rodów panujących**

Esej

71 Adam Krzemiński PODRÓŻE Z POLITYKĄ **Odpryski Prus**

Kultura

78 Jakub Demiańczuk **Nowa „Naga broń", czyli o powrocie parodii**
82 Zbigniew Borek **Jak z Domu Józefa Mehoffera znikają obrazy**
86 Łukasz Krajnik **Hiphopowa chłopomania**

Ludzie i style

94–97
- **Scytyjskie tatuaże**
- **Wirale o Karolu**
- **Kebsy i turasy**
- **Kraina świstaków**
- **Warzywny afrodyzjak**

Stałe rubryki

- **6** Przypisy • **7** Ludzie i wydarzenia
- **33**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **74** Afisz • **89** Lis • **90** Sulej
- **91** Hartman • **92** Mizerski
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury.

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

eprasa.pl 3e11af7a1e

4,6/5

Albatros travel

4,6/5

NOWOŚĆ

USA w rytmie jazzu i country

Poznaj czar południowych stanów Ameryki – od Atlanty po Nowy Orlean, odwiedź Nashville – stolicę muzyki country i Memphis – miasto rodzinne Elvisa Presleya.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Atlanty. **Dz. 2** Atlanta. Zwiedzanie miasta, Stately Oaks oraz Muzeum Road to Tara. **Dz. 3** Atlanta – Montgomery – Birmingham. Zwiedzanie Montgomery. **Dz. 4** Birmingham – Lynchburg – Nashville. Wizyta w destylarni whisky Jack Daniel's. **Dz. 5** Nashville. Zwiedzanie miasta i Country Music Hall of Fame. **Dz. 6** Nashville – Memphis. Zwiedzanie Memphis i Sun Studios. **Dz. 7** Memphis. Graceland i czas wolny. **Dz. 8** Memphis – Clarksdale – Natchez. Muzeum Delta Blues oraz miasto Natchez. **Dz. 9** Natchez – plantacja Oak Alley – Nowy Orlean. **Dz. 10** Nowy Orlean. Spacer po zabytkowej Dzielnicy Francuskiej, jazzowy lunch i rejs po Missisipi. **Dz. 11** Nowy Orlean – Montgomery. Zakupy w centrum outletowym i czas wolny. **Dz. 12** Montgomery – Atlanta Podróż powrotna. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 23/05, 12/09 2026 | od 18.498,-

USA – od wybrzeża do wybrzeża

Fantastyczna podróż przez USA od zachodniego po wschodnie wybrzeże z mnóstwem niezapomnianych wrażeń po drodze.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Los Angeles. Przejazd do Hollywood. **Dz. 2** Los Angeles: zwiedzanie miasta i wizyta w Getty Center lub Getty Villa. **Dz. 3** Los Angeles – miasto duchów Calico – pustynia Mojave – Las Vegas. Las Vegas nocą. **Dz. 4** Las Vegas – Zapora Hoovera – Las Vegas. **Dz. 5** Las Vegas – Seligman – Williams. **Dz. 6** Williams – Grand Canyon– Kanion Antylopy – Page. **Dz. 7** Page – Monument Valley – Grand Junction. **Dz. 8** Grand Junction – Golden – Denver – Cheyenne. **Dz. 9** Cheyenne – Fort Laramie – Rapid City. Mount Rushmore i pomnik Szalonego Konia. **Dz. 10** Rapid City – Park Narodowy Badlands – Sioux Falls. **Dz. 11** Z Sioux Falls do Chicago – przez Missisipi. **Dz. 12** Chicago – Lansing. **Dz. 13** Lansing – Wodospady Niagara. Rejs po stronie kanadyjskiej. **Dz. 14** Wodospady Niagara – Williamsport. **Dz. 15** Williamsport – Kraj Amiszów – Gettysburg – Waszyngton. **Dz. 16** Waszyngton DC. Zwiedzanie i czas wolny. Waszyngton nocą. **Dz. 17** Waszyngton – Filadelfia – Nowy Jork. **Dz. 18** Nowy Jork. Zwiedzanie miasta, rejs i czas wolny. **Dz. 19** Wylot z Nowego Jorku. **Dz. 20** Przylot do Polski.

20 dni | Wylot z Warszawy 22/09 2026 | 28.998,-

albatros.pl

Warszawa,
ul. Marszałkowska 76, 8p.

rezerwacja +48 22 128 48 81

eprasa.pl 3e11af7a1e

Albatros travel

4,7/5

NOWOŚĆ

Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 23/04, 28/05 2026 | od 4.298,-

Podróż przez Namibię w rytmie natury

Fascynująca podróż przez wciąż zmieniające się krajobrazy od najwyższych wydm świata po ekscytujące safari w parku Etosha.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Namibii. **Dz. 2** Przylot do Windhoek. Zwiedzanie miasta i powitalna kolacja. **Dz. 3** Przejazd z Windhoek do Parku Narodowego Namib-Naukluft. **Dz. 4** Wizyta w Parku Narodowym Namib-Naukluft. Wydmy Sossusvlei i kanion Sesriem. **Dz. 5** Przejazd z parku Namib-Naukluft przez Zwrotnik Koziorożca do miasta Swakopmund. **Dz. 6** Swakopmund. Rejs po lagunie Walvis Bay i czas wolny. **Dz. 7** Wyjazd ze Swakopmund do regionu Damaraland. Wrak statku Zeila na Wybrzeżu Szkieletowym i Przylądek Krzyża. **Dz. 8** Przejazd do Kamanjab i wizyta w wiosce plemienia Himba. Przyjazd do P.N. Etosha i pierwsze safari. **Dz. 9** Safari w Parku Narodowym Etosha. **Dz. 10** Ostatni dzień safari w P.N. Etosha. Pożegnalna kolacja w Otjiwarongo. **Dz. 11** Przejazd z Otijwaronga do Windhoek i powrót do domu. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

12 dni | Wylot z Warszawy 22/03 2026 | 13.998,-

albatros.pl

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

rezerwacja +48 22 128 48 81

eprasa.pl 3e11af7a1e

Cuda wianki

Jerzy Baczyński

Wreszcie: dawno planowane spotkanie Trump–Putin, szansa na choćby tymczasowy rozejm w Ukrainie. Dominuje jednak lęk przed „nową Jałtą", porozumieniem Rosja–USA z pominięciem Ukrainy, a nawet Europy. Putin zapewne podsunie Trumpowi propozycje fantastycznych dealów biznesowych, dyskretnego sojuszu w rywalizacji z Chinami, skrytykuje „prowojenne" rządy unijne i – ostatecznie – może uzyskać jego „zgodę" na aneksję ćwierci Ukrainy, jej „demilitaryzację", czyli wykluczenie członkostwa w NATO, „denazyfikację", czyli dymisję Zełenskiego itd. Kraje Unii, w tym Polska, naciskały na otoczenie Trumpa, aby go dobrze przygotowano do wyjazdu na szczyt, ale na tym polega dramat dzisiejszej geopolityki, że Trump jest niesterowalny, próżny, impulsywny – trudno uwierzyć, że wymusi na Putinie jakieś ustępstwa. Nie zapowiada się przełom, raczej „Przystanek Alaska" – dla Rosji okazja na wyjście z izolacji i przegrupowanie sił przed kolejnymi atakami na Ukrainę i Zachód.

Cóż za niezwykły dla nas zbieg okoliczności, że datę pierwszego od lat szczytu amerykańsko-rosyjskiego ustalono na 15 sierpnia, dokładnie w Święto Wojska Polskiego, upamiętniające nasze historyczne zwycięstwo nad rosyjską armią imperialną. Będzie piękna defilada, po raz pierwszy z udziałem nowego prezydenta, bogaty pokaz (kupowanego) sprzętu. Według zasady: *Si vis pacem para bellum* – na Alasce rozmawiają o (jakimś) pokoju, ale my tutaj lepiej szykujmy się do wojny. A jaki jest dziś stan tej naszej gotowości bojowej? Powiedzmy: umiarkowany (raport na s. 16). Co gorsza, grozi nam konflikt między dwoma ośrodkami cywilnej władzy nad wojskiem: rządem i prezydentem. Karol Nawrocki i jego szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz są zdeklarowanymi wrogami rządu i osobiście premiera Tuska, więc wojsko stanie się zapewne ważnym obszarem prestiżowej konfrontacji. Armia potrzebowałaby ciszy i politycznego spokoju, także racjonalizacji bezsensownie rozdętych za rządów PiS planów zakupowych. Jednak po tym jak prezydent złożył projekt własnej ustawy o przywróceniu „wielkiego projektu CPK", widać już, że żadne racje i kalkulacje nie powstrzymają totalnej wojny propagandowej.

Niesamowite, że podczas inauguracji swojej prezydentury Nawrocki nie wymienił nawet Ukrainy. To zapowiada specyficzną geostrategię Karola Nawrockiego: serwilizm wobec Trumpa, autoryzowanie każdej jego decyzji w sprawie Rosji i Ukrainy – nawet wbrew oczywistym interesom Polski; opór przeciwko „remilitaryzacji" Europy. Pałac Prezydencki z dumą ogłosił, że 3 września Karol Nawrocki zostanie przyjęty na audiencji w Białym Domu, ale nie sposób sobie wyobrazić, żeby ośmielił się upomnieć o gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, skoro nie czynił tego w kraju, a „antyukraińskość" jest dziś ważnym spoiwem całej narodowej prawicy. W Zgromadzeniu Narodowym Nawrocki rzucił zresztą dziwne hasło „bilateralnego sojuszu Polski z USA"; czyżby oprócz idei polexitu zaczęła w tych politycznych rejonach kiełkować idea „suwerennej samoobrony", bez natowskich zobowiązań (np. do obrony krajów bałtyckich), bez wikłania się we współpracę z Berlinem, Paryżem, Brukselą? Z niezłomną wiarą w nowy „cud nad Wisłą"?

Fascynacja Trumpem jest bodaj najwyraźniej widoczną na starcie cechą tej nowej prezydentury. Pierwsza para nawet strojami kopiowała Donalda i Melanię; przemówienia nowego prezydenta podrabiają retorykę Trumpa, widać też, że Karol Nawrocki udaje, że ma kompetencje takie, jak prezydent USA, a nie Polski. Stąd składane seryjnie projekty ustaw (słusznie nazywanych już „ustawkami"), dla których uchwalenia potrzebna jest większość sejmowa, zapowiedź zwołania jeszcze w sierpniu Rady Gabinetowej, gdzie będzie odgrywał rolę szefa władzy wykonawczej, bo – jak skromnie mówił o sobie podczas inauguracji – to on jest „głosem narodu polskiego". Nowa konstytucja, nad którą ma zacząć prace powołana przez Nawrockiego rada, miałaby zapewne przyklepać w Polsce zmianę ustroju na prezydencki. Już, rzecz jasna, za aprobatą nowej prawicowej większości po wyborach 2027 r. i dokładnie na kolejne wybory prezydenckie w 2030 r. To jakieś political fiction, ale właśnie taki sezon się zaczął.

Karol Nawrocki wykorzystuje specyfikę polskiej prezydentury, która nie ma realnej sprawczości, ale dzięki temu za nic nie odpowiada, może wszystkiego żądać, obiecywać dowolne cuda-wianki. Koalicja musi oczywiście absurdalne propozycje Nawrockiego (jak choćby lawinowe obniżki podatków nawet o 100 mld zł rocznie) odrzucać, ale lepiej, żeby traktowała je jako poważne wyzwanie komunikacyjne (pisze o tym Mariusz Janicki na s. 20). Trzeba szybko reagować, pokazywać fakty (z nadzieją, że jeszcze Polska nie zgłupiała), odwracać narracje i emocje (jak w sprawie wydatków z KPO, s. 7). Nawrocki w imieniu PiS rozpoczął i prowadzi już kampanię przed wyborami w 2027 r., ma szantażować i kłopotać rząd, wbijać kliny między koalicjantów, kokietować Konfederację. Jednak, pozując na polskiego Trumpa, łatwo może przeholować, ośmieszyć się, stać się jak Duda memem – „Trampkiem". Na razie ma swój wielki tydzień, ale do wyborów jeszcze ponad dwa lata i koalicja demokratyczna naprawdę nie musi ich przegrać z politycznymi bajarzami. Jeśli podejmie grę.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Komu i co z KPO

Domek na wodzie do spotkań biznesowych ani solarium dla kebabowni nie zwiększą odporności małych przedsiębiorców z branży HoReCa (hotele, restauracje, catering) w razie kolejnego ataku pandemii. Także pieniądze na zakup mobilnych ekspresów do kawy nie są dowodem, że mała firma dywersyfikuje działalność. A jednak na takie i podobne cele Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości przyznała pieniądze z KPO (od 50 tys. do 540 tys. zł dla małych firm, które ucierpiały podczas pandemii covid). Za to, w czyje ręce trafią, odpowiada Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, jednak ministra Pełczyńska-Nałęcz nie poczuwa się do winy. Sprawą zajęła się prokuratura. Premier Tusk zapowiedział, że zostaną wyciągnięte konsekwencje, także polityczne (tuż przed wybuchem afery odwołano szefową PARP).

Afera rozgrzała sieć. Wzburzyła też Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że unijne pieniądze miały być „na bezpieczeństwo lekowe, a nie ma na nic". Wyrazy słusznego oburzenia warto uzupełnić.

Program i warunki wykorzystania środków z KPO dla HoReCa został opracowany w 2022 r. przez rząd PiS. Ten sam rząd nie był w stanie przez kilka lat stworzyć listy leków krytycznych, których produkcję moglibyśmy uruchomić w kraju, budując dzięki unijnym pieniądzom fabrykę substancji czynnych, tzw. API. Sprawę bezpieczeństwa lekowego zawalił więc rząd PiS – to trzeba przypomnieć prezesowi.

Po wyborach w 2023 r. z dużym opóźnieniem środki z KPO zaczęły wreszcie płynąć do Polski i żeby zdążyć je wykorzystać, nie śrubowano kryteriów. Nie zdecydowano się także na zmianę podstawowego wymogu, czyli „dywersyfikacji".

Restauracje i hotele mogą się starać o nikłą część pieniędzy z KPO. Rzeczywiście, czasu na wykorzystanie tych środków jest bardzo mało, ale to nie może oznaczać, że głównym kryterium ich przyznawania jest to, czy zostaną wydane. Wtedy bowiem mogą zostać wykorzystane nieracjonalnie („po cwaniacku"), a przecież nie po to je dostaliśmy.

Zanosi się na to, że rękę do ich zmarnowania chce przyłożyć prezydent Nawrocki. Jednym z celów, który ma być realizowany w ramach KPO, jest bowiem transformacja energetyczna, dzięki której koszty produkcji energii staną się niższe, polski przemysł bardziej konkurencyjny, a rachunki gospodarstw domowych niższe. Transformacja znaczy szybsze odchodzenie od węgla kamiennego na rzecz OZE, ale prezydentowi zielona energia – a szczególnie wiatraki – się nie podoba. Więc może ustawy wiatrakowej nie podpisać. W zamian, jak zapowiedział, złoży projekt ustawy nakazujący obniżkę cen energii o jedną trzecią. Po co nowe elektrownie – wystarczy ustawa.

JOANNA SOLSKA

Czy OKI jest OK?

Ponad 10 mld zł – tyle w ubiegłym roku przyniósł budżetowi podatek od dochodów z zysków kapitałowych, zwany popularnie podatkiem Belki. Trudno zatem było liczyć, że danina ta, mimo przedwyborczej obietnicy KO, zniknie albo przynajmniej zostanie mocno ograniczona. Minister finansów Andrzej Domański od dawna zapowiadał reformę podatku Belki. Skończyło się na przedstawieniu projektu nowego Osobistego Konta Inwestycyjnego inspirowanego rozwiązaniem szwedzkim. Mają je oferować banki i biura maklerskie.

Dobra wiadomość: takie konto będzie mógł otworzyć każdy, bez względu na inne posiadane rachunki czy programy oszczędnościowe (jak PPE, IKE czy IKZE), a zyski ze zgromadzonych na nim pieniędzy zostaną ochronione przed podatkiem Belki. Państwo zatem nie zabierze 19 proc. zarobionych środków, jak dzieje się to w przypadku odsetek na lokatach czy zysku ze sprzedaży akcji bądź jednostek funduszy inwestycyjnych. Zła wiadomość: pojawią się limity. Na OKI wolne od podatku Belki będzie maksymalnie 100 tys. zł. Ale tylko do 25 tys. można przeznaczyć na lokaty i obligacje skarbowe, czyli rozwiązania w pełni bezpieczne. Pozostałe 75 tys. ma być inwestowane w akcje czy fundusze.

Bo podstawowym celem rządu jest zainteresowanie Polaków warszawską giełdą. Temu służy również kolejny warunek OKI: trzeba wpłacić na nie swoje oszczędności. Nie można przenieść na ten rachunek istniejących już inwestycji, np. posiadanych akcji czy jednostek funduszy. A co z osobami, które zgromadzą na OKI powyżej 100 tys. zł? Będzie to możliwe, ale od nadwyżki zostanie naliczony specjalny podatek. Ma on wynosić na razie ok. 0,8 proc. nadmiarowej kwoty rocznie i odpowiadać mniej więcej wysokości podatku Belki w przypadku zysku z obligacji Skarbu Państwa.

Nie brakuje głosów rozczarowania projektem OKI – narzekania dotyczą niskiego limitu (zwłaszcza dla lokat) i skomplikowanych zasad. Jednak mimo wielu wad OKI i tak ma szansę stać się popularnym rozwiązaniem. Bo będzie jedyną możliwością ochrony odsetek ze zwykłych lokat przed podatkiem. Np. 25 tys. zł na rocznej lokacie 4 proc. (to dziś standard na rynku) dałoby na OKI 1 tys. zł zarobku, a poza nim o 190 zł mniej. Rząd planuje, że OKI będzie można otwierać w połowie przyszłego roku. Tyle że wcześniej do tego pomysłu musi przekonać nowego prezydenta. Na razie zatem nie warto jeszcze liczyć, ile uda się zaoszczędzić. (CK)

© MEMY.PL

eprasa.pl 3e11af7a1e

Wszystko gra?

Tuż po objęciu resortu sportu i turystyki przez **Jakuba Rutnickiego** (na fot. z prawej) na profilu ministerstwa w serwisie X zostało zamieszczone intrygujące zdjęcie: nowy minister trzyma piłkę do koszykówki razem z prezesem koszykarskiej federacji **Grzegorzem Bachańskim**, a podpis informuje, że prezes zreferował stan przygotowań kadry narodowej do rozpoczynających się pod koniec sierpnia mistrzostw Europy, których Polska jest współgospodarzem. Obaj panowie uśmiechają się szeroko.

Minister Rutnicki najwyraźniej nie chowa urazy po tym, jak dwa lata temu, gdy jeszcze był opozycyjnym posłem i próbował przeprowadzić kontrolę w Polskim Związku Koszykówki, nie został nawet do siedziby PZKosz wpuszczony. Przypomnijmy: wszystko to działo się po tym, jak POLITYKA ujawniła, że Radosław Piesiewicz, ówczesny szef związku, a dziś prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, załatwia koszykówce państwowych sponsorów w zamian za milionowe prowizje.

Grzegorz Bachański był wówczas wiceprezesem i działał ręka w rękę z Piesiewiczem. Poseł Rutnicki chciał się m.in. dowiedzieć, co kryje się za astronomicznymi wydatkami PZKosz, enigmatycznie opisywanymi jako „usługi obce". Ale usłyszał, że jako polityk narusza autonomiczność federacji i jest niemile widziany. Odszedł z kwitkiem.

W latach 2018–23 PZKosz przeznaczył na usługi obce 130 mln zł. Kolejne 55 mln zł wydała Polska Liga Koszykówki. Na co konkretnie, do dziś nie wiadomo. Dochodzenie w sprawie ewentualnej defraudacji tych środków, będące pokłosiem kwietniowego nalotu CBA na koszykarskie podmioty, trwa. Biegły rewident odmówił w czerwcu wydania pozytywnej opinii do sprawozdania finansowego PZKosz, m.in. z powodu trwającego śledztwa, ale natknął się również na brak rozliczenia kart paliwowych przekazanych federacji do dyspozycji przez Orlen na kwotę, bagatela, 1 mln zł. Biuro prasowe koncernu potwierdziło, że wątpliwości co do tych wydatków faktycznie są, ale wspaniałomyślnie poprosiło koszykarskich działaczy o wyjaśnienia.

Minister Rutnicki albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo myśli już o nadchodzącym EuroBaskecie i meczach w katowickim Spodku. Rywalami Polaków będą m.in. Słowenia i Francja, w składzie z gwiazdami NBA. Zapowiadają się pełne trybuny, minister nie może się tam nie pokazać. (MP)

Mętna woda: raport NIK potwierdza nasze ustalenia

Fiasko kluczowego projektu monitorowania wód o wartości 250 mln zł, nietrafione inwestycje i liczne nieprawidłowości kadrowe – to podsumowanie ustaleń Najwyższej Izby Kontroli w państwowym Instytucie Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie. Nadużycia w tej instytucji ujawniamy w POLITYCE od ponad dwóch lat, a NIK właśnie potwierdziła nasze ustalenia. Instytut nieprawidłowo realizował projekt monitoringu polskich rzek i jezior. Monitoring miał być odpowiedzią rządu PiS na katastrofę ekologiczną na Odrze z 2023 r. Okazał się kosztownym niewypałem, bo Instytut nie miał niezbędnego doświadczenia i kadr. Aby uzyskać kolejne transze z 250-milionowej dotacji, informował, że system już częściowo działa, gdy w rzeczywistości nie pracowała żadna z boi pomiarowo-kontrolnych. Do końca czerwca 2024 r. funkcjonowało jedynie 46 spośród 325 planowanych do uruchomienia do końca 2024 r. (czyli 14 proc.), ale żadna nie przekazywała danych o parametrach wody. Wtedy rząd Tuska zastopował projekt. Do tej pory IRS dostał 52 mln zł. Boja Instytutu kosztowała średnio 106 tys. zł, gdy na wolnym rynku porównywalne – 30 tys. zł.

Pozostałe wyniki raportu NIK też są zbieżne z naszymi ustaleniami. Ówczesny dyrektor IRS Grzegorz Dietrich podejmował kluczowe decyzje z pominięciem rady naukowej Instytutu i bez analiz. Przejął zapuszczone stawy w Radkowie w woj. świętokrzyskim (w 2023 r. trzeba było na nie wydać 80 razy więcej, niż przyniosły przychody), gdy ich wcześniejszy dzierżawca Sebastian Karwowski był pełnomocnikiem Dietricha, co „stanowiło konflikt interesów". Instytut przejął też stawy w Rykach w woj. lubelskim IRS, po czym wbrew umowie ich część przekazał gminie. Był to element politycznego dealu z posłem Leszkiem Kowalczykiem, bratem ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka, któremu podlegał IRS.

Nieprawidłowości były też m.in. przy zatrudnianiu kierownika projektu (za 1,5 mln zł) i jego zastępcy (za 1,4 mln zł), a także specjalistów (aż 12 z nich zarabiało więcej niż dyrektor, jeden dwukrotnie więcej). Niektórzy pracowali już w IRS, dostali więc jakby drugą pensję. Niekorzystne dla IRS były również zapisy umowy najmu biura projektu przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie (pochłonęło łącznie niemal pół miliona złotych).

NIK objął inspekcją lata 2021–23 i opisał 51 nieprawidłowości. Dyrektorzy IRS byli w tym czasie powołani przez ministra rolnictwa bez konkursu i bez zasięgnięcia opinii rady naukowej Instytutu, bo PiS oba wymogi zniósł. Na koniec 2023 r. Instytut odnotował 5,6 mln zł straty, NIK skieruje więc zawiadomienia do prokuratury i rzecznika dyscypliny finansów publicznych.

ZBIGNIEW BOREK

© X.COM SPORT_GOV_PL, PAP/MARCIN BIELECKI, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 3e11af7a1e

Karol II

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Minął ledwie tydzień od zaprzysiężenia nowego prezydenta, ale już wiemy, że nadchodzi zmiana, która może zmieść stary porządek polityczny. Karol Nawrocki w najbardziej konfrontacyjnym orędziu prezydenckim w historii Polski po 1989 r. zapowiedział nie tylko zmianę konstytucji, ale także ustroju politycznego naszego kraju. O ile jednak można się było spodziewać, że Nawrocki będzie dążył do zwiększenia kompetencji prezydenta, o tyle forma, w jakiej to zrobił, nasuwa jak najgorsze skojarzenia, z których najłagodniejsze dotyczą kibolskich sektorów Lechii Gdańsk. Styl ten przypadkowy nie jest, gdyż prezydent Nawrocki – a może bardziej jego doradcy wizerunkowi – wie, że polityczne chuligaństwo o brunatnym zabarwieniu jest na fali wznoszącej, młodym mężczyznom zaś imponuje taki brutalny styl uprawiania polityki. Demokracją gardzą za jej słabość, wiedzą za to, jak wykorzystać wpisane w nią mechanizmy do jej niszczenia.

Cisną się na usta mocne słowa, jednak eksperci nadmiernie zakochani we wszelkiej symetrii znów pouczają, że nie wypada straszyć porównaniami do lat 30. XX w., bo to przesada, histeria i ogólnie obciach. Siłę faszyzmowi dali głównie młodzi mężczyźni, którzy osobiście nie doświadczyli potworności pierwszej wojny światowej, za to przeraziły ich ówczesne feministki, które wywalczyły dla kobiet prawa wyborcze. Dziś z kolei politykę brutalizuje pokolenie rozpieszczonych młodych mężczyzn, niepamiętających nie tylko czasów PRL, ale i Polski sprzed wejścia do UE, śmiertelnie jednak przerażonych „hordami migrantów" czekających tylko, żeby zgwałcić białe kobiety, skądinąd nadmiernie podobno wyemancypowane.

Niestety brakuje pamięci historycznej jako mechanizmu zabezpieczającego przed radykalizacją i powtarzaniem błędów, choć my jeszcze mamy niewielką szansę na powstrzymanie prawicowego szaleństwa. Nie, żeby lewicowe szaleństwo było lepsze, co pokazuje przykład posłanki Pauliny Matusiak – maskotki pierwszego spotkania prezydenta Nawrockiego z mieszkańcami Kalisza. Jednak lewica, sama skutecznie eliminuje się z wyścigu o władzę. Tymczasem skrajna prawica znalazła nowego zbawiciela, ogłosiła Nawrockiego „drugim Karolem". Na spotkaniu z mieszkańcami podkarpackiej Kolbuszowej starsi ludzie porównywali Nawrockiego do Karola Wojtyły, za to młode dziewczęta piszczały, jakby spotkały gwiazdę rocka. Atmosfera jak na pl. Świętego Piotra w serialu „Młody papież", kiedy w oknie pojawiał się Lenny Belardo.

Jeśli ktokolwiek myślał, że Karol Nawrocki zadowoli się rolą przejętą po swoim poprzedniku, może się czuć skonfundowany. Nawet jeśli Andrzej Duda kilkakrotnie próbował zaznaczyć swoją „niezależność", to zawsze jednak wiedział, komu spłaca dług. Karol Nawrocki błyskawicznie, choć na razie delikatnie, zaznaczył, że długi to raczej on będzie ściągał z innych, a nie odwrotnie. A jego ambicje są znacznie większe niż to, co mogą mu zaoferować Kaczyński albo Mentzen. Chyba że razem wzięci.

Rozliczanie Macierewicza

Na wniosek prokuratora generalnego Adama Bodnara Sejm pozbawił Antoniego Macierewicza immunitetu. Sprawa dotyczy bezprawnego ujawnienia informacji niejawnych w ramach działalności tzw. podkomisji smoleńskiej. Nie wiadomo, jakie to były informacje, bo uzasadnienie wniosku i obrady sejmowej komisji były niejawne. Rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak podał jedynie, że Macierewicz, będąc funkcjonariuszem publicznym, ujawnił informacje niejawne o klauzuli „ściśle tajne", „tajne", „poufne" i „zastrzeżone". Sam poseł twierdzi, że upublicznił tylko to, co pozwoliła mu ujawnić Służba Kontrwywiadu Wojskowego, i że ma na to dowody.

Tyle że Macierewicz znany jest z notorycznego zaprzeczania rzeczywistości, więc są powody, by nie ufać jego zapewnieniom. Z drugiej strony trudno ocenić moc zebranych przez prokuraturę dowodów, skoro wszystko w tym śledztwie jest tajne. Ale ponieważ sprawa wydaje się zero-jedynkowa: albo są dowody na to, że SKW uznała, że informacje nie są oklauzulowane, albo ich nie ma, wydaje się, że akt oskarżenia powinien bardzo szybko trafić do sądu. I to jest chyba podstawowy powód, dla którego akurat ta sprawa przeciw Macierewiczowi jako pierwsza trafiła do Sejmu: ma pokazać, że prokuratura „zabrała się do roboty".

To sprawa zawarta w jednym z 41 wątków siedmiu śledztw prowadzonych wobec Macierewicza, w związku z podkomisją smoleńską. Inne śledztwa i ich wątki, dotyczące podkomisji, a wcześniej komisji smoleńskiej, są zapewne bardziej interesujące dla opinii publicznej, bo dotyczą fałszowania raportu, marnotrawienia publicznych pieniędzy, „poświadczania nieprawdy w dokumencie", czyli po prostu dezinformowania, a nawet szantażu wobec jednego z ekspertów Chrisophera Protheroego, który nie godził się na opublikowanie wycofanych przez siebie fragmentów ekspertyzy.

Wydaje się, że także w tych wątkach prokuratura nie powinna długo zwlekać z wnioskiem o uchylenie Macierewiczowi immunitetu, bo w gromadzeniu materiału dowodowego w dużym stopniu wyręczyli ją dziennikarze (w tym przede wszystkim Piotr Świerczek z TVN24), a także powołany przez MON zespół ds. oceny funkcjonowania podkomisji smoleńskiej. (ES)

eprasa.pl 3e11af7a1e

Trump wybrał Rosję

Po kilku tygodniach zastanawiania się, jak bardzo **Donald Trump** może wściec się na **Władimira Putina** i co gotów jest mu zrobić za to, że Rosja nie spieszy się do podpisania żądanego przez Amerykę rozejmu z Ukrainą, wygląda na to, że nie wściekł się wcale. Po kolejnej wizycie w Moskwie amerykańskiego wysłannika od wszystkiego Stevena Witkoffa prezydent USA zgodził się na spotkanie w cztery oczy i zaprosił Putina do Stanów Zjednoczonych, po raz pierwszy od 10 lat. Szczyt ma się odbyć 15 sierpnia na Alasce, której najbardziej oddalone wyspy od Rosji dzieli mniej niż 10 km i która kiedyś należała do imperium carów.

Ścigany międzynarodowym nakazem aresztowania za zbrodnie wojenne Putin musi uważać, dokąd podróżuje, ale USA nie są stroną konwencji o Międzynarodowym Trybunale Karnym, więc u Trumpa może liczyć na bezpieczne lądowanie. Na bezpośrednim spotkaniu omówić ma z nim warunki pokoju w Ukrainie, który w skrócie oznacza dyskutowany od miesięcy układ „ziemia za rozejm". Trump najpierw nie zaprosił do tej dyskusji Wołodymyra Zełenskiego, ale pod presją opinii o zdradzie i nowej Jałcie rozważa ponoć jakiś udział prezydenta Ukrainy w ustaleniach z Rosją.

Powróciło jednak widmo koncertu, a w sumie duetu mocarstw, które rządzą bez pytania innych o zdanie i dzielą nie swoje terytoria. Perspektywa Trumpa wymuszającego pod rękę z Putinem ustępstwa na Zełenskim staje się znowu rzeczywistością. Jednak prezydent Ukrainy publicznie odrzucił relacjonowane wyłącznie nieoficjalnie warunki dealu ustalone przez Witkoffa z Putinem, polegające na oddaniu Rosji więcej, niż udało się jej zająć w trwającej trzy i pół roku wojnie.

Ukraina miałaby zrzec się całego obwodu donieckiego i ługańskiego, wraz z kluczową aglomeracją Słowiańska i Kramatorska, do której Rosjanom na froncie wciąż daleko i za którą musieliby poświęcić kolejne setki tysięcy żołnierzy. W zamian Rosja miałaby się cofnąć do swoich granic w obwodach sumskim i charkowskim, odstępując na jakieś 10–15 km tam, gdzie udało się jej wtargnąć i umocnić. Wycofanie się Ukrainy z obwodu kurskiego stanowi zapewne „wymianę", o której Trump wspomina w publicznych wypowiedziach, za porzucenie przez Rosję zamiarów zagarnięcia obwodów chersońskiego i zaporoskiego.

O odzyskaniu Krymu Kijów mógłby zapomnieć. Zresztą perspektywa zbrojnego odbicia terenów okupowanych i tak była iluzoryczna. Pytanie jednak, co ze strategicznymi celami zarówno Rosji, jak i Ukrainy. Czy Kreml wymusi demilitaryzację i neutralność Kijowa? Czy Trump obniży wojskowy status wschodniej flanki NATO, na czym Moskwie tak zależy? I na czym bardziej zależy Trumpowi – na dealu, który otwiera mu drogę do rosyjskich minerałów, czy na Ukrainie, Europie i NATO? Wszystkie wymiary wszystkich sojuszy z USA zostaną poddane testowi.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Niekończąca się wojna

Ubiegłotygodniowa decyzja izraelskiego gabinetu bezpieczeństwa o rozszerzeniu operacji w Strefie Gazy wywołała falę krytyki z wielu stron świata – m.in. potępili ją we wspólnym oświadczeniu ministrowie dyplomacji Australii, Niemiec, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii i Włoch, a także 20 krajów arabskich i muzułmańskich. Niemcy wstrzymały eksport broni do Izraela, która mogłaby być użyta w tej wojnie. Przeciwko planom wypowiedziały się też tysiące Izraelczyków, którzy wyszli na ulice, by domagać się zakończenia wojny i powrotu wszystkich 50 zakładników, z których prawdopodobnie 20 wciąż żyje. Wątpliwości, czy uda się ich odzyskać, realizując plan Beniamina Netanjahu, podnosi też sama armia, dla której zajęcie miasta Gaza wiąże się nie tylko z ryzykiem dla samych zakładników (Hamas groził, że ich zabije, jeśli wojsko się zbliży), lecz również dla żołnierzy.

W dodatku co najmniej kilka miesięcy może potrwać zmobilizowanie 120–250 tys. rezerwistów niezbędnych do wykonania tego zadania, nie mówiąc o ewakuacji miliona Palestyńczyków, którzy schronili się w mieście. Netanjahu zapowiada przeniesienie ich do „bezpiecznych stref humanitarnych", ale w Strefie Gazy nie ma już prawdziwie bezpiecznych miejsc. W Izraelu pojawiają się też wezwania do strajku generalnego.

Pod pręgierzem międzynarodowej krytyki Netanjahu spotkał się w niedzielę z zagranicznymi dziennikarzami w Jerozolimie, by ich przekonywać, że to Hamas stoi za **porażką systemu dystrybucji żywności**, bo systematycznie ją rozkrada, oraz za śmiercią osób w okolicach centrów dystrybucji zarządzanych przez kontrowersyjną fundację Gaza Humanitarian Foundation (GHF). Nie ma jednak na to żadnych dowodów. Wojsko ma też do Gazy wpuścić dziennikarzy.

W tej chwili Izrael kontroluje ok. 75 proc. terytorium półenklawy, w pozostałej części w trzech skupiskach przebywa ok. 2,1 mln Palestyńczyków, wśród których ukrywa się „kilka" tysięcy bojowników Hamasu (tę liczbę podał Netanjahu). W perspektywie byłaby demilitaryzacja Strefy Gazy, ustanowienie rządu cywilnego, który nie byłby rządem Hamasu ani Autonomii Palestyńskiej. Szczegóły nie są jednak jasne. Nie jest też pewne, czy plany Netanjahu wejdą w życie, bo choć zatwierdził je gabinet, w którym zasiadają m.in. dwaj skrajni ministrowie Becalel Smotricz i Itamar Ben-Gwir, nie podoba im się pomysł dostarczania do Gazy pomocy humanitarnej, najchętniej przejęliby nad nią pełną kontrolę, a następnie zaanektowali.

AGNIESZKA ZAGNER

O głodzie w Strefie Gazy s. 48.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Między Scyllą a Charybdą

Zapadła decyzja o budowie **mostu nad Cieśniną Mesyńską**. Ma być najdłuższym jednoprzęsłowym mostem wiszącym na świecie (pobije turecką przeprawę przez Dardanele) i połączy liczącą 4,7 mln mieszkańców Sycylię ze stałym lądem. Włosi mówią o tym obiekcie po prostu „most" i wiadomo, o który chodzi, bo – nie wspominając już o czasach antycznych – przynajmniej od 1870 r., od zjednoczenia Włoch, jest obecny w masowej wyobraźni jako wieczna mrzonka. Głośno było o projekcie tuż po drugiej wojnie światowej jako o symbolu odbudowy kraju, powrócił w latach 60., był bardzo zaawansowany podczas długich rządów Silvia Berlusconiego, wyciągany z rękawa, kiedy spadały mu notowania; w 2006 r. powstało konsorcjum Eurolink, które miało go zbudować, prowadzono daleko posunięte prace przygotowawcze i była już gotowa makieta, ale w 2013 r. wszystko się skończyło.

Zawsze piętrzyły się trudności, już z „Odysei" wiadomo, że czatują tu Scylla i Charybda, są silne prądy morskie, porywiste wiatry, a obszar jest mocno sejsmiczny (w 1908 r. trzęsienie ziemi zniszczyło Mesynę). I jest jeszcze jeden potwór – mafia: cosa nostra po stronie sycylijskiej i 'ndrangheta po kalabryjskiej, obie chętnie wkręcające się w wielkie prace budowlane. Zawsze więc istniały dwa obozy, aktywne i dziś: *sipontisti* i *nopontisti*, gorący zwolennicy i przeciwnicy budowy mostu. Ci pierwsi argumentowali, że to anachronizm, że na Sycylię można się dostać tylko promem; drudzy wskazywali na astronomiczne nakłady (obecny projekt ma kosztować 135 mld euro) i kwestie ochrony środowiska (włoscy ekolodzy już zaalarmowali Brukselę).

Aż pojawił się Matteo Salvini, lider populistycznej Ligi i wicepremier w koalicyjnym rządzie Giorgii Meloni, a przy okazji minister transportu, który przechylił szalę. Obiecał 120 tys. nowych miejsc pracy, szybką kolej do Mediolanu (obecnie podróż trwa 17 godzin), nowy wielki szlak handlowy Sycylia–Berlin i inne cuda. Pojawił też się zupełnie nowy aspekt, szczególnie obecnie istotny – przeprawa mesyńska ma mieć znaczenie wojskowe jako korytarz strategiczny na południowej flance, więc zmieściłaby się w 5 proc. PKB, jakie Włosi zgodzili się przeznaczać na obronę. Podniosły się głosy, że to interpretacja mocno naciągana. Tak czy inaczej, prace mają ruszyć już we wrześniu, do 2032 r. wszystko ma być gotowe.

A sam most długości 3,7 km jest rzeczywiście piękny, smukły, ma po trzy pasy ruchu samochodowego w obie strony i przechodzą nim dwa szlaki kolejowe. Reprezentuje „standard mesyński" wykorzystany w budowie kilku podobnych konstrukcji na całym świecie. Tylko oryginał nie powstał. Czy powstanie?

Plastik jak klimat

Od 14 sierpnia świat powinien mieć **traktat o traktowaniu plastiku** – umowę o randze globalnego porozumienia klimatycznego. Tworzywa sztuczne pozostają źródłem poważnego kryzysu, degradują środowisko naturalne i są niebezpieczne dla ludzkiego zdrowia. Stąd próba zredagowania pierwszej i wiążącej umowy międzynarodowej, którą od początku sierpnia negocjowano w Genewie. Rozmowy szły mozolnie. Tekst się rozrastał, wnoszono propozycje rozmaitych wyjątków. Gdy oddawaliśmy ten numer POLITYKI do druku, dominowało przekonanie, że rezultat będzie mało ambitny.

Decydowały o tym interesy hamulcowych, na czele z monarchami znad Zatoki Perskiej, Iranem, Rosją i Malezją. Sekundowały im także Indie i Stany Zjednoczone. Taka pozornie egzotyczna koalicja zwiozła do Szwajcarii setki lobbystów i przedstawicieli firm naftowych obawiających się uszczuplenia swoich zysków. Mieli za zadanie wkładać kij w szprychy i dowodzić, że wytwarzania plastiku nie powinno się ograniczać. Według nich problem leży w systemie zbierania odpadów – jedyne, co trzeba zrobić, to go usprawnić.

Z drugiej strony ok. 100 krajów z Europy, Afryki i Ameryki Łacińskiej parło w odwrotnym kierunku. Domagały się nałożenia ograniczeń wytwarzania i wycofania najbardziej szkodliwych tworzyw i substancji. Wiele z nich jest w powszechnym użyciu, to np. dodatki zmiękczające w zabawkach albo podtrzymujące konsystencję kosmetyków. W Genewie mocno słyszalny był głos państw wyspiarskich, które ostrzegają, że plastik zabija oceany. Apelują, żeby zbierać śmieci dryfujące na powierzchni i w głębinach mórz. Kraje na dorobku oczekują też od zamożnych państw wsparcia finansowego, by mogły zmniejszać uzależnienie od plastiku i zorganizować system jego recyklingu.

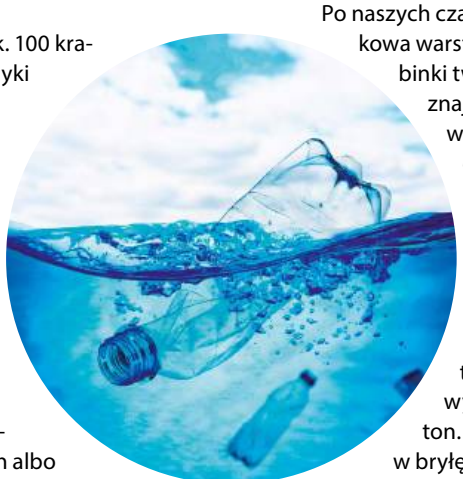

Po naszych czasach pozostanie plastikowa warstwa geologiczna. Drobinki tworzyw sztucznych są znajdowane na biegunach, w największych morskich głębinach, w ludzkich wodach płodowych, w mózgu i w jądrach, a obecność mikroplastiku w organizmie zwiększa ryzyko choćby chorób nowotworowych. Rocznie wytwarza się 400 mln ton. Gdyby tę ilość złożyć w bryłę, której podstawą byłoby krakowskie Stare Miasto, czyli obszar w obrębie plant z Wawelem (93 ha), powstałaby wieża o wysokości 1,5 km. A według prognoz jeśli nie dojdzie do opamiętania, to w najbliższych dekadach produkcja plastiku wzrośnie kilkukrotnie.

© ANADOLU/GETTY IMAGES, BASHAR TALEB/AFP/EAST NEWS, MP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Miłość odparowana

Rozmowa z prof. Tomaszem Szlendakiem o tym, jak nowe media społecznościowe przenicowują stare relacje społeczne. A zwłaszcza to romantyczne, gorące uczucie łączące ludzi.

JOANNA PODGÓRSKA: **– W książce „Miłość nie istnieje" opisuje pan czynniki, które wpłynęły na to, że miłość romantyczna przestała działać jako mechanizm łączenia się ludzi w pary. Tinder ją dobił?**

TOMASZ SZLENDAK: – Dobił miłość romantyczną, taką, jak jest ona rozumiana przez nauki społeczne zakładające, że rozwija się w kilku etapach. Najpierw etap rozpoznania randkowego, zauroczenia, potem intymności, a na końcu zaangażowania. W epoce Tindera do tych ostatnich etapów w większości wypadków nie dochodzi, a często nie dochodzi nawet do tych pierwszych. Dzięki aplikacjom randkowym, platformom, na których informujemy o sobie, całej tej maszynerii cyfrowej, ludzie są sobą znudzeni, zanim w ogóle cokolwiek się między nimi rozpocznie. Jak się pozbiera informacje o człowieku ze wszystkich Facebooków, portali społecznościowych, na których się udzielamy, zdjęć, które wrzucamy, to już przed pierwszą randką wiemy o sobie za dużo. A miłość zwykle zaczynała się od czegoś w rodzaju tajemnicy.

Aplikacje zabiły spontaniczność?

Inaczej bym to ujął. Uczyniły proces doboru w pary w pełni racjonalnym i niewykonalnym. Miłość romantyczna także była maszynerią racjonalną – ekwiwalentem swatki czy rodziny, która wcześniej dobierała partnerów do małżeństwa. Chodzi mi o to, że także miłością romantyczną ludzie zazwyczaj zakochiwali się w tym, kim trzeba. To były racjonalne wybory niebędące mezaliansami. Partnerzy mieli te same lub podobne parametry psychospołeczne, pochodzenie, miejsce w strukturze społecznej. Natomiast w przypadku tej całej maszyny apkowej mamy do czynienia z sytuacją, w której możemy to już nie tylko w pełni zracjonalizować, ale także sparametryzować. Kawa na ławę – wygląd potencjalnego partnera oceniamy na tle wyglądu innych potencjalnych partnerów, których na Tinderze jest legion. Jesteśmy przekonani, że zawsze znajdzie się ładniejszy, ciekawsza itd. To sprzyja kalkulacjom, bo karmi nas ułuda nieskończonego niemal wyboru. To zabiło spontaniczność, ale też hipokryzję, która była doczepiona do miłości romantycznej. Miłość prawie zawsze była racjonalnym wyborem, tylko opatulaliśmy ją w melodramat i scenariusze, które tę racjonalność przykrywały. Miłość miała nas trafiać jak grom z jasnego nieba, być czymś magicznym, szalonym, niewytłumaczalnym. To pomagało nie dostrzegać jej racjonalności. W erze aplikacji pozostała goła racjonalność, która nie pozwala nam nawet się zakochać, a co dopiero stworzyć związek. Według różnych badań i szacunków od 5 do maksymalnie 12 proc.

eprasa.pl 3e11af7a1e

zainicjowanych w ten sposób relacji ma szansę potrwać dłużej. W większości absolutnie nic się nie wydarza, a nawet nie zaczyna.

Kiedy Tinder startował, uchodził za aplikację dla nieudaczników, którzy sami nie potrafią sobie znaleźć pary. To się zmieniło?

Tak, i to na bardzo wczesnych etapach. Już w 2003 r. „New York Magazine" ogłosił Tinder aplikacją dla kobiet. Po raz pierwszy przedstawił ją jako bezpieczne i w pełni użytkowe narzędzie do tego, by kogoś odnaleźć w świecie, w którym jest to trudne ze względu na brak czasu, zalatanie, pracę od rana do wieczora. Dziś ludzie nie mają pojęcia, jak kogoś poznać bez Tindera. Już ponad 10 lat temu z niego i innych tego typu aplikacji zdjęto łatkę narzędzia dla nieudaczników. Ale też łatkę, że jest to narzędzie dla mężczyzn poszukujących jednonocnego seksu. On tej obietnicy nie spełnia. W Polsce z aplikacji randkowych korzysta 2,5 mln ludzi. Trudno uznać, że wszyscy, którzy mają tę apkę w telefonie, są nieudacznikami. To raczej ludzie, którzy uwierzyli w nieograniczone możliwości wyboru.

Ale wybór nieograniczony może w praktyce oznaczać niemożność wyboru.

Oczywiście, że ten nadmiar utrudnia znalezienie stałej pary. Porównajmy to z sytuacją całkiem jeszcze niedawną – w latach 60. czy jeszcze 70. powstawały pary, które wiodły do małżeństwa opartego na miłości. Ale rynek seksualny i matrymonialny ograniczony był terytorialnie do sąsiedztwa, szkoły, wyższej uczelni, miejsca pracy. To zawężało pole manewru – interesujących partnerów rzadko były dziesiątki, a na pewno nie setki. Tymczasem w aplikacjach świat jawi się jako złożony z setek i tysięcy potencjalnie atrakcyjnych partnerów, w których możemy przebierać. Gdy wybór ograniczony był do kilku, łatwiej było go dokonać i najzwyczajniej w świecie się zakochać. Etap rozpoznawczy miał czas się rozpocząć i trwać. Przy takim nadmiarze jak dziś jest to właściwie awykonalne. Zawsze czai się taka myśl, że jak dokonamy tego wyboru i pójdziemy z tym kimś na randkę, popełnimy błąd, bo ominie nas coś nowego. Gdy mamy wgrane w aplikację setki profili, wybór jest piekielnie trudny. On jest de facto niemożliwy.

Napisał pan, że Tinder zmienił dobór par w wirtualny spacer po sklepach z profilami. Miłość stała się rodzajem shoppingu, skomercjalizowała się?

To się bardzo mocno wiąże z panującą nam już od dawna kulturą konsumpcyjną czy w ogóle konsumeryzmem jako pewną formą funkcjonowania jednostek w świecie. Każda czynność, każde ludzkie pragnienie, każda sfera ludzkiego życia, od religii aż po sferę seksualną czy – niech będzie – miłości, jest rodzajem zakupów. Jest to przedstawiane jako właściwy sposób postępowania. Po prostu dokonaj wyboru i kup. Tymczasem intymności i miłości nie można kupić. Nie można kupić sprawnie funkcjonującej maszyny, która zawiera tak wiele komponentów; w której musi się tyle rzeczy wydarzyć naraz. To jest wybór kogoś na stałe, na być albo nie być, na dobre i na złe. Długie randkowanie, chodzenie ze sobą, bycie razem pozwalało poznać wiele parametrów partnera. Akt konsumpcyjny tutaj nie zadziała, ale ludzie tego nie wiedzą i zachowują się tak jak w sklepie. Za każdym razem oczekują czegoś lepszego, tak jak lepszej sukienki czy motocykla.

Mówi się, że Tinder sprzyja przecenianiu własnej atrakcyjności i winduje oczekiwania. Jak ten mechanizm działa?

Zauważono to już dosyć dawno temu w odniesieniu do portali randkowych, w których trzeba opisać siebie, swoje rozmaite parametry, a algorytm wbudowany w taki portal randkowy wyświetla profile potencjalnych partnerów odpowiadających naszym preferencjom. Człowiek opisuje swój wygląd, cechy, pasje i zainteresowania, ale też profil psychospołeczny, np. wyższe wykształcenie czy pozycję ekonomiczną. Jeśli one lokują mnie nieco wyżej, to aplikacja z automatu podnosi poprzeczkę w odniesieniu do potencjalnego partnera. Przeglądamy się w tych profilach, instalujemy tam swoje wystudiowane zdjęcia, które są ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ jakimś wyobrażeniem mnie samej czy mnie samego; niemalże fikcją, a w każdym razie udawaną fasadą. I zaczynamy w nią wierzyć. To włącza mechanizm samodowartościowujący i sprawia, że przeszacowujemy swoją wartość na rynku matrymonialnym. Wierząc w swój udawany profil, rośniemy w przekonaniu, że nie każdy jest wart tak atrakcyjnej osoby. Generalnie tego rodzaju historie częściej przydarzają się kobietom.

Bo na drabince społecznej kobiety szukają partnera stojącego wyżej lub choćby na równi, a mężczyzn to nie dotyczy?

To akurat jest rzecz mocno przebadana w naukach społecznych. Mężczyzn to przeważnie nie dotyczy. Jeśli mężczyzna na rynku matrymonialnym interesuje się zasobami finansowymi kobiety, to coś jest nie tak. Powinna odwrócić się na pięcie i uciekać. Tak się dzieje z oczywistych – reprodukcyjnych – powodów. Kobiety muszą donosić ciążę, opiekować się niemowlakiem, wyłączyć się z rytmu życia na dłuższy czas. Nie mogą sobie pozwolić na potencjalnego partnera, który ich nie wesprze. A na to powinien mieć odpowiednią pozycję. Stąd ich homogamia, czyli poszukiwanie partnerów ulokowanych na tym samym piętrze hierarchii społecznej; a często hipergamiczność, czyli poszukiwanie mężczyzn ulokowanych wyżej od nich. Tylko że w aplikacjach tych parametrów poszukiwanych przez kobiety specjalnie nie widać. Mężczyźni nie bardzo potrafią się sprzedać albo te aplikacje uniemożliwiają ekspozycję poszukiwanych cech na rynku. Słabo widać, czy mają poczucie humoru, z jakiej rodziny pochodzą. Na dobrą sprawę widać głównie zdjęcie. A zdjęcia mężczyzn z reguły oceniane są niżej niż zdjęcia kobiet. Na podstawie dwuwymiarowego zdjęcia mężczyzna łatwiej dopasuje kobietę do swoich pragnień. W tym sensie kobiety mają w aplikacjach przewagę. Z badań wiemy, że na przeciętne zdjęcie kobiety odpowiada daleko więcej potencjalnie zainteresowanych mężczyzn niż w drugą stronę. Stąd cała pula wgranych w te aplikacje mężczyzn, którzy nie znajdują żadnego odzewu ani zainteresowania.

Czy to pogłębiło proces oddalania się kobiet i mężczyzn?

Na pewno zadecydowało o nasileniu wzajemnego oskarżania się. Mężczyźni, którzy lądują nisko w takich rankingach – bo te aplikacje to de facto porównywarki atrakcyjności – gdy nie mają odzewu na profil, zaczynają popadać w resentyment. Nie myślą, że winna jest aplikacja, ukształtowana tak, że męska atrakcyjność jest niżej ceniona. To te wredne kobiety są winne i nie dostrzegają w mężczyznach niczego poza tym, czy spełniają klasyczne kanony urody i prezentują ewidentne znaki sukcesu ekonomicznego, które można pokazać na zdjęciu. Innymi się po prostu nie interesują. To powoduje, że duża część mężczyzn zaczyna najzwyczajniej w świecie nienawidzić kobiet. Winą za rozejście się płci można po części obarczyć aplikacje randkowe.

A czym w oczach kobiet „zawinili" ci wredni mężczyźni?

Tutaj resentyment jest trochę inaczej ustawiony. Za pomocą aplikacji trudno spotkać sensownego, fajnego faceta. Kobiety mają wrażenie, że ci ciekawi, interesujący albo się gdzieś pochowali, albo są zajęci. Przecież nie jest tak, że na rynku randkowych aplikacji mamy samych nieudaczników. Tymczasem mogą to być mężczyźni interesujący, tylko po prostu za pomocą tej maszynerii nie da się tego rozpoznać. To w kobietach buduje nie tyle niechęć czy nienawiść w stosunku do mężczyzn, ile po prostu pesymizm, czy znajdą kogoś sensownego. Myślą: co się z tymi facetami porobiło? Są niedojrzali, zostali w tyle, przestali o siebie dbać, przestali się starać. Po stronie kobiet rośnie zniechęcenie, a po stronie mężczyzn nienawiść.

Tomasz Szlendak – socjolog, profesor na Wydziale Filozofii i Nauk Społecznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dyrektor Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych, autor kilkunastu książek. Zajmuje się badaniem przemian kultury i obyczajów.

Incele to produkt uboczny aplikacji randkowych?

Na pewno wzmogły resentyment, który za ruchem inceli stoi. Jednak trzeba pamiętać, że nie wszyscy mężczyźni, którzy doznają porażek, to incele. Nie można tych grup identyfikować. Klasyczni incele, opisywani w naukach społecznych, to mężczyźni, którzy już w ogóle wypadli z rynku randkowego. Nie pchają się nawet do aplikacji, antycypując porażkę. Wiedzą, że i tak by im się nie udało. Ale cała ta maszyneria apkowa na pewno jest częścią problemu rosnącej przepaści między kobietami i mężczyznami. Mnoży ludzkie kłopoty z tego wynikające.

Oprócz klasycznych inceli duża grupa mężczyzn też się wycofuje, tłumi potrzebę relacji. Z kobietami jest chyba podobnie?

Tak, ale z innych powodów. Kobiety na pewnym etapie przestają tak zawzięcie szukać partnera. Nie wykluczają, że może coś się jeszcze przypadkiem wydarzy, ale są mniej aktywne w dążeniu do tego. Natomiast mężczyźni, zwłaszcza młodzi, wycofują się z rynku matrymonialnego, gdy spotka ich kilka porażek albo w ogóle jeszcze zanim te porażki się zadzieją. W dużej mierze jest za to odpowiedzialna konstrukcja męskiej seksualności. Nie muszą uczestniczyć w życiu seksualnym, żeby realizować swoje potrzeby seksualne, bo jest pornografia rozpowszechniona w sieci. Kobiety nie są im już do tego potrzebne, więc przestają ich szukać. Po co narażać się na odpowiedzi, że są skrajnie nieatrakcyjni i nieciekawi? Wycofują się z wyścigu. No i mamy całą gromadę kobiet, które nigdy nie znajdują partnera, i całą gromadę mężczyzn, którzy w ogóle na ten rynek nie wchodzą albo bardzo szybko z niego wypadają.

A kim są femcelki, o których pan pisze?

Myślę, że po części odpowiedzią na debatę dotyczącą inceli. Nie potrafię odpowiedzieć, czy w przypadku tych kobiet poczucie osamotnienia jest tak wyraźne jak u mężczyzn. Femcelki to efekt przeskalowanych wyobrażeń i wzorów bycia kobietą; kobiecej atrakcyjności w dzisiejszej kulturze. Femcelki czują się nieadekwatne, uznają, że ich porażki w życiu intymnym wynikają z tego, że nie pasują do modelu dzisiejszej wybujałej seksualności, którą kobiety muszą realizować. To zjawisko trochę analogiczne do inceli, ale pozbawione komponentu nienawiści i agresji kierowanej w stronę mężczyzn. Tu raczej mowa o autoagresji. Myślę o depresji, anoreksji, bulimii, różnych innych problemach psychicznych.

A na ile czynnikiem, który decyduje o wycofywaniu się kobiet z rynku matrymonialnego, jest lęk przed utratą świeżo zdobytej niezależności?

Istotnym, bo miłość w klasycznym sensie, miłość romantyczna, pewną utratę niezależności zakładała. Gdy kogoś kochasz, jesteś w związku, zyskujesz wiele, ale tracisz część siebie i swojej niezależności. Klasyczny dyskurs socjologiczny mówi wprost, że miłość to maszyna do wiązania w pary, która jest jednocześnie dla kobiet pułapką. W latach 60., 70., 80. tak faktycznie było. Kochające kobiety poświęcały się dla związku, a to niosło ze sobą robotę w domu, pranie, gotowanie i sprzątanie. Kobiety, które dzisiaj gremialnie robią karierę, mają statystycznie coraz wyższą pozycję społeczną, zaczynają dostrzegać, że miłość czy bycie

eprasa.pl 3e11af7a1e

w związku niesie ze sobą ryzyko utraty części siebie, części swojego czasu, zasobów. Do kalkulacji, z kim ewentualnie związek tworzyć, dochodzą kalkulacje, czy w ogóle go tworzyć. Często to się kończy racjonalnym wyborem niezwiązku, bo lepiej jest samej. To się bierze z daleko większej elastyczności psychicznej i seksualnej kobiet. Tym się różnią od mężczyzn, że mogą takie racjonalne kalkulacje przeprowadzić i zdecydować, że chcą być samodzielne. Przecież nigdy nie są same, otaczają się przyjaciółkami, rodziną. To nie jest taka samotność jak męska.

Nadmiar wyboru, łatwość wycofania się z relacji, pogłębianie przepaści między płciami – to grzechy aplikacji wobec miłości. A czy ich producentom w ogóle zależy na tym, by powstawały stałe pary?

Gdybym ja był producentem takiej aplikacji, toby mi nie zależało. Wręcz przeciwnie. Na skutecznej aplikacji, która faktycznie łączyłaby w pary, na jednej osobie zarabiałbym maksymalnie raz na cztery lata, kiedy by kończyła stały związek. W moim interesie byłoby, żeby ludzie bezustannie się poszukiwali i nigdy nie odnaleźli. Aplikacjom chodzi raczej o to, by uzależnić ludzi od stałego poszukiwania; złapać ich w pętlę dopaminową. To jest ten zaszyty mechanizm, który sprzyja ciągłym poszukiwaniom. To działa dokładnie tak jak TikTok na dwunastolatków – wciąż przesuwają rolkę w poszukiwaniu silniejszego bodźca, ciekawszego filmiku. Jak się przegląda profile na aplikacjach randkowych, to cały czas się przewija w poszukiwaniu kogoś bardziej interesującego. A jeśli się nie natrafia na kogoś, kto jest ulokowany w promieniu 10 km, to się poszerza terytorium poszukiwania, żeby tych wyborów było jeszcze więcej. Można to porównać do aplikacji zakupowej, która nas trochę uzależnia od poszukiwania coraz fajniejszego towaru. W ten sposób ludzie bezustannie szukają, a mało kto kogokolwiek znajduje na stałe.

Pisze pan, że 100 lat temu świat był niemal w pełni sparowany. Dziś się odparował?

Absolutnie tak. Przez te 100 lat sytuacja się zmieniła i to dramatycznie. Na początku XX w., gdybyśmy przyjrzeli się niemal wszystkim krajom europejskim, to naprawdę bardzo niewielki odsetek, 2–4 proc. ludzi, nigdy nie wszedł w związek małżeński. To był margines osób z bardzo poważnymi deficytami zdrowotnymi czy psychiatrycznymi. W skali całego świata było podobnie. Inaczej mówiąc, był to świat sparowany. Prawie tak samo sparowany był świat, kiedy miłość romantyczna zaczęła zastępować rodzinę czy swatkę, czyli tuż po drugiej wojnie światowej. A dzisiaj połowa gospodarstw domowych w Polsce już nie składa się z pary i ewentualnych dzieci. Mamy świat singli. Połowa ludzi nie przechodzi przez małżeństwo. Połowa mężczyzn niedługo w ogóle nie będzie doświadczała ojcostwa, jeśli nie większość. Przez 100 lat świat uległ zmianie naprawdę dramatycznej.

A co będzie dalej?

Myślę, że potrzeba bycia z kimś jest na tyle silna, że będzie zwyciężać. Pewnie już nie w modelu romantycznej miłości, która ma nas wiązać na całe życie. Do tego ludzie chyba nie będą na siłę przeć. Z badań wynika, że ciągle wierzymy w romantyczną miłość, ale jej poszukiwanie przynosi coraz więcej frustracji i cierpienia. Mam wrażenie, że za chwilę zorientujemy się, że to już nie działa. I że trzeba będzie wymyślać jakąś inną maszynerię, która będzie skutecznie nas parować. Już widać, że zaczynamy poszukiwać innych sposobów bycia razem, które są trochę mniej wymagające niż romantyczna miłość. Próbujemy jakoś powiązać ten swój indywidualizm, swój samotniczy sposób funkcjonowania, który jednak przynosi ludziom sporo przyjemności, i swoją wolność z jakąś formą bycia z kimś. Może będziemy realizować miłość w jakimś bąblu obok codziennego życia. W tym sensie, że niekoniecznie musimy mieszkać razem, na jednym terytorium, i że niekoniecznie musimy deklarować, że to związek do końca życia i będziemy wspólnie wychowywać dzieci. Myślę, że będzie to świat pokawałkowany, złożony z różnych modeli, różnych sposobów na bycie razem. I raczej musimy przyzwyczajać się do tego, że duża część z nas nie będzie w związkach; po prostu.

Miłość romantyczna gromadziła pod jednym parasolem różne wątki naszego życia: seks, emocje, intymność, zaangażowanie, wsparcie dla drugiej osoby. Będziemy je teraz realizować oddzielnie?

To się pewnie stanie z czasem. Najpierw musielibyśmy przestać wierzyć w mit romantycznej miłości. On się już rozsypuje. Widać to choćby w kulturze, w filmach. Ale jeszcze nie chcemy do końca pogodzić się z tym, że miłość romantyczna to kulturowy i społeczny konstrukt. Inne kultury od dawna realizują taki model, gdzie związane z romantyczną miłością wątki są rozdzielone. Na przykład w Japonii małżeństwo właściwie nigdy nie miało nic wspólnego z miłością czy więzią seksualną. Było instytucją ekonomiczno-reprodukcyjną, i tyle. Wszyscy Japończycy i Japonki to rozumieli. W Europie i w Polsce cały czas trudno nam rozłączyć te wszystkie komponenty. Odłączyć seks od uczucia, intymności i poważnego zaangażowania na rzecz budowy związku i reprodukcji. Będziemy musieli zrozumieć, że może już dłużej tak się nie da.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© LESZEK ZYCH

REKLAMA

Zabierz POLITYKĘ na wakacje, zrób zdjęcie i wygraj w konkursie!

CZYTAJ W PLENERZE NA PAPIERZE

Zdjęcia z aktualnym wydaniem naszego tygodnika wrzuć na social media i oznacz: **@tygodnikpolityka #politykanawakacjach** lub wyślij mailem: **konkurs@polityka.pl**

Szczegóły w regulaminie konkursu na stronie **polityka.pl/opolityce**

Czekamy do 31 sierpnia!

eprasa.pl 3c11af7a1e

Armia w budowie

Rok 2027 pojawił się na horyzoncie jako początek nadciągającej wojny. Jeśli spełnią się czarne prognozy, nadejdzie ona w drugim roku urzędowania prezydenta Karola Nawrockiego, od tygodnia pełniącego obowiązki najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych. Atak Rosji na NATO i Polskę jest mało prawdopodobny, za to niemal pewna jest „wojna na górze": o wojsko, obronność i bezpieczeństwo.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Gdyby prawdziwa wojna miała wybuchnąć za dwa lata, prezydent Polski, zwierzchnik sił zbrojnych i osoba odpowiedzialna według konstytucji za obronę kraju, zastałby polską armię w przebudowie. Jak mówi wojskowe powiedzenie, czasem powtarzane przez polityków, na wojnę idzie się z armią, jaką się ma, a nie jaką się chce mieć.

To potencjalny agresor wybiera moment, sposób i skalę ataku, choć w dzisiejszych realiach trudno by ukryć przygotowania Rosji do ataku na wielką skalę przeciwko NATO, tym bardziej przygotowania wspólnie z Chinami, o czym przestrzegał niedawno głównodowodzący wojsk Sojuszu w Europie gen. Alexus Grynkewich. Wówczas, zgodnie z sojuszniczymi planami obrony, w Polsce mogłoby się pojawić nawet 300 tys. żołnierzy państw NATO, by odstraszyć i w razie czego odeprzeć agresorów. To jednak scenariusz idealny, zakładający, że zgoda polityczna będzie murowana, wojskowy mechanizm art. 5 traktatu waszyngtońskiego zadziała jak w zegarku, a NATO będzie mieć wszystkie siły przewidziane w planach. Im mniej ich będzie, tym większa odpowiedzialność za obronę własnego terytorium spadnie na Wojsko Polskie.

Ile Nawrocki ma dywizji

Plany wzmocnienia i przygotowania, być może właśnie na taką wojnę, obejmujące zakupy sprzętu, rekrutację, tworzenie nowych i wzmacnianie istniejących jednostek, rozpisane są jednak do 2035 r., a nawet 2039. W języku politycznym symbolizuje to deklaracja wystawienia

© LECH MUSZYŃSKI/PAP

eprasa.pl 3e11af7a1e

„najsilniejszej armii w Europie", liczącej przynajmniej 300 tys. żołnierzy, w sześciu dywizjach wojsk lądowych i wielu innych formacjach lotnictwa, marynarki wojennej, sił specjalnych, cybernetycznych i Wojsk Obrony Terytorialnej, których cztery brygady na wschodzie mają zostać przekształcone w Komponent Obrony Pogranicza. W tych planach stałą i dużą armię ma uzupełniać licząca nawet milion osób rezerwa, przeszkolona i wyposażona tak jak zawodowcy. Trudno dokładnie procentowo wyliczyć, na jakim etapie „wzmocnienia" jesteśmy dziś, gdy zwierzchnictwo nad wojskiem objął Karol Nawrocki. Bardziej jednak na początku niż w połowie drogi.

Nie mamy sześciu dywizji wojsk lądowych, a niespełna cztery – bo wciąż nie zakończyło się formowanie tej, którą Mariusz Błaszczak powołał do życia w 2018 r. na wschód od Warszawy. Dwie kolejne dywizje, zainicjowane w późniejszych latach na Podlasiu i w centrum kraju, są wręcz w powijakach. 18. Dywizja Zmechanizowana, „Żelazna", ma być najcięższa i największa w całych siłach zbrojnych, ale to sprawia, że powoli idzie jej uzbrajanie, m.in. w najnowsze amerykańskie czołgi. Dywizja w budowie za kilka tygodni ruszy jednak na poligony, by wykazać, co potrafi jako związek taktyczny, i dostarczyć polską odpowiedź na rosyjsko-białoruskie manewry Zapad-25.

Ale do pełni zdolności brakuje jej nie tylko czołgów. Ich towarzyszami na pancernym polu walki miały być ciężkie gąsienicowe wozy piechoty, których do dziś nie udało się ani kupić, ani zbudować w krajowym przemyśle. Polskie nowe Borsuki pomyślano i zbudowano jako wozy lekkie, pływające, zanim jeszcze wyłoniła się koncepcja dywizji ciężkiej. W efekcie supernowoczesne ucyfrowione Abramsy, zamówione za prawie 5 mld dol. i od niedawna dostarczane do Polski, będą jeszcze długo ćwiczyć – a być może walczyć – ze wsparciem muzealnych poradzieckich BWP-1.

Jeśli nad poligonami czy linią frontu latać będą nowoczesne śmigłowce Apacz, to jednak na razie wyłącznie te wypożyczone w liczbie ośmiu, bo na zamówione w zeszłym roku 96 sztuk za rekordowe 10 mld dol. trzeba będzie kilka lat poczekać. A i tak, żeby mogły w pełni wykazać swoją przydatność, trzeba będzie do nich dokupić ciężkie śmigłowce transportowe, np. Chinook, będące mobilnymi punktami zaopatrzenia dla działających w niewielkich grupach Apaczy.

Czekając na czołgi

Bo cała ta obiecana Polakom i sojusznikom w NATO wielka i świetnie uzbrojona polska armia jest wciąż obietnicą, której realizacja okazuje się coraz kosztowniejsza i coraz trudniejsza. Na sam nowy sprzęt, kupowany przez Agencję Uzbrojenia, poszło w ostatnich latach już ponad 600 mld zł, a końca zakupów nie widać. Raz, że nowoczesna broń jest naprawdę bardzo droga, dwa, że „w praniu" wychodzą często dodatkowe potrzeby, o których nie pomyślano i nie przewidziano w budżecie, trzy, że uzbrojenie to tylko jeden z elementów budowania zdolności, a wszystko inne też kosztuje.

Dodatkową, nieplanowaną przeszkodą była strategiczna decyzja Polski o podarowaniu Ukrainie tysięcy sztuk różnego poradzieckiego sprzętu, który miał być stopniowo przez kilka lat wymieniany na zachodni, a zniknął niemal z dnia na dzień. Samych czołgów Polska przekazała Ukrainie 350, czyli więcej niż mają armie dużych europejskich krajów. Jeszcze nie doszliśmy do zapełnienia tych luk, pomimo rzucanych w eter politycznych haseł o tysiącu czołgów z Korei. Za poprzednich rządów kupiono ich ledwie 180. Po trwających przez ostatnie dwa lata negocjacjach udało się właśnie zamówić drugą taką samą transzę, która w jednej trzeciej powstać ma w Polsce i wedle polskiej specyfikacji. Aby wyposażyć tę wielką planowaną armię przyszłości, trzeba jednak niemal 1,8 tys. czołgów, kilkaset więcej niż zamówiono w sumie z Korei i USA.

Jeszcze gorzej wygląda równie głośny temat 500 wyrzutni HIMARS, których do tej pory nie udało się zamówić, bo Amerykanom z trudem przychodzi spełnienie kluczowego warunku – udzielenia licencji na produkcję rakiet. Znacznie szybciej i bez problemu udało się to ustalić z Koreańczykami, od których wyrzutnie i działa już służą w polskich pułkach artylerii. Niestety z opóźnieniem zabrano się do odtwarzania masowej produkcji amunicji, a to też będzie kosztować miliardy.

Inną potrzebą, zauważoną zbyt późno i teraz nadrabianą w przyspieszeniu, jest produkcja i powszechne wdrażanie do wojska dronów, jednocześnie z systemami ich zwalczania. Wbrew obiegowym opiniom wojsko nie zamierza jednak rezygnować z czołgów, ciężkiej artylerii czy tym bardziej samolotów i śmigłowców bojowych na rzecz bezzałogowców – NATO ma na wojnę inny pomysł niż Rosja czy Ukraina i rozwija zdolności po swojemu.

Tę militarną potęgę w budowie Karol Nawrocki ujrzy po raz pierwszy 15 sierpnia na tradycyjnej defiladzie. Nie będzie na niej wciąż licznie obecnego w armii poradzieckiego sprzętu (np. wozów bojowych BWP-1), będą za to symbole wielkich zbrojeń z czasów PiS, kontynuowanych przez obecny rząd: koreańskie czołgi K2, amerykańskie Abramsy, polskie wozy bojowe Borsuk, wyrzutnie rakiet z USA i Korei Południowej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dosłownie w przeddzień wojskowego święta powinna zostać podpisana kolejna wielomiliardowa umowa na modernizację polskich samolotów F-16 po 20 latach ich użytkowania. Ma im dać nowe zdolności na kilka kolejnych dekad. To wszystko efekty drastycznego podniesienia polskich wydatków obronnych, które poszybowały ponad poziom ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ 4 proc. PKB i pochłaniają jedną piątą corocznego budżetu państwa (w przyszłym roku ok. 200 mld zł). Gdy więc Nawrocki krytykuje rząd za rekordowe zadłużenie, przemilcza niewygodną prawdę, że spora jego część wynika ze zwolnienia przez PiS finansowego hamulca na zakup uzbrojenia.

Wojskowa konserwa

Przy okazji defilady prezydent-zwierzchnik z reguły wygłasza do wojska przemówienie, jednak w opublikowanym przez MON przed weekendem bogatym programie obchodów nie ma takiego punktu. Naturalne będzie oczekiwanie czegoś więcej niż okrzyku „Czołem, żołnierze!". Ci odpowiedzą mu głośnym chórem i z prawdziwą gorliwością, bo jak pokazują analizy wyników wyborów prezydenckich (np. Fundacji Stratpoints), kandydaci prawicy – Karol Nawrocki, Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun – zyskali w wojskowych okręgach wyraźną przewagę. Wojsko mamy bardziej konserwatywne niż ogół społeczeństwa, co nowemu zwierzchnikowi przysporzy popularności w armii.

Nawrocki zapowiada „aktywne zwierzchnictwo" i przyglądanie się z bliska procesom powiększania liczebnego, wyposażania wojska w nowy sprzęt i uzbrojenie, reformy strukturalnej i doktrynalnej, w duchu nowoczesności. Brzmi to świetnie, ale w praktyce może być czymś więcej niż patrzeniem na ręce MON – ingerencją w procedury, w których prezydent formalnie nie uczestniczy. Polskie zwierzchnictwo to nie amerykańska czy francuska rola prezydenta-głównodowodzącego, choć gdy Nawrocki będzie jechać Wisłostradą otwartym Land Roverem w towarzystwie szefa Sztabu Generalnego WP, może o takiej pozycji zamarzyć. Na razie jednak dowodzić będzie na innym froncie.

Reduta konfrontacji

Gabinet wojenny w Pałacu Prezydenckim jest skompletowany i czeka na rozkazy. Karol Nawrocki zgromadził wokół siebie ludzi otwarcie wrogich rządowi Donalda Tuska, nastawionych bezkompromisowo i znanych z radykalizmu. Sławomir Cenckiewicz na czele Biura Bezpieczeństwa Narodowego oznacza, że czas konstruktywnego dialogu BBN z MON w sprawach wojskowych się skończył, a nadchodzi czas ostrej walki, pomimo deklaracji, że przy Karowej (siedziba BBN) nie będzie „reduty kontestacji". Jego zastępcy, generałowie rezerwy Andrzej Kowalski i Mirosław Bryś, to oficerowie przekonani do wizji sił i służb według Antoniego Macierewicza i Mariusza Błaszczaka, pamiętający też – tak jak ich szef – „prześladowania" ze strony obecnego rządu. Nowy dyrektor departamentu zwierzchnictwa nad armią gen. bryg. Adam Rzeczkowski, który będzie mieć wpływ na nominacje generalskie, to również oficer z macierewiczowskiego zaciągu.

Kadry, jak wiadomo, decydują o wszystkim, ale Karol Nawrocki zapowiedział, że będzie chciał mieć swoje zdanie w sprawach rekrutacji, modernizacji i rozwoju sił zbrojnych, mimo iż urząd prezydenta nie ma narzędzi, by w te kwestie ingerować, a co najwyżej może liczyć na grzecznościowe informacje z MON. Wizję 300-tysięcznej, najsilniejszej w europejskim NATO armii podtrzymał zgodnie z partyjną linią, choć do tego celu wciąż daleko. Na 2024 r. zaplanowano 217 tys. żołnierzy pod bronią, a jak wynika z najnowszych danych, w tej chwili jest ich ok. 210 tys.

Czy bezpieczeństwo narodowe stanie się polem politycznej walki? Rytualne zapewnienia o wyłączeniu tych spraw ze sporu o władzę nie wytrzymują zderzenia z faktami. Po pierwszych naradach nowej prezydenckiej ekipy z jej poprzednikami, pochodzącymi przecież z tego samego prawicowego obozu, słychać o znaczących różnicach w podejściu i znacznie większym poziomie radykalizmu w ocenie sytuacji. Dotyczy to chociażby relacji obronnych w Unii Europejskiej czy łączących Polskę z Niemcami, wyrastającymi na lidera europejskich wydatków wojskowych i powracającymi do roli głównego partnera USA w NATO. Po Nawrockim i jego kadrach w sumie należało się tego spodziewać, choć uczestnicy spotkań za zamkniętymi drzwiami poufnie dzielą się uczuciem zażenowania. Ktoś kogoś miał pouczać, ktoś inny kwestionować zapisy strategicznych dokumentów, a atmosfera miała być tak gęsta, jakby władzę przejmował obóz wrogi i nieufny, a nie kontynuatorzy rządów prawicy w Pałacu Prezydenckim.

Trochę przypomina to wejście ekipy Mariusza Błaszczaka do MON po Antonim Macierewiczu, tylko że tym razem wektor zmiany jest przeciwny – ludziom nowego prezydenta bliżej do poglądów i stylu Macierewicza niż Błaszczaka. Są podejrzliwi, ale pewni siebie, prawie się nie konsultują, bo wiedzą lepiej – to wyraźnie inny zaciąg niż wychowani w kulcie Lecha Kaczyńskiego i wierni przywództwu Jarosława Kaczyńskiego ludzie z otoczenia Andrzeja Dudy.

USA tak, Unia nie

W inauguracyjnym przemówieniu Nawrockiego w Sejmie najgłośniej wybrzmiało to, że „Polska nie jest Unią Europejską", a swoją tożsamość i siłę ma budować samodzielnie, opierając się na własnych wartościach i pełnej suwerenności. To jeszcze nie wezwanie do polexitu, ale jego antyintegracyjny ton był silny akurat w momencie, gdy – podejmując wyzwania obronne – Unia otwiera nowy obszar integracji, do tej pory pozostający pod ścisłą kontrolą stolic. Dla Nawrockiego to jednak zagrożenie.

W niedawnym wywiadzie w Telewizji Trwam wtedy jeszcze prezydent elekt ocenił, że nowe europejskie mechanizmy wsparcia obrony, takie jak SAFE, „mogą prowadzić do dominacji przemysłu zbrojeniowego francuskiego i niemieckiego", a on jako przyszły zwierzchnik sił zbrojnych „nie wyobraża sobie, żebyśmy nie mogli korzystać z tego sprzętu, który pochodzi ze Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej, i że będziemy wspierać francuski czy niemiecki przemysł zbrojeniowy kosztem naszego przemysłu zbrojeniowego".

W tym zakresie Nawrocki powtarza propagandową linię PiS, choć Polska – ta rządowa – bardzo cieszy się z nowych możliwości finansowania zbrojeń. MON właśnie ogłosił ambicję sięgnięcia po 45 mld euro z unijnych pożyczek SAFE na taki sprzęt, jaki sami zdecydujemy kupić, w tym w znacznej liczbie polski.

Ważne, czego w przemówieniach Nawrockiego nie było lub było mało. Choćby że o trwającej za wschodnią granicą wojnie wspomniał tylko raz. Że o walczącej Ukrainie czy agresywnej Rosji nie powiedział ani słowa. Że nie wymienił ani sąsiadów, ani – poza USA – krajów, których żołnierze stacjonują w Polsce i z którymi mamy budować strategiczne relacje.

Wbrew kreowanej w Warszawie przedwojennej atmosferze i w kontraście do narracji Dudy i PiS bezpieczeństwo nie zostało uwypuklone jako główna oś jego prezydentury. Czyżby Nawrocki miał inne priorytety?

eprasa.pl 3e11af7a1e

Wojsko czekają trudne czasy. Zanosi się na ciężki bój między prezydentem a rządem.

© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Zwycięski kandydat PiS w kwestiach militarnych posługuje się tezami poprzedniego MON i językiem poprzedniego prezydenta, a na głównego doradcę w sprawach zagranicznych wybrał byłego wiceministra spraw zagranicznych Marcina Przydacza. To przynajmniej nadzieja ciągłości i stabilności. Przydacz uznawany jest za umiarkowanego przedstawiciela prawicy, pozostającego w polskim mainstreamie dyplomacji i spraw sojuszniczych pomimo czasem ostrych wypowiedzi. Mówi się, że to Przydacz, a nie Cenckiewicz będzie nowym „doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego" i głównym punktem kontaktowym dla zagranicznych partnerów, jeśli będą chcieli „rozmawiać z Warszawą" na poziomie prezydenckim. Chodzi oczywiście głównie o telefony z Waszyngtonu, które do tej pory jako pierwsi odbierali kolejni szefowie BBN. Ich odcięcie zmieniłoby pozycję Biura z organu dyplomacji sojuszniczej w organ wewnętrznych spraw wojskowych, głównie kadrowych, edukacyjnych i historycznych.

Sławomir Cenckiewicz najbardziej lubi przecież teczki, a z nich najchętniej wyciąga „dowody kolaboracji" ze służbami PRL czy sowieckimi. Będzie miał pole do popisu, choć wojsko może od tego zadrżeć. W jednym z wywiadów, jeszcze przed lipcową nominacją, snuł domysły, że prowadzący jego sprawę o pomoc w ujawnieniu tajnych planów obronnych znany wojskowy prokurator dostał ją dlatego, że jego ojciec służył w pułku zwiadu radioelektronicznego, podległego „dwójce", czyli wywiadowi sztabu generalnego w czasach PRL. A dwójkę i jej ludzi Cenckiewicz ma na celowniku od lat. Łączy z tym odebranie mu poświadczenia dostępu do informacji tajnych, co może być poważną przeszkodą w pracy, o ile sąd mu go nie przywróci. Nie ma wątpliwości, że wojskowym biogramom, zwłaszcza tym generalskim, będzie przyglądał się bacznie.

Dokumenty nie walczą, ale...

Pierwszym obszarem sporu między Nawrockim a rządem może być nowa strategia bezpieczeństwa narodowego. Opracowywany od roku dokument zastąpić miał ten częściowo zdezaktualizowany z 2020 r., ale po przyjęciu w lipcu przez rząd nie został ostatecznie przez Dudę zatwierdzony.

Jak w wielu innych obszarach bezpieczeństwa narodowego, przygotowanie SBN wymaga współpracy prezydenta i rządu, a żadna ze stron samodzielnie nie ma dominującej pozycji. To pole kompromisu i targów. O co będzie się targował Nawrocki? O Unię – to pewne. Ale niewykluczone, że i o Zielony Ład, atom, wiatraki czy CPK. A biorąc pod uwagę wykrzyczane przez Nawrockiego „nie" dla nielegalnej imigracji, i ona może z drastyczną siłą wybrzmieć w obszarze bezpieczeństwa.

Brzmi to jak scenariusz pisany przez Donalda Trumpa? Nawrocki nie kryje przywiązania do kluczowych postulatów MAGA, a też nowa deklaracja polityczna PiS zawiera do nich odwołania. Podlana konfederackim sosem antyniemieckich i antyeuropejskich fobii może przynieść radykalny zwrot w polskich deklaracjach strategicznych, przynajmniej tych składanych werbalnie. Bo z kolei rząd Tuska nie zgodzi się na zapisanie w dokumencie niczego radykalnie sprzecznego z racją stanu, taką jak on ją rozumie.

Jeśli takie przepychanki zablokują publikację nowej SBN, ucierpi całe planowanie obronne, w którym strategia jest aktem nadrzędnym i stanowi punkt wyjścia do produkcji kolejnych dokumentów: planu obrony RP, programu rozwoju sił zbrojnych, planu modernizacji i tajnej strategiczno-politycznej dyrektywy obronnej – instrukcji działania władz na wypadek wojny. Byłoby dobrze ją mieć zaktualizowaną i przećwiczoną przed złowieszczym 2027 r.

Mobilizacja po stronie Tuska

Z kancelarii premiera słychać, że powstać w niej może specjalna komórka pod kierunkiem wiceministra Roberta Kupieckiego, byłego ambasadora w USA i byłego wiceministra obrony. To on z Sikorskim i Tuskiem ma pilnować, by nadchodząca wewnętrzna burza nie zburzyła podstaw naszego bezpieczeństwa.

Jedynym ministrem, do którego Nawrocki pozytywnie się odniósł, był wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Docenił go m.in. za modernizację, w tym kupowanie sprzętu z USA. To już coś. W końcu nowy prezydent spojrzy w tajne dokumenty, do których wgląd będzie mieć z urzędu. Porozmawia z generałami, którzy mimo wszystko wiedzą więcej od szeregowych żołnierzy. Takie rozmowy, co wspominał kiedyś Andrzej Duda, zostawiają szeroko otwarte oczy i potwierdzają, że im mniej się wie, tym lepiej się sypia.

Może Karol Nawrocki dowie się wtedy, co to znaczy, że miałby za dwa lata kierować obroną kraju, we współpracy z Radą Ministrów.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 3e11af7a1e

7 scenariuszy ratunkowych

Mimo triumfalizmu PiS po inauguracji prezydentury Karola Nawrockiego ekipa Donalda Tuska nie przegrała jeszcze wyborów w 2027 r. Wciąż ma sposoby, by odrzucić narzucaną przez prawicę opowieść o pewnej klęsce i nieuchronnym odwecie. Wymaga to jednak zrozumienia, na czym polegają dzisiaj reguły politycznej gry.

MARIUSZ JANICKI

Początek urzędowania nowego prawicowego prezydenta to start kampanii wyborczej do parlamentu. Wszystko, co zrobi teraz ekipa Donalda Tuska, ma sens przy założeniu, że znajdzie sposób na przedłużenie swoich rządów. W przeciwnym razie najbliższe dwa lata będą tylko męczącym okresem przejściowym z nieuchronnym bolesnym finałem. Dopiero kolejna kadencja, w czasie której może nastąpić zmiana w Pałacu Prezydenckim, pozwalająca na trwałe reformy ustrojowe, będzie logicznym dopełnieniem. Prawica, mówiąc o „nowej epoce po 6 sierpnia", chce zepchnąć obóz władzy do głębokiej defensywy, jakby praktycznie już rządził PiS, a Nawrocki był jednocześnie prezydentem i premierem. Jak zatem wyglądają ścieżki do pokonania prawicy w 2027 r. lub wcześniej, jeśli dojdzie do przedterminowych wyborów? Zobaczmy siedem z nich.

1 **Wygrany przez Tuska osobisty pojedynek z Nawrockim, bo tu będzie przebiegał główny front polityczny i wizerunkowy.** Jakiekolwiek łagodzące deklaracje by teraz padały, to będzie bezpardonowa walka. Nawrocki świadomie wybrał rolę prezydenta połowy Polaków, wygłosił w Sejmie bardzo konfrontacyjne orędzie i stawia sobie za cel obalenie obecnego rządu. Tusk podnosi rzuconą mu rękawicę i nazwał Nawrockiego „nowym liderem prawicy", uznając tym samym, że teraz walka dotyczy właśnie ich dwóch (przy okazji pomniejszając znaczenie Kaczyńskiego); zapowiedział też „bezwzględność", jeśli okaże się konieczna. Podkreśla zarazem, że nowy prezydent ma dokładnie takie same uprawnienia jak

eprasa.pl 3e11af7a1e

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

wcześniej Andrzej Duda, którym nikt się specjalnie nie przejmował. Obaj będą chcieli udowodnić, że ten drugi się myli, obaj też mają instrumenty blokady swoich projektów: Nawrocki – weto, rząd – możliwość odrzucania ich w parlamencie.

Nawrocki zapowiada, że będzie proponował wiele ustaw (ma „21 obietnic", ale może to robić także rząd Tuska; obie strony będą więc rywalizować na atrakcyjność pomysłów, które nie wejdą w życie (choć może kilka jednak przejdzie), a publiczność zdecyduje, których rozwiązań bardziej jej szkoda i czyje tłumaczenia towarzyszące blokowaniu uzna za bardziej przekonujące. Tak czy inaczej, Nawrocki też może „nie spełniać obietnic". Jeżeli Tuskowi i koalicji nie zechce się brać udziału w takiej rywalizacji, bo uznają ją za jałową, to przegrają, bo ten konkurs i tak został już rozpisany.

Nawrocki może też często zwoływać rady gabinetowe (pierwszą, jeszcze w sierpniu, już zapowiedział), żeby podczas posiedzeń grillować Tuska, ale ten może odpowiadać na zaczepki Nawrockiego z całą ostrością, bo nie jest jego podwładnym. I znowu – to odbiorcy wybiorą zwycięzcę tych potyczek. Nowy prezydent będzie robił jeszcze jedno: otaczał Platformę kordonem sanitarnym i próbował wyłuskiwać z koalicji Polskę 2050 i PSL do „wspólnych projektów", np. ustawy medialnej czy polityki obronnej, do czego akces już zgłosili Hołownia i Kosiniak-Kamysz. Podobnym instrumentem rozmiękczania koalicji może być zapowiedziana przez Nawrockiego „rada ds. naprawy ustroju państwa" i pisanie nowej konstytucji. Jeżeli koalicjanci zaczną wydeptywać nieautoryzowane przez rząd ścieżki do Pałacu, licytować się na dojścia do „pana prezydenta" i tym imponować Tuskowi, z którym „pan prezydent" nie chce rozmawiać, to szanse na pokonanie PiS zmaleją.

Tusk powinien też brać pod uwagę to, że Nawrocki będzie symbolem tego całego prawicowego teatru, patriotycznej celebry i nacjonalistycznej opowieści, a do pomocy będzie miał szefa gabinetu Pawła Szefernakera, zdolnego organizatora i piarowca, który kierował jego kampanią. Prezydentura zapowiada się na dalszy jej ciąg – patriotyczno-religijne eventy, spotkania z bohaterami, historyczne rocznice, defilady itd. Co prawda dzisiaj Nawrocki startuje inaczej niż Duda, bo ten w 2015 r. uchodził za „nową twarz PiS", kogoś ponad podziałami, czym zwiódł nie tylko liberalnych wyborców, ale też wielu komentatorów.

Teraz jest trochę mniej złudzeń, Nawrocki od początku ma reputację prawicowego i katolickiego radykała, ale niekoniecznie musi przeszkadzać, zapewne pojawi się znany z czasów Dudy specyficzny afekt do Pałacu, któremu ulegają także dziennikarze, zainteresowanie pierwszą damą, rodziną, całą tą celebrycką sferą, która medialnie jakoś ochrania głowę państwa. Do tego dochodzi hasło „dajmy mu szansę", stwierdzenia, że to jednak niesamowita kariera, coś w tym musi być, takiego „ludowego" ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ prezydenta jeszcze nie mieliśmy itd. Zwłaszcza socjalna lewica już zaczęła się wzruszać i „dawać szansę". Z tym cyrkiem też się będzie musiał Tusk zmierzyć, bo kancelaria premiera nie ma takiej legendy.

Pojedynek na szczycie między premierem a prezydentem będzie się rozstrzygał na zasadzie – kto się okaże silniejszy, sprytniejszy, kto jest większym macho, sigmą, twardzielem itp. Za Tuskiem przemawia wielkie doświadczenie, ale zetrze się z pojętnym debiutantem, obstawionym przez profesjonalnych doradców od komunikacji, których szef Platformy nie ma. A to będzie wojna przede wszystkim na wrażenia i emocje, z którymi się nie dyskutuje, tylko tworzy własne. Wydaje się, że głównym zadaniem Tuska jest teraz oheblowanie Nawrockiego z formatu „imperatora", jaki próbują stworzyć on sam i jego ludzie, pokazanie mu miejsca w szeregu. Bo będzie to też konkurs na to, kto zręczniej upokorzy drugą stronę. Ale obok bieżącej walki będą się liczyć większe procesy, które zdecydują o powodzeniu kampanii.

2 Wspólny start wyborczy całej koalicji pod hasłem walki z brunatniejącą prawicą po to, aby nie mogła „domknąć systemu". Przy prezydenturze Nawrockiego z jego kibolskimi korzeniami, przy narastającym licytowaniu się prawicy na coraz częściej antysemickie i rasistowskie hasła, podział na otwartą, liberalną z jednej strony i nacjonalistyczną, autorytarną Polskę z drugiej – będzie coraz bardziej widoczny. Przygotowania do formuły „antybrunatnej" koalicji musiałyby zacząć się odpowiednio wcześnie, co dałoby czas na jej ugruntowanie w społecznym odbiorze i rozpoczęcie nowej mobilizacji. Byłby to w jakimś sensie powrót do drugiej tury wyborów prezydenckich, z nadzieją tym razem na przechylenie wyniku w drugą stronę, np. przy choć trochę większej mobilizacji zachodnich województw i niegłosowania na prawicę przez tych wyborców koalicji, którzy w czerwcu wsparli Nawrockiego. Teraz PiS mówi o ostatecznym zwycięstwie w 2027 r., tak jak Tusk mówił o wielkim finale w 2025. Nie wyszło Tuskowi, może nie wyjść Kaczyńskiemu.

Trudność może być taka jak zawsze: PSL może nie zechcieć być w jednej koalicji wyborczej z Lewicą, ale sytuacja jest inna niż w 2019 r., kiedy przegrała wspólna koalicja na wybory europejskie, co do dzisiaj jest traumą dla Kosiniaka-Kamysza, nazywanego wówczas „tęczowym Władkiem". Wejście do gry Konfederacji i Korony Brauna powoduje jednak, że dla umiarkowanych konserwatystów w rodzaju PSL miejsca jest coraz mniej. Jeśli efekt walki „wszyscy przeciw brunatnej prawicy" ma być pełny, koalicja powinna gromadzić pełną pulę demokratycznych ugrupowań na zasadzie ostatecznego „starcia tytanów", dwóch Polsk itp.

Może jednak zaistnieć wariant, w którym Lewica Czarzastego dogada się kolejny raz na wspólny start z Zandbergiem. Będzie w tym mnóstwo politycznej niekonsekwencji, bo jeden człon jest w rządzie, a drugi go mocno atakuje, ale wzmocni to wyborcze szanse obu partii. Grozi to jednak tym, co stało się kilka miesięcy po wyborach w 2023 r., czyli odłączeniem się Razem od koalicji. Szefowa klubu Lewicy już dzisiaj wspomina, że jej ugrupowanie może pójść do wyborów z Razem, a potem stworzą oddzielne sejmowe kluby. Tyle że Zandberg napisał niedawno na X: „wyjątkowa jest ta ekipa nieudaczników Tuska. Oszukali miliony ludzi, nie dotrzymali obietnic, w efekcie przewalili wybory nie do przegrania (...)". Nie gwarantuje to dobrej atmosfery w antyPiSie, jeśli to będzie jeszcze antyPiS. Tak czy inaczej, wyklinana przez wielu polaryzacja może być – kolejny raz – jedynym sposobem na przeciwstawienie się radykalnej prawicy, która wyraźnie prze do ostrej konfrontacji, finałowej walki dobra ze złem w jej rozumieniu.

3 Wzrastanie poparcia dla KO oraz pozostałych koalicjantów, którzy powróciliby ponad wyborczy próg. Znacznie lepsze jakościowo rządy Tuska, unikanie takich błędów jak ostatnio z KPO oraz sukcesy w grze z Nawrockim dałyby pewną szansę na notowania Platformy w granicach 35 proc. PiS po kilku latach konfrontacyjnych rządów w 2019 r. poszybował w sondażach wyraźnie ponad 40 proc., czyli jest to wykonalne. Do tego potrzebne są zarówno ogarnięcie się Platformy, jak i efektowne projekty koalicyjnych partnerów, które zaakceptuje Tusk oraz nawzajem sami partnerzy. Próby wyciągania średniej z różnych propozycji najczęściej kończą się wzajemną blokadą, co obciąża wszystkie ugrupowania koalicji, bo wyborcy nie wnikają w niuanse. Ostatnio powstała funkcja ministra – nadzorcy prac rządu, ale pytanie, czy ma to znowu oznaczać, że będą przechodzić tylko pomysły podobające się Platformie, nie wiadomo.

O ile PSL jest „wieczny", a przynajmniej sam w to wierzy, a Lewica wciąż ma jakieś potencjalne rezerwy, o tyle perspektywy dołującej Polski 2050 (ostatnie miejsce w niedawnym sondażu z wynikiem 2,8 proc.) wyglądają słabo. O powrocie do dawnego znaczenia trudno mówić, ale może wydźwignięcie się ponad wyborczy próg nie jest ponad siły Hołowni. Jeśli jednak taki stan trwałego pozostawania poniżej 5 proc. miałby się przedłużać, konieczne mogą się okazać decyzje radykalne: czyli „rozparcelowanie" lub przekształcenie w nowy twór Polski 2050, która ma dzisiaj wciąż 32 posłów, ale jest to historyczny stan posiadania, potrzebny teraz do podtrzymania sejmowej większości, lecz nieprzydatny w perspektywie wyborów za dwa lata.

4 Pojawienie się nowej politycznej siły na ok. 12–15 proc. jako junior partnera Platformy, który by jej jednak nie odbierał wyborców. Takiego średniego partnera PO dotkliwie brakuje, jeśliby dotychczasowi koalicjanci się nie podźwignęli. Mogłaby to być swoista Konfederacja po liberalnej stronie (Konfa praktycznie nie uszczupliła zasobów PiS, a pozyskała dla prawicy nowych zwolenników), np. silnie wolnorynkowa, ale zarazem proeuropejska i nienacjonalistyczna. Niewykluczone, że nawet bardziej antypisowska niż PO, w duchu Silnych Razem. Albo przeciwnie – formacja w ogólnym typie Trzeciej Drogi, czyli jakiś odpowiednio mdły twór centrowy dla „zmęczonych PO-PiS-em", ale w lepszej, skuteczniejszej wersji. Jakieś zapowiedzi powstania nowych ugrupowań pojawiają się, ale jeszcze nikt nie odważył się otwarcie wystartować, co zresztą nie jest łatwe, jeśli się nie ma środków i znanych twarzy. Rozmowy podobno trwają.

Jednak wbrew popularnym po wyborach prezydenckich teoriom politologów stary duopol trzyma się mocno, PO i PiS mają nadal po ok. 30 proc., trudno więc mówić, że inna para ugrupowań, czyli najczęściej wymieniani zmiennicy – Konfederacja z ok. 15 proc. i Razem z 3–4 proc., miałaby stać się nowym duopolem; nic na razie na to nie wskazuje. Walka z PO-PiS-em jest najczęściej zakamuflowaną formą zwalczania Platformy, a jej osłabienie, przy podprogowych wynikach innych demokratycznych formacji, oznaczałoby otwarcie Kaczyńskiemu autostrady

eprasa.pl 3e11af7a1e

do władzy. Dopóki nie ma wystarczająco silnej alternatywy dla PO, to przy swoich irytujących wadach pełni ona funkcję głównego przeciwnika dla prawicy. Po prawicowej stronie wszyscy wiedzą, że PiS jest na razie niezastępowalny w roli głównej partii prawicy.

5 **Przekazanie przez Tuska premierostwa komuś innemu, np. Sikorskiemu w 2026 r. lub w pierwszych miesiącach 2027 r.** Na tyle więc późno, aby nowy premier za bardzo się nie opatrzył i nie „złachał", ale odpowiednio wcześnie, aby kojarzył się z jakimiś pozytywnymi zmianami i nowym programem wyborczym. W innym wariancie Tusk mógłby być premierem do końca kadencji, ale wskazałby przed wyborami kandydata na premiera, Sikorskiego albo kogoś innego. Oczywiście chodzi wyłącznie o funkcję szefa rządu, a nie przywództwo w partii. W każdym razie to są na razie luźne spekulacje, które jednak świadczą o nastrojach i poszukiwaniach alternatyw na wypadek, gdyby reanimacja rządów dotychczasowego lidera Platformy nie przebiegła zgodnie z oczekiwaniami.

Tusk wciąż ma wiele instrumentów, aby poprawić swoje rządzenie, także po to, aby ewentualnemu następcy przekazać partię z jakimiś szansami, a nie masę upadłościową. Wydaje się też, że Tusk wciąż wierzy, że sam podźwignie rząd i Platformę, a wariant z Sikorskim jest awaryjny i rozważany jako ostateczność. Ale PiS już reaguje, Kaczyński poczynił złośliwości wobec Sikorskiego, przypominając żydowskie pochodzenie jego żony. A fakt, że sięgnął do tak niskich metod, ma być wysłaną przestrogą, że w tej walce nie będzie żadnych hamulców.

6 **Liczenie na to, że PiS nie dogada się z Konfederacją.** Już teraz, na długo przed terminowymi wyborami, Kaczyński krytykuje i prowokuje zwłaszcza Nową Nadzieję Mentzena, bo z Ruchem Narodowym Bosaka ma znacznie lepsze relacje i bardziej zbliżony program. Prezes PiS stosuje znaną od dekad doktrynę „zero konkurencji po prawej stronie". Myśl, że ktoś taki jak Mentzen miałby mu stawiać warunki, jest dla niego trudna do zniesienia. Prowokuje Mentzena, a potem on i inni politycy PiS zarzucają mu, że jest agresywny. Jeden z działaczy Konfederacji trafnie określił taktykę Kaczyńskiego jako „zdominuj albo zniszcz". Takie grillowanie może trwać i dwa lata. Dlatego koalicja PiS z całą Konfederacją choć prawdopodobna, wciąż nie jest przesądzona, a jeśli powstanie, może nie być trwała. Niewykluczony też jest podział Konfederacji, gdzie Ruch Narodowy pójdzie z PiS, a Nowa Nadzieja Mentzena będzie szukać innego miejsca, np. pozostanie w opozycji bez przydziału i Kaczyńskiemu zabraknie trochę posłów do sejmowej większości. Strona demokratyczna może coś tu próbować ugrać, choć chyba nie z premierem Tuskiem na czele, bo Mentzen na to się raczej nie zgodzi (więcej o rozgrywce na prawicy s. 24).

7 **Czekanie na naturalne odchylenie się politycznego wahadła w drugą stronę jeszcze przed jesienią 2027 r.** Część procesów politycznych wymyka się znanym, racjonalnym czynnikom, można je traktować po trosze jako „zjawiska przyrodnicze". Nawrót konserwatyzmu nie musi być trwały, podobnie jak wcześniejsza fala poprawności lewicowej w końcu znalazła się w odwrocie i to, wydawało się, w swoim szczytowym punkcie. Do 2027 r. rzecz jasna fala nie cofnie się całkowicie, ale może przejść już swoje apogeum, Trump będzie powoli kończył kadencję, zjawisko migracji może zostać w miarę opanowane, a przynajmniej zejdzie z głównej agendy, spadnie zapotrzebowanie na prosty prawicowy radykalizm. Triumfalizm Nawrockiego już się nieco wypali, widoczne zadęcie i narcyzm mogą zacząć śmieszyć, a do głosu znowu zacznie dochodzić liberalne centrum.

Trudno dzisiaj ocenić prawdopodobieństwo takiego scenariusza, ale faktem jest, że cykle polityczne raczej się w ostatnich latach skracają, a nie wydłużają. Dotyczy to zwłaszcza młodszych generacji, które mają coraz większy wpływ na wynik wyborów, choć tu gra jeszcze jeden czynnik: młodzi są z reguły przeciwko aktualnie rządzącym. Ale też wsteczność i obskurantyzm prawicowej propozycji może zacząć w końcu drażnić właśnie młodych, którzy wyraźniej dostrzegą, do gry w jakiej orkiestrze się ich zachęca.

Oczywiście w grę wchodzą różne kombinacje przedstawionych ścieżek, które mogą się na siebie nakładać. Dwa lata to dużo czasu, aby odwrócić niekorzystne tendencje. Platforma wciąż utrzymuje się w okolicach 30 proc. w sondażach i wymienia się na pierwszym miejscu z PiS. Marzenia Kaczyńskiego o 40 proc. dla PiS na razie nie mają żadnych podstaw. Istotne jest zrozumienie przez rządzących, że kwestia wizerunku, piaru, optymistycznej, zwartej opowieści, jest niezbędnym elementem sukcesu, a szef rządu, jak to wynikało z jego wypowiedzi podczas spotkania w Pabianicach, wciąż nie jest do tego przekonany. Tusk powiedział ostatnio, że „jedni są specjalistami od pokazów, a drudzy od tego, żeby konkretnie budować". Otóż to się ściśle łączy: żeby konkretnie budować, trzeba być przy władzy, a do tego potrzeba „specjalistów od pokazów".

Wybory wygrywa się w głowach wyborców. Jakiekolwiek zasługi, świetne programy nie mają politycznego znaczenia, jeśli nie zaistnieją w zbiorowej świadomości. Teraz liczy się wyczuwanie bieżących oczekiwań, rozumienie współczesnych mechanizmów docierania do odbiorców, algorytmów w przestrzeni cyfrowej, metod pozyskiwania przebadanego targetu. To nie jest zadanie dla posłów czy ministrów, którym wydaje się, że się na tym znają, ale dla wyspecjalizowanych komórek promocyjnych, które dostają „towar", czasami sugerując, jaki ma być, i działają swoimi metodami. Takie zespoły działają przy partiach i rządach permanentnie, nie ma dzisiaj podziału na czas kampanijny i powyborczy. Przeciwstawienie się triumfalizmowi prawicy, która dostała nowej energii pod patronatem Nawrockiego, wymaga zastosowania zupełnie nowych instrumentów wpływu, nieporównanie większej aktywności w internecie.

Pamięć o powrocie Tuska w 2021 r. do polskiej polityki, która skutkowała odsunięciem Kaczyńskiego od władzy, wciąż jeszcze nieco łagodzi rozczarowanie i irytację. Ale to już końcówka tego sentymentu, co widać w mediach społecznościowych. Wszyscy czekają na błyskotliwą reaktywację, nadanie sensu kolejnemu etapowi starcia z prawicą. Jeżeli nie będzie zauważalnego przełomu, zacznie się wielka ewakuacja, najpierw mentalna, a potem konkretna – urzędników, sędziów, prokuratorów, funkcjonariuszy, ludzi służb i wojska, samorządowców, którzy przestaną uczestniczyć w demokratycznym projekcie, a bez nich nie da się go przeprowadzić. Już widać takie „ostrożnościowe" zachowania. Także dlatego 2027 r. zaczął rozstrzygać się już teraz.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 3e11af7a1e

Rozprawa po prawej

RAFAŁ KALUKIN

PiS wciąż jeszcze dominuje, ale czas gra na korzyść Konfederacji. Wszystko więc wskazuje, że obie prawice czeka wyniszczająca wojna o prymat. I wcale nie jest powiedziane, że na tym pobojowisku uda im się ostatecznie zbudować koalicję.

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Inauguracja nowej prezydentury zapowiada nowy podział zadań w obozie PiS, gdyż to Karol Nawrocki stanie się teraz głównym antagonistą premiera Donalda Tuska. W razie konieczności z istotnym wsparciem Jarosława Kaczyńskiego, chociaż wygląda na to, że prezes przede wszystkim skupi się jednak na nie mniej dla niego istotnym froncie, czyli rywalizacji z Konfederacją o prymat na prawicy.

I z pewnością nieprzypadkowo podjął w ostatnim czasie szereg wymierzonych w konfederatów działań, z czym nawet nie czekał na zaprzysiężenie Nawrockiego. Na początek spuścił ze smyczy Roberta Bąkiewicza, który zorganizował mu „patrole obywatelskie" na zachodniej granicy. Następnie poszedł za ciosem, podsuwając Sławomirowi Mentzenowi zestaw obecnie najmodniejszych prawicowych sloganów, pompatycznie nazwany „deklaracją polską". A na koniec dodatkowo podniósł jeszcze stawkę w licytacji na prawicowy radykalizm antysemicką aluzją o pochodzeniu Anne Applebaum, co w długiej karierze

eprasa.pl 3e11af7a1e

Kaczyńskiego stanowi mimo wszystko istotne *novum*.

Wszystkie te ruchy miały jednak wspólny cel: określić pole konfliktu po prawej stronie oraz przejąć nad nim narracyjną kontrolę. Prezes najwyraźniej miał potrzebę udowodnienia, że to on niezmiennie pozostaje władcą prawicowego świata. I to koniecznie przed wejściem do gry Nawrockiego, żeby nikt nie miał wątpliwości, kto jest jedynym patronem tej prezydentury.

Uciekając w radykalizm, Kaczyński próbuje jednak ukryć swoją słabość. Robił tak zawsze, kiedy czuł, że jego pozycja staje się zagrożona. Po raz pierwszy w zamierzchłej już epoce, zwołując demonstracje pod Belwederem z paleniem kukły „Bolka", co było reakcją na przegrane wybory i degradację do roli pozaparlamentarnej opozycji. I podobnie wiele lat później, kiedy sięgał po smoleńską kartę, żeby zaatakować bezlitośnie go wtedy ogrywającego Donalda Tuska. I wreszcie całkiem niedawno, gdy obejmującą władzę koalicję 15 października porównywał do ekipy stanu wojennego, oskarżając ją o przeprowadzenie zamachu stanu. Rozniecanie gorączki za każdym razem miało odwracać uwagę od klęski i rozliczeń we własnym obozie.

Z ostatnich wyborów PiS wyszedł zwycięsko, co niewątpliwie pozwoliło Kaczyńskiemu doraźnie przejąć polityczną inicjatywę, ale zarazem pokazało, że jego formuła polityczna stała się już bardzo zmurszała. Tym razem już nie wystarczyło taktycznie schować samego prezesa, jak w poprzednich kampaniach. Potrzeba było czegoś dużo więcej: wycofania na dalszy plan sztandarów PiS. A to już zasadnicza zmiana chociażby w porównaniu z sukcesem Andrzeja Dudy sprzed dekady, osiągniętym dzięki radykalnej fali wywołanej przez Pawła Kukiza, za którym nigdy jednak nie stał zorganizowany hufiec wyborców.

W tegorocznej kampanii podobną rolę odegrali Sławomir Mentzen oraz Grzegorz Braun, a w jakiejś mierze również Krzysztof Stanowski, którzy jednak reprezentowali elektorat dużo bardziej świadomy podziałów po prawej stronie, już nie tylko „antyduopolowy", ale też po prostu antypisowski. Ostatecznie to on przechylił szalę na korzyść Nawrockiego, ale wcześniej kandydat PiS zmuszony był odciąć część dziedzictwa swojej formacji i przyjąć niemal całą agendę Konfederacji. I to na warunkach Mentzena, który wezwał go na cokolwiek upokarzający egzamin z nowej doktryny, zwieńczony uroczystym podpisaniem podsuniętej przez konfederatę „deklaracji toruńskiej".

Sam Nawrocki pewnie nie był jednak aż tak upokorzony. Jego prawicowy radykalizm nie był przecież udawany, a nie mając wcześniej bezpośrednich związków z wystawiającą go partią, mógł też sobie pozwolić tu i ówdzie zakwestionować pod presją egzaminatora część dorobku rządów PiS. Ale już Kaczyńskiego hołd toruński w wykonaniu jego nominata musiał zaboleć. Nie dało się przecież wyraźniej pokazać, że to nie on sprawuje już rząd dusz po tej stronie sceny.

Podsuniętą ostatnio w rewanżu Mentzenowi „deklarację polską" można więc było potraktować jako dosyć rozpaczliwą próbę odzyskania incjatywy. Z jednej strony Kaczyński podtrzymał w niej żelazne dla jego obozu zasady, które zawarł w trzech pierwszych punktach („nie dla koalicji z Tuskiem", „nie dla współpracy z putinowską Rosją", „tak dla sojuszu z USA"). Dla Konfederacji nie są one jednak aż tak oczywiste, toteż resztę „deklaracji" zdominowała już mieszanka haseł antyimigranckich, antyunijnych i suwerennościowych. Entuzjastycznie dzisiaj przyjmowanych w obydwu formacjach, tyle że Konfederacja ma nad PiS tę istotną przewagę, iż nigdy nie rządziła i nie musiała konfrontować swojej prawicowej wiary z realiami.

Trudno więc było oczekiwać od Mentzena, że tak prosto da się Kaczyńskiemu podejść. Jego podpis oznaczałby bowiem rezygnację z przywileju atakowania hipokryzji PiS, który dogadywał się przecież nieraz z Brukselą, akceptował Zielony Ład, pomagał Ukrainie. Ale też z drugiej strony Kaczyński pewnie liczył, że odmowa złożenia podpisu narazi lidera Konfederacji na krytykę jego wyborców, którzy nie mając często rozeznania w taktycznych meandrach rozgrywki, dojdą do wniosku, że Mentzen „wymiękł".

A szczególnie mogło to dotyczyć tych bardziej prawicowych, którzy w większym stopniu identyfikują się z narodowcami Krzysztofa Bosaka, przyklaskują akcjom Grzegorza Brauna. Niepisowska prawica ma w końcu dzisiaj trzech liderów, których różni niemało, więc sytuacja aż się prosi, żeby spróbować wbić pomiędzy nich klin. Tyle że pierwsza taka próba wyszła Kaczyńskiemu tak sobie. Bo zwinny Mentzen nawet nie próbował kluczyć, tylko od razu dosyć klarownie wyłożył na własnym kanale, dlaczego nie można się poddać szantażowi. A do tego jeszcze obraził prezesa, nazywając go „politycznym gangsterem", co oczywiście musiało sprowokować odpór ze strony pisowskich sekundantów prezesa. Najdalej posunął się Radosław Fogiel, który z kolei określił Mentzena mianem „rozwydrzonego bachora".

W efekcie na portalach społecznościowych wybuchła wojna wszystkich ze wszystkimi: pisowców z konfederatami, ale też zwolenników prawicowej jedności z autonomistami, mentzenowców z bosakowcami, a sporo wiatru robił też „front gaśnicowy" od Brauna. Trudno rozstrzygnąć, kto i jak na tym wyszedł, niemniej sam Mentzen – jak słychać w jego formacji – sprawiał wrażenie zadowolonego. Najwyraźniej więc uznał, że akurat w przededniu inauguracji nowego prezydenta taki konflikt po prostu mu się opłaca.

Prezes PiS się cofnął. Puścił „gangstera" mimo uszu i nie zaszczycił Mentzena ripostą. Chociaż to oczywiście chwilowe zawieszenie broni i raczej nikt nie ma złudzeń, że kolejna batalia o rząd dusz na prawicy dopiero się rozpędza. Już wcześniej PiS zapowiedział uliczny marsz przeciwko „nielegalnej imigracji", nieprzypadkowo zwołany na 11 października, czyli przed organizowanym przez środowiska konfederackie Marszem Niepodległości. Bo chodzi oczywiście o przejęcie najważniejszej dziś prawicowej emocji.

Takich gier dominacyjnych Kaczyński toczył już jednak w swojej karierze bez liku, posługując się zresztą podobnym schematem. Jak tylko pojawiało się poza obszarem jego panowania nowe prawicowe środowisko, które kwalifikował jako zagrożenie, wcześniej czy później musiało się to skończyć próbą podporządkowania. Poszerzał tym samym obszar swojego władztwa na coraz skrajniejsze terytoria, co dla polskiej polityki byłoby nawet korzystne, gdyby jego cel stanowiło ujarzmianie radykalizmów. Było jednak dokładnie na odwrót: to Kaczyński z każdą kolejną zdobyczą przesuwał się coraz bardziej na prawo, ciągnąc tam za sobą cały prawicowy mainstream.

Chociaż paradoksalnie, kiedy wchodził w 1989 r. do wielkiej polityki, wcale się nie uważał za człowieka wojującej prawicy. Swoją pierwszą partię nieprzypadkowo ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ nazwał Porozumieniem Centrum, a szukając dla niej ideowej szufladki, wymyślił sobie chadecję. Marzyła mu się polska CDU, ale będąc wcześniej politycznym singlem, kleił PC z tego, co się akurat pod rękę nawinęło. Sierot po koncesjonowanych w PRL organizacjach katolickich, zwariowanych antykomunistów, mentalnych endeków. I w efekcie cały ten prawicowy żywioł coraz mocniej znosił go później na prawo, chociaż publicznie nie ukrywał związanego z tym dyskomfortu.

Dopiero założony u progu kolejnej dekady PiS stał się już jednoznacznie prawicowy. W tamtym czasie głównie wynikało to jednak z potrzeby odróżnienia się od silniejszej Platformy, z którą zamierzał wejść w koalicję po wyborach w 2005 r. Dopiero fiasko tego projektu oraz nowy podział sceny pomiędzy obie te formacje nagle uczyniły Kaczyńskiego najważniejszym graczem po prawej stronie. Od tej pory już z godną podziwu konsekwencją likwidował wszystkie konkurencyjne nurty.

Te niegroźne na wszelki wypadek kooptował, żeby się kiedyś nie rozrosły. Jak kadłubowe partyjki Macierewicza albo Marka Jurka, a w późniejszych latach – Zbigniewa Ziobry, Jarosława Gowina, Pawła Kukiza. Ale jak ktoś za bardzo się wzmocnił, prezes działał bardziej zdecydowanie. To przede wszystkim przypadek Ligi Polskich Rodzin, która dwie dekady temu wyrastała na poważną prawicową konkurencję. Początkowo będąc dosyć przypadkowym zlepkiem wielu radykalnych środowisk, które zebrał do kupy o. Tadeusz Rydzyk. I to właśnie od przekupienia patrona zaczął Kaczyński, oferując redemptoryście realne polityczne i finansowe wpływy. A w następnym kroku wciągnął LPR do koalicji, robiąc jej lidera Romana Giertycha wicepremierem i pozwalając mu realizować ideologiczne namiętności w resorcie edukacji. Z czułego uścisku prezesa wydostały się już tylko szczątki ambitnego środowiska, m.in. Krzysztof Bosak.

Ale z młodszymi rocznikami narodowców już nie poszło Kaczyńskiemu tak łatwo. Fenomen Marszu Niepodległości początkowo chyba traktował jako zjawisko głównie socjologiczne, ogólnie zresztą korzystne dla PiS, ale już niekoniecznie jako zalążek liczącego się ruchu politycznego. Skądinąd Ruch Narodowy przez pierwszych kilka lat faktycznie nie był w stanie wyjść poza śladowe poparcie. Tym bardziej nie doceniał kolejnych partyjek zakładanych przez Janusza Korwin-Mikkego, którego faktycznie trudno było traktować poważnie.

Tyle że Kaczyński przegapił moment, w którym okrzepli zręczniejsi następcy Korwina i stopniowo zaczęli przejmować po nim pałeczkę. A kiedy już połączyli siły z narodowcami i egzotycznym Grzegorzem Braunem, nowy ruch zaczął nabierać realnej dynamiki. Konfederacja okazała się czymś więcej niż kolejnym konglomeratem rozproszonych dotąd radykalizmów, które łatwo jest z powrotem porozbijać na części pierwsze. Niemal od razu usadowiła się w alternatywnej prawicowej przestrzeni, która dotąd była zjawiskiem co najwyżej subkulturowym, ale w toku przemian pokoleniowych, technologicznych i komunikacyjnych coraz bardziej się rozrastała, nabierając politycznego znaczenia. Tutaj jednak sprawstwo tradycyjnej prawicy już nie sięgało.

Chociaż Kaczyński próbował jeszcze przeciwdziałać, tym razem przekupując głównego organizatora Marszu Niepodległości Roberta Bąkiewicza, co niewiele dało, bo wyborcy Konfederacji nie nabrali się na koncesjonowanego narodowca. Próbował tresować konfederatów blokadami na dostęp do telewizji Kurskiego, ale ci mieli własne media w internecie. Nowa prawica stała się samowystarczalna i uwierzyła, że wreszcie nadchodzi jej czas. Można więc zagrać o dużo więcej niż ochłapy ze stołu starzejącego się władcy. A wybory prezydenckie dodatkowo takie aspiracje wzmocniły.

Przyszła prawicowa koalicja wcale więc nie musi się okazać aż tak naturalna, jak się potocznie dzisiaj uważa. Nie wydaje się bowiem, żeby Konfederacja była skłonna wejść w układ z PiS w roli przystawki. Sugerował to publicznie nie tylko Mentzen, ale też przychylniejszy prawicowemu sojuszowi Bosak. I raczej nie jest to z ich strony jedynie taktyczne zasiewanie wątpliwości, lecz autentyczna obawa przed drapieżnym instynktem Kaczyńskiego, który faktycznie nie wydaje się zdolny do budowania partnerskich relacji, nawet kiedy wymaga tego polityczny interes. A już zwłaszcza mając za partnerów ludzi o niemal dwa pokolenia młodszych, którym już nieraz dawał do zrozumienia, jak bardzo ich nie szanuje.

Co ciekawe, na początku swojej politycznej drogi sam przecież doświadczył tego samego ze strony ówczesnych solidarnościowych patriarchów Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka i Jana Olszewskiego. Każdy z nich na swój sposób uraził dumę Kaczyńskiego, traktując go lekceważąco z racji jego młodego jeszcze wieku i stosunkowo niskiej pozycji w opozycyjnych hierarchiach. Odtąd sprawiał wrażenie, jakby chciał sobie dodać lat. Był tylko trochę po czterdziestce, a już zdarzało mu się podkreślać, że jest starszym panem. Z kolei młodszym protekcjonalnie wypominał wiek. Stosunkowo szybko został zresztą uznany za patriarchę w swoim obozie, do czego być może mniej lub bardziej świadomie dążył. Tym trudniej jednak wyobrazić go sobie w partnerskich układach z młodszym pokoleniem.

Ale Konfederaci potrzebują gwarancji, że nie zostaną zniszczeni jak kiedyś Lepper i Giertych, a ostatnio Ziobro i Gowin. Pokusa wzięcia władzy też jest oczywiście i z pewnością będzie rosła, niemniej liderzy Konfederacji wciąż mają czas, którego tak bardzo zaczyna brakować Kaczyńskiemu. Nie dostając należytych udziałów we władzy, pewnie będą mogli sobie pozwolić na to, żeby po następnych wyborach zostawić Kaczyńskiego na spalonym z rządem mniejszościowym, wymuszając w ten sposób zmianę przywództwa w PiS, a być może w dalszej kolejności już zupełnie nowe rozdanie po tej stronie sceny.

Takiego pola manewru wyraźnie już jednak brakuje Kaczyńskiemu. To jak w pułapce Tukidydesa: stary hegemon wciąż jeszcze dysponuje silniejszymi kartami, ale już czuje na plecach oddech rywala. Musi więc skorzystać z ostatnich przewag i jak najprędzej stoczyć z nim decydującą bitwę. Tylko czy nie jest już aby za późno? Nie wydaje się to mimo wszystko prawdopodobne, żeby Kaczyński był w stanie pozbyć się Konfederacji, zmarginalizować ją, podzielić. A każdy inny scenariusz będzie jego klęską, która może oznaczać kres jego kariery.

Czekają nas zatem najpewniej dwa lata brutalnej licytacji po prawej stronie. Ze skutkami trudnymi na razie do przewidzenia, gdyż równie dobrze może to prowadzić do dalszej faszyzacji polskiej polityki, jak i zdemobilizować prawicowy elektorat, który pogubi się w tej grze o dominację. Pytanie, co to może oznaczać dla rządzącej koalicji, która dzisiaj próbuje się ślizgać po prawicowym nastroju, ale przecież powinny być jakieś granice populistycznej mimikry. Może czas odnowić wreszcie własny, konkurencyjny projekt?

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 3e11af7a1e

AKADEMIA **zwierciadła** ZAPRASZA NA **wolni od stresu** *edycja czwarta*

ŚCIEŻKI DOBROSTANU

Dobrostan to stan, który obejmuje różne sfery naszego życia: fizyczną, psychiczną, emocjonalną, duchową, ale też społeczną i zawodową. Dobrostan nie jest stanem idealnym, który da się osiągnąć raz na zawsze. To codzienna praktyka, która wymaga uważności, akceptacji siebie i otwartości na zmiany. To proces ciągłego oswajania wyzwań, trudów, ale też radości z pozytywnych aspektów naszego życia.

Będziemy o tym mówić podczas 4. edycji konferencji „Wolni od stresu". Udział w niej potwierdzili:

Katarzyna Miller

Prof. dr hab. n. med. Jan Lubiński

Sylwia Sitkowska

Prof. dr hab. n. med. i n. o zdr. Karolina Skonieczna-Żydecka

Joanna Zboch

Marzena Barszcz

Socjolozki.pl, czyli Dorota Peretiatkowicz i Katarzyna Krzywicka

27 WRZEŚNIA 2025
SOBOTA **GODZ. 9-19**

WARSZAWA VIZJA PARK
UL. OKOPOWA 59

390 zł

CENA OBOWIĄZUJE DO 02.09.2025

W cenie biletu: udział w wydarzeniu, lunch oraz przerwy kawowe.

KUP BILET
Bilety dostępne na **sklep.zwierciadlo.pl**

PARTNERZY: Avène, Dr Irena Eris Hotele SPA, Joanna Skrzypczak, Norsan, Rituals, Solar, storytel

eprasa.pl 3e11af7a1e

Kapelan kiboli

Karol Nawrocki wybrał na prezydenckiego kapelana ks. Jarosława Wąsowicza, człowieka z ciemnej kościelnej niszy. Katolicyzm w Polsce zmierza w tę stronę od lat.

JAKUB HALCEWICZ

Kilka dni przed zaprzysiężeniem Karol Nawrocki ogłosił, że na prezydenckiego kapelana powoła salezjanina ks. Jarosława Wąsowicza, kapelana kibiców. To „człowiek odważny, oddany panu Bogu patriota. Antykomunista, były członek Federacji Młodzieży Walczącej" – napisał Nawrocki w mediach społecznościowych. Przy tym „człowiek pogodny, pracowity, a także pełen życzliwości". Nominacja, choć przewidywalna, wywołała ostre krytyczne komentarze. W zakłopotanie wprowadziła nawet biskupów.

Zła kompania

Przypomniano, że ks. Wąsowicz uważa się za kibola (jego zdaniem media wykrzywiają obraz kibiców, faktycznie represjonowanych za wyznawanie katolickich i patriotycznych wartości), fotografował się z osobami z półświatka, jak neonazista Grzegorz H., ps. Śledziu, czy Olgierd L., ps. Olo. Innym razem bez oglądania się na polityczną poprawność pokazywał do zdjęcia środkowy palec na tle baneru „Gazety Wyborczej". Od 2008 r. organizuje coroczną pielgrzymkę kibiców na Jasną Górę. W maryjnym sanktuarium rozbrzmiewają wówczas – zwykle w pierwszą sobotę po Nowym Roku – okrzyki: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!", jak na bliźniaczo podobnych pielgrzymkach narodowców.

Z Nawrockim przyjaźnią się od 20 lat z trybun Lechii Gdańsk. Wspólnie napisali książkę „Wielka Lechia moich marzeń" poświęconą klubowi oraz Tadeuszowi „Dufo" Duffkowi – działaczowi Solidarności i legendzie stadionowego chuligaństwa lat 80., który jako 16-latek śmiertelnie pchnął nożem kibica Arki Gdynia w ulicznej bójce. Dzień po ogłoszeniu nominacji ks. Wąsowicz odprawił mszę z okazji 80-lecia Lechii w gdańskim kościele św. Brygidy i napisał w mediach społecznościowych, że od środy będzie to klub prezydencki.

© GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 3e11af7a1e

52-letni ks. Wąsowicz jest historykiem, dyrektorem Archiwum Salezjańskiej Inspektorii Pilskiej. Zajmuje się dziejami konspiracji antykomunistycznej po 1945 r., młodzieżowej opozycji, Solidarności i Kościoła w PRL oraz wojenną martyrologią duchowieństwa. Publikował m.in. w „Biuletynie IPN". W latach 2022–24 należał do rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, gdy dyrektorem placówki był bliski znajomy Nawrockiego i promotor jego doktoratu prof. Grzegorz Berendt. Wymyślił społeczną akcję „Serce dla Inki" (dla upamiętnienia sanitariuszki Armii Krajowej Danuty Siedzikówny).

Część publicystów broni nominacji ks. Wąsowicza. „Ks. Jarosław Wąsowicz to patriota zakochany w Polsce aż do bólu, świetny pedagog, umiejący rozmawiać z młodzieżą. Nic dziwnego, że Czerskiej zawadza" – napisał na X dziennikarz „Do Rzeczy" Wojciech Wybranowski.

Również Tomasz Terlikowski nie chce zapisywać się do krytyków ks. Wąsowicza. „Mój stosunek do niego jest daleki od głębokiego »oburzu«, który wylał się z mediów" – napisał katolicki publicysta w Wirtualnej Polsce. W 2017 r. „za wybitne zasługi w pielęgnowaniu pamięci o najnowszej historii Polski, a w szczególności o dziejach żołnierzy niezłomnych" prezydent Andrzej Duda odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Tylko czy rzetelny historyk powiedziałby – jak ks. Wąsowicz w wykładzie dla uczniów w Kielcach osiem lat temu – że wśród „ludzi, którzy z bronią w ręku walczyli z żołnierzami wyklętymi", byli np. Tadeusz Mazowiecki czy Leszek Kołakowski? Za te słowa przeprosił po interwencji synów Tadeusza Mazowieckiego.

Świadkowie walki

Kim właściwie jest kapelan kibiców? W licznych publicznych wypowiedziach ks. Wąsowicz mówi o potrzebie duchowego wsparcia tej grupy w mężnym wyznawaniu wiary i umacniania wspólnoty. A dzięki jego zaangażowaniu środowisko kibicowskie zyskuje duchowego przewodnika, który pomaga w kształtowaniu postaw ewangelicznych i patriotycznych.

W praktyce ks. Wąsowicz mówi w kazaniu dla kibiców tak: „Jesteśmy świadkami zaciętej walki między państwem Bożym a państwem szatana. Nowoczesne pogaństwo, opętane jakby kultem demona, odrzuciło wszelkie idee moralne, wymazało pojęcie człowieczeństwa. Upaja się wizją społeczeństwa, w którym już nie rozbrzmiewa imię Boże, a w którym pojęcie religii i moralności chrześcijańskiej są wytępione bezpowrotnie. (...) Musimy stać na stanowisku jak żołnierze spod Monte Cassino, powstańcy warszawscy, męczennicy sprawy polskiej wolności i wierności Chrystusowi, jak ks. Jerzy Popiełuszko. Nie możemy się lękać boju o Polskę Chrystusową". Po jego słowach uczestnicy mszy – na co dzień podzieleni według piłkarskich barw klubowych – wychodzą na zewnątrz i wspólnie odpalają race. Tak wygląda Patriotyczna Pielgrzymka Kibiców na Jasną Górę.

Cytowane słowa nie mają wiele wspólnego z oficjalnym nauczaniem Kościoła – zgodnie z nim Chrystus jest źródłem nadziei, a nie inspiracją do politycznej walki. Pasują za to do retoryki skrajnie prawicowej, która zadomowiła się w tegorocznej kampanii prezydenckiej.

W swojej działalności duszpasterskiej i naukowej kapelan kibiców łączy wątki religijne z narodowymi, historycznymi i etnicznymi. Bo „dzisiaj środowisko kibicowskie, mimo różnych animozji, mówi jednym głosem i łączy się wokół idei narodowej" – mówił przed dekadą w wywiadzie Jana Hlebowicza w „Gościu Niedzielnym". Jak pisał socjolog Radosław Kossakowski w kwartalniku naukowym „Kultura Współczesna", „hasło »Nie czerwona, nie tęczowa, ale Polska Narodowa«, pojawiające się na pielgrzymce kibiców, w skrócie opisuje ideologiczne nastroje ruchu".

Mesjanizm potoczny

Zapytany o to przez POLITYKĘ ks. Wąsowicz śmieje się, że przypisywanie mu takich poglądów to „duża fantazja", ale jego działania świadczą o tym, że zapełnia lukę po zmarłym w 2024 r. duszpasterzu narodowców ks. Romanie Kneblewskim.

Ks. Kneblewski nie gryzł się w język. Za porównanie wolontariuszy WOŚP do Hitlerjugend dostał od swojego biskupa, rok przed śmiercią, całkowity zakaz wypowiedzi medialnych. W kazaniu do narodowców na Jasnej Górze rozważał różnice między patriotyzmem a nacjonalizmem, dowodząc, że „to dwie bliźniacze, wzajemnie przenikające się cnoty". Jego zdaniem nacjonalizm z natury nie może być skrajny, bo „miłość przecież nie potrafi taka być", a „każdy polski katolik powinien być nacjonalistą i patriotą".

Nacjonalistyczny kod w Kościele katolickim w Polsce jest zjawiskiem stałym, choć dla samych nacjonalistów związek z Kościołem nie zawsze był oczywisty – nawet Roman Dmowski był początkowo daleki od chrześcijaństwa. W ostatnich latach, zwłaszcza w czasach rządów PiS i w związku z PiS, kod ten wzmacniał się i aktualizował.

Silnym katalizatorem była katastrofa smoleńska, która w 2010 r. w wymiarze publicystycznym odkurzyła pojęcie mesjanizmu. Zaczęto pytać o głębszy sens śmierci pary prezydenckiej, tworząc dla mesjanizmu nowe, potoczne i spłycone rozumienie. Oparte zostało na kulcie cierpienia, wiktymizacji, męczeństwa i śmierci, które rodziły poczucie wyjątkowości, wybrania spośród innych nacji. Tak lały się fundamenty pod nową tożsamość partyjną i narodową według Jarosława Kaczyńskiego.

Ten potoczny mesjanizm łatwo przeniknął do języka homilii. „Za chwilę wybije godzina 8.41. To godzina, która ze Smoleńska przyszła do nas i zatrzymała nasz czas 10 kwietnia 2010 r. Ale ta godzina 8.41 ze Smoleńska jakże głęboko wpisuje się w czas Jezusa Chrystusa między szóstą a dziewiątą Wielkiego Piątku na Kalwarii – czas odejścia z tego świata do Ojca, czas świadectwa najwyższego, czas cierpienia i męki" – mówił abp Marek Jędraszewski w 12. rocznicę katastrofy.

Drugim katalizatorem stały się kościelno-państwowe obchody 1050-lecia chrztu Polski w 2016 r. W kraju rządził już PiS, więc nie bez powodu organizatorzy z archidiecezji poznańskiej zakładali harmonijną współpracę z władzami świeckimi – inaczej niż to było podczas obchodów Millennium w 1966 r., gdy uroczystości kościelne w warunkach Polski Ludowej stały się rodzajem manifestacji niezależności.

2016 został ustanowiony przez Sejm Rokiem Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski. W uchwale (wydanej skądinąd niedługo po rozpętaniu wojny o Trybunał Konstytucyjny) wyrażono nadzieję, „że rocznicowe obchody będą drogą pojednania i odbudowy wspólnoty w oparciu o ponadtysiącletnią tradycję chrześcijańską naszego Narodu".

O żadnym polsko-polskim pojednaniu nie mogło być mowy, za to sojusz ołtarza z tronem wstąpił na nowy poziom. Główne ogólnopolskie obchody trwały trzy dni i oprócz mszy obejmowały obrady Zgromadzenia Narodowego (odbywające się poza Warszawą) z orędziem prezydenta i z udziałem episkopatu. ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ Był to intensywny czas budowania mitu. „To wtedy też narodziła się Polska – przemawiał Andrzej Duda. – Narodziła się z wód chrzcielnych do nowego, chrześcijańskiego życia. (...) Odtąd zaczęliśmy o sobie samych myśleć i mówić: »my, Polacy«". Władze państwowe – wbrew historykom – zapominały, że współczesna świadomość narodowa powstawała dopiero w XIX w. A władze kościelne – wbrew teologom – że ochrzcić można osobę, ale nie państwo. Mimo że Kościół niesie przesłanie uniwersalistyczne, tego roku definitywnie przylgnął do PiS.

Objawienia Brauna

Jednocześnie od pewnego czasu rozwijała się polska teologia narodu – szczególny rodzaj teologii. „Nowa dyscyplina niesie ze sobą jeszcze dużo niejasności, niepewności i błądzeń" – przyznawał w książce „Teologia narodu" jej twórca ks. Czesław Stanisław Bartnik. Według niego podmiotowość narodu przechodzi od „wspólnoty natury ludzkiej ku wspólnocie osób, tworzącej pewien najwyższy rodzaj bytowania zbiorowego, jakby »osobę«. Naród ma swój umysł, serce, wolę, działanie, uczucia, psyche. Stąd też mówimy w pewnej przenośni, ale nie fikcyjnie, o »duszy narodu«, o »duszy polskiej« lub o »duchu polskim«. Ta »osobowość« narodu jest najistotniejszą jego formą i ona decyduje, że dana społeczność ludzi jest narodem i takim oto konkretnym narodem, różnym od innych".

© MICHAŁ WARGIN/EAST NEWS

Kaplica w Pałacu Prezydenckim

Próby dyskusji z tym podejściem podejmowały czasopisma kojarzone z katolicyzmem otwartym na świat, takie jak „Tygodnik Powszechny" i „Więź". W tym drugim tytule ks. Grzegorz Strzelczyk ostrzegał, że jeśli potraktujemy naród jako podmiot, w dodatku podmiot ochrzczony, prowadzić to „może do praktycznego wniosku, że osoby nieochrzczone do narodu nie należą (albo należą nie w pełni)". Zadawał pytanie, skąd właściwie wiadomo, czego taki naród chce. Taka teologia stwarza teoretyczne ramy choćby dla radykalnie prawicowej i nacjonalistycznej publicystyki.

Karykaturalną konsekwencją polskiej teologii narodu stała się aktywność ruchów na rzecz intronizacji Chrystusa. Ostatni „Kongres dla społecznego panowania Chrystusa Króla" odbył się w Warszawie 1 lutego br. Przemawiali na nim m.in. ks. prof. Tadeusz Guz (słynny z pomawiania Żydów o mordy rytualne na Polakach) i Grzegorz Braun, który podkreślał, że „intronizacja to akt prawnoustrojowy". Po raz kolejny mówił o znaczeniu objawień maryjnych w Gietrzwałdzie – to jedyne miejsce objawień Matki Bożej na ziemiach polskich uznane przez Kościół. Ich 150. rocznica wypadnie w wyborczym 2027 r., co Braun nazywa „geostrategicznym okiem cyklonu". Na pewno będzie takim dla jego własnej partii.

Trzy narodowo-katolickie narracje oddziałują na ogólny nastrój, matryce kazań i przekonania polityczne oraz postawy sporych części duchownych i wiernych. I przez długi czas staczania się polskiego Kościoła w ciemną niszę daleko od centrum chrześcijaństwa biskupi milczeli. Dopiero niedawno coś jakby drgnęło – gdy widma antysemityzmu i wrogiego migrantom nacjonalizmu stały się już całkiem wyraźne.

Przewodniczący Komitetu Konferencji Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem kard. Grzegorz Ryś po ekscesach Brauna w Jedwabnem w rocznicę mordu 10 lipca przypominał, że antysemityzm w każdej postaci jest grzechem i złem moralnym. Podobnie zareagował nawet wiceprzewodniczący KEP abp Józef Kupny. A bp Krzysztof Zadarko, który kieruje Radą ds. Migrantów i Uchodźców KEP, powtarzał (ten akurat konsekwentnie przez lata), że promowanie antymigracyjnych narracji jest nie do pogodzenia z chrześcijaństwem.

W dokumencie episkopatu „Chrześcijański kształt patriotyzmu" sprzed kilku lat czytamy, że „Kościół w swoim nauczaniu zdecydowanie rozróżnia szlachetny i godny propagowania patriotyzm oraz będący formą egoizmu nacjonalizm. (...) dla uczniów Chrystusa miłość ojczyzny, będąc wielką wartością, nie jest jednak wartością absolutną", a nacjonalizm „jest postawą niechrześcijańską". Gdy nacjonalizm łączy się z wiarą, staje się herezją – przekonywał prymas Polski Wojciech Polak.

Hej Lechio gola! Głosuj na Karola!

Ks. Jarosław Wąsowicz otwarcie zaangażował się w kampanię wyborczą Nawrockiego. Wszedł do komitetu poparcia swojego przyjaciela. Na kolejnej pielgrzymce kibiców na Jasną Górę na początku br. Nawrocki był fetowany, a ks. Wąsowicz modlił się wprost o łaskę dla „obywatelskiego kandydata". Potem odbyło się z nim spotkanie. Gdy jeden z uczestników zapytał, czy Nawrocki jako prezydent „nie dopuści lewackiej ideologii do szkół", ten zapewnił, że oczywiście nie, a w sali wybuchły okrzyki: „Raz sierpem...".

Kapelan kibiców informował w mediach społecznościowych, że przez miesiąc poprzedzający wybory w Klubach „Gazety Polskiej" odmawiany jest różaniec w ich intencji; dołączył zdjęcie dzieci z banerem Nawrockiego. W wyborczy wieczór triumfował: „Hej Lechio gola! Głosuj na Karola!".

Powołaniem go na funkcję prezydenckiego kapelana Nawrocki wprowadził biskupów w zakłopotanie, bo postawił ich przed faktem dokonanym. Przez lata było tak, że kapelana kaplicy w Pałacu Prezydenckim wyznaczał Ordynariat Polowy Wojska Polskiego, a dodatkowo prezydent wybierał sobie kapelana osobistego. Skończyło się to za Dudy, który wybrał jednego księdza. Nawrocki poszedł w jego ślady.

Jego rolą będzie teraz odprawianie mszy dla pracowników Kancelarii Prezydenta, obecność na uroczystościach z udziałem głowy państwa. Poprzednik – ks. Zbigniew Kras – unikał wypowiedzi publicznych. Przez 10 lat był w Pałacu obecny jako duszpasterz. Najgorsze – mówią w kurii – gdyby nowy kapelan stworzył własny ośrodek, niby wewnątrzkościelny, a faktycznie partyjny. Obawy są uzasadnione, bo tak wyrazistej ideologicznie postaci w prezydenckiej kaplicy jeszcze nie było.

JAKUB HALCEWICZ

eprasa.pl 3e11af7a1e

© ALAMY/BE&W

Żydzi bezczeszczący hostie, niemiecki drzeworyt z XV w.

Brunatne sutanny

Rozmowa z prof. UW Stanisławem Obirkiem o źródłach i skutkach zatrucia chrześcijaństwa antysemityzmem.

ADAM SZOSTKIEWICZ: **– Pisze pan we wstępie ze współautorem, publicystą i adwokatem Arturem Nowakiem, że wasza książka „Antysemickie chrześcijaństwo" powstała z irytacji i po to, by wstrząsnąć sumieniami chrześcijan. Bo w waszej ocenie nie dostrzegają, że ich serca i umysły są zatrute jadem nienawiści. Z całym szacunkiem dla ogromu pracy włożonej przez was w tę książkę, możemy zapytać, czy należy się kierować wkurzeniem, podejmując tak ważny temat?**

STANISŁAW OBIREK: – Pytanie zasadne, bo w dyskursie naukowym emocje są złym doradcą. Natomiast nasza książka nie jest stricte naukowa. Jest raczej komentarzem do rzeczywistości kraju katolickiego, który w swoich założeniach ma pojednanie między religiami, a zwłaszcza z judaizmem. Tymczasem realia są takie, że antysemityzm ma się u nas dobrze, a nawet staje się częścią głównego nurtu. I mając to na uwadze, doszliśmy ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ do wniosku, że być może ta naukowa, wyważona narracja jest za słaba, że trzeba spróbować innej perswazji.

I czynicie to na licznych przykładach z różnych epok historii chrześcijaństwa i Kościoła. Stawiacie tezę o chrześcijańskich źródłach antysemityzmu.

Myślę, że to kluczowy problem naszej książki, i w ogóle problematyki antysemityzmu. Bo z jednej strony mamy bardzo szczegółowe naukowe opracowania, że niechęć do Żydów ma tak długi rodowód jak istnienie samych Żydów, czyli narodziła się jeszcze głęboko przed chrześcijaństwem. Ba, wśród chrześcijan panuje wręcz przekonanie, że chrześcijaństwo przez swoją naukę o miłości bliźniego złagodziło niechęć do innych, w tym do Żydów.

Tymczasem jest inna?

Naszą narrację rozpoczynamy od Nowego Testamentu. Odwołujemy się do licznych opracowań, które dowodzą, że sam Nowy Testament jest na wskroś przeniknięty niechęcią do Żydów. Chrześcijaństwo właśnie przez Nowy Testament próbowało legitymizować się w imperium rzymskim, okazując mu lojalność. Poświęcamy sporo uwagi wybielaniu w pewnym sensie polityki Piłata, zrzucaniu winy czy wręcz obarczaniu winą za mękę i śmierć Jezusa właśnie Żydów, którzy domagali się jego śmierci. Słowem, chrześcijaństwo przez swoje księgi założycielskie i późniejsze komentarze bardzo mocno dołożyło się argumentacją teologiczną do tego dyskursu niechęci. I to jest bardzo trudne do odklejenia od przekazu chrześcijańskiego, nie tylko w sensie tekstowym, ale również przez ikonografię. A ona przez stulecia o wiele mocniej kształtowała wyobraźnię religijną społeczeństw europejskich niż piśmiennictwo. Tzw. Biblia pauperum była bardzo mocno nasycona obrazami Żyda jako bogobójcy; niewiernego, który odrzucił miłosierną rękę Boga skierowaną do narodu żydowskiego.

W przeciwieństwie do chrześcijaństwa, które ją podjęło.

A w rezultacie w ocenie chrześcijan przymierze zawarte z Żydami straciło swoją aktualność, bo nowym Izraelem są chrześcijanie. Mówiąc w wielkim skrócie: takie mocne antyżydowskie przesłanie, jakie zawiera w sobie chrześcijaństwo, nie jest obecne poza jego kręgiem. W Azji na przykład hasła antysemickie nie rezonowały nigdy tak mocno jak w Europie. Ekskluzywizm religijny chrześcijaństwa odstaje od rzeczywistości pluralizmu religijnego.

Dlaczego?

Bo wyraża przeświadczenie, że chrześcijaństwo jest tą jedyną religią, która obiecuje i zapewnia zbawienie. Jednocześnie powiada, że chrześcijanie są narodem wybranym, a Żydzi narodem odrzuconym. Chyba najmocniejszy przekaz na ten temat jest obecny w liturgii wielkanocnej, Wielkiego Piątku, gdzie nagromadzenie motywów antyżydowskich sprawiało, że właśnie wtedy pojawiały się najczęściej fale pogromów. Bo wierni słuchali w kościołach, jacy ci Żydzi są niedobrzy i jak zamordowali naszego Zbawiciela. To trwa do dzisiaj. A w Polsce polityk niekryjący się ze swoim antysemityzmem zyskuje popularność.

Przygotowując tę książkę, przekonaliśmy się w sposób bardzo bolesny, że główny ciężar tworzenia obrazu Żyda jako bogobójcy spoczywa na Kościele i na teologach, a Kościół nic z tym nie robi. Nie tylko, że się nie odżegnuje od swojej przeszłości, ale też bardzo selektywnie do niej podchodzi i sprawia, że ten przekaz antysemicki – mówimy o konkretnych działających teologach i publicystach, bardzo wziętych, przeważnie prawicowych – nie jest uważany za niestosowny, ale wręcz za głęboko katolicki.

A jednak wielu ludzi wychowanych w katolicyzmie broni się przed tymi zarzutami. Bo przecież Kościół w dokumencie przyjętym na soborze w Watykanie w połowie lat 60. XX w. odrzucił fundament chrześcijańskiego antysemityzmu, czyli bogobójstwo. Sami stwierdzacie, że deklaracja Nostra aetate to kopernikański zwrot w doktrynie katolickiej odnoszącej się do miejsca i roli judaizmu, Żydów.

Tak, i my bardzo skrupulatnie odnotowujemy ten przełom. Przywołujemy Jerzego Turowicza, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Błońskiego, Jana Tomasza Grossa i całą plejadę wspaniałych historyków z Centrum Badania nad Zagładą Żydów.

Przywołujecie również tekst Turowicza o tym, że antysemityzm jest nie do pogodzenia z katolicyzmem, ks. Musiała, „Czarne jest czarne", prof. Błońskiego, „Biedni Polacy patrzą na getto".

Tekst Jana Błońskiego wzruszył przekonanie o absolutnej niewinności Polaków katolików. Nasza narracja nie jest czarno-biała, że są źli Polacy i nieszczęśni Żydzi prześladowani przez nich. Należy używać wielu kolorów do opisywania przeszłości. Ogromnie szanujemy wkład przywołanych autorów, których już nie ma z nami, także Tadeusza Mazowieckiego, ale też żyjących, jak właśnie ksiądz Lemański czy kardynał Grzegorz Ryś, autor książki historycznej o antysemityzmie w Kościele, która nie ucieka od tej ponurej karty chrześcijaństwa. Wymieniamy ludzi bardzo wpływowych, którzy niemalże co roku wydają opasłe dzieła, uchodzą za elitę katolicką, a ich książki przeniknięte są jadem antysemityzmu. Wielu nie widzi niczego niestosownego w szerzeniu antysemickich stereotypów.

Na przykład o krwi chrześcijańskich dzieci na żydowską macę.

Tak. Żydowskie mordy rytualne to wymysł spod znaku „Protokołów mędrców Syjonu", antysemickiej fałszywki carskiej policji politycznej, ale różne wcześniejsze antyżydowskie pomówienia tego rodzaju też wciąż są brane za dobrą monetę. I wciąż

Prof. **Stanisław Obirek** – teolog, historyk, antropolog kultury i były jezuita, zaangażowany w dialog z innymi religiami i z niewierzącymi. W 1976 r. wstąpił do zakonu jezuitów. Autor licznych publikacji, znany z krytycznego stosunku do pontyfikatu Jana Pawła II. W 2005 r. za krytykę tego pontyfikatu w wywiadzie dla „Le Soir" został ukarany przez prowincjała zakonu rocznym zakazem kontaktów z mediami. W konsekwencji tej decyzji opuścił zakon i stan duchowny. Wkrótce potem się ożenił.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 3e11af7a1e

bardzo trudno z tym debatować. My przypominamy, jak ks. Stefan Wyszyński, jako młody biskup lubelski, niechętnie potraktował delegację żydowską, która apelowała do niego, by wpłynął na uspokojenie antysemickich, pogromowych emocji. Jeżeli ktoś nam wykaże, że przesadzamy tu czy tam, że nie mamy racji, chętnie skorygujemy nasze osądy. Chcemy zmniejszyć brunatnienie polskiej sceny politycznej i społeczeństwa.

A co pan powie o rozróżnieniu między antysemityzmem, powiedzmy – etnicznym a antyjudaizmem – religijnym.

Miałem kiedyś bardzo długą i ważną dla mnie rozmowę z prof. Szymonem Rudnickim, autorytetem w sprawach antysemityzmu, nie tylko polskiego. Zgodziliśmy się, że to rozróżnienie jest sztuczne i banalizuje eliminacyjne, eksterminacyjne, mordercze konsekwencje antyjudaizmu.

A ściślej?

Inkwizycja, pogromy, krucjaty, wypędzenie Żydów z różnych krajów i wreszcie Holokaust. W Polsce prof. Joanna Tokarska-Bakir bardzo mocno broni tego rozróżnienia. Prof. Sławomir Buryła też na ten temat napisał ważny tekst. Mimo subtelnych cieniowań upieram się, że to rozróżnienie jest sztuczne i umniejsza ciężar antysemityzmu chrześcijańskiego, bo ów „antyjudaizm teologiczny" szybko stał się wykluczający. Żydzi stali się ofiarami wykluczenia ze społeczeństw chrześcijańskich. Cała Europa ich wyrzuciła, z chlubnym skądinąd wyjątkiem Polski.

Ale później i u nas skończyła się tolerancja.

Tak. Bardzo szybko ta tolerancja pierwszej Rzeczpospolitej przekształciła się po utracie państwowości w antysemityzm. Zostało to dokładnie udokumentowane chociażby przez Alinę Całą, która pisała o obrazie Żyda w kulturze ludowej. Paradoksalnie Polska ze swoimi tradycjami otwartości na Żydów i na inne wyznania stała się z czasem synonimem kraju antysemickiego. I to jest mocno zakorzenione w pamięci żydowskiej. Pewien izraelski polityk powtórzył, że Polak wysysa antysemityzm z mlekiem matki. Ale tu nie ma polskiej specyfiki: hitlerowskie ustawy norymberskie nie były niczym nowym w zestawieniu z prawodawstwem kościelnym na przestrzeni wieków w Europie.

Waszą rozmowę do książki nagrywaliście w styczniu. W maju Grzegorz Braun jako kandydat na prezydenta dostał ponad milion głosów poparcia.

No, ja bym dodał też Mentzena do tego „efektu Brauna". Jest wiele powodów, dla których antysemickie programy populistyczne w polskiej przestrzeni publicznej i politycznej rezonują tak mocno. Ale przecież – znów – nie tylko w Polsce. Europa brunatnieje. Nawet w Niemczech, które, jak się wydawało, przepracowały swą faszystowską przeszłość, rośnie w siłę AfD.

U nas twarzą agresywnego antysemityzmu stał się poseł rozpoczynający swoje przemówienia od katolickiego „szczęść Boże".

Jego sukces ma wielu ojców. Między innymi brak interwencji państwa w sytuacjach oczywistego łamania prawa. Chanukowy eksces w Sejmie, przerwanie wykładu prof. Grabowskiego, cały szereg awanturniczych zachowań, które nie zostały ukarane. Czy państwo, które kapituluje wobec awanturników politycznych, nie ponosi odpowiedzialności za to, co się dzieje? Lekcja lat 30. Republiki Weimarskiej jest ciągle do odrobienia, bo przecież Hitler doszedł do władzy przy zachowaniu demokratycznych procedur.

GALERIA POLITYKI

ARKADIUSZ HAPKA

Mamy mnóstwo przykładów przenikania prawicowego ekstremizmu do życia publicznego.

Pan prezydent Duda miał trudność z napiętnowaniem mowy nienawiści, której antysemityzm jest jaskrawym przejawem. To samo dotyczy mowy nienawiści w Kościele. Rzeczy, które powinny być karane z mocy prawa, są traktowane jak niegroźne chuligańskie wybryki. I dodam, że osiem lat rządów PiS w bardzo poważnym stopniu przyczyniło się do przyzwolenia społecznego dla tendencji antydemokratycznych. I w tym kontekście widzę też sukces Brauna.

Jak pan patrzy na wojnę Izraela z Hamasem? W waszej książce odnotowujecie wzmożenie antysemickie na lewicy związane z tym konfliktem.

Osobny wielki temat. Bardzo boleśnie przeżywam – również ze względów rodzinnych – to, co się dzieje w Izraelu i w Gazie. Sądzę, że polityka rządu Netanjahu i jego skrajnie prawicowych koalicjantów jest nie do obrony. I w samym Izraelu głosy sprzeciwu są coraz mocniejsze. Natomiast przeszkadza mi, że kiedy broni się Palestyńczyków i ich praw do stanowienia własnego państwa, na tym samym oddechu odmawia się tego Żydom. Propalestyński dyskurs na Zachodzie jest tak jednostronny ideologicznie, że nie dostrzega się, że w założeniach fundujących Hamas wpisana jest likwidacja państwa żydowskiego. I dopiero w tym kontekście możemy rozważać racje za i przeciw. Lewicowy dyskurs antysemicki jest połączony z uczuciem ulgi, że można znowu być antyżydowskim. Nie mówi się za to, że Hamas dla samych Palestyńczyków jest wielkim problemem, może nawet większym niż dla Izraelczyków Netanjahu. I prosiłbym, aby problemu Gazy nie tłumaczyć tylko nacjonalizmem żydowskim czy syjonizmem, lecz osadzić go w kontekście całej nowszej historii Bliskiego Wschodu. I to nie jest relatywizacja tragedii umierających z głodu dzieci Gazańczyków. To jest apel, by nie ferować za szybko wyroków skazujących Żydów na bycie przekleństwem Bliskiego Wschodu. A takie radykalne wypowiedzi słyszałem wielokrotnie i nie widziałem gotowości do podjęcia rozmowy.

ROZMAWIAŁ ADAM SZOSTKIEWICZ

eprasa.pl 3e11af7a1e

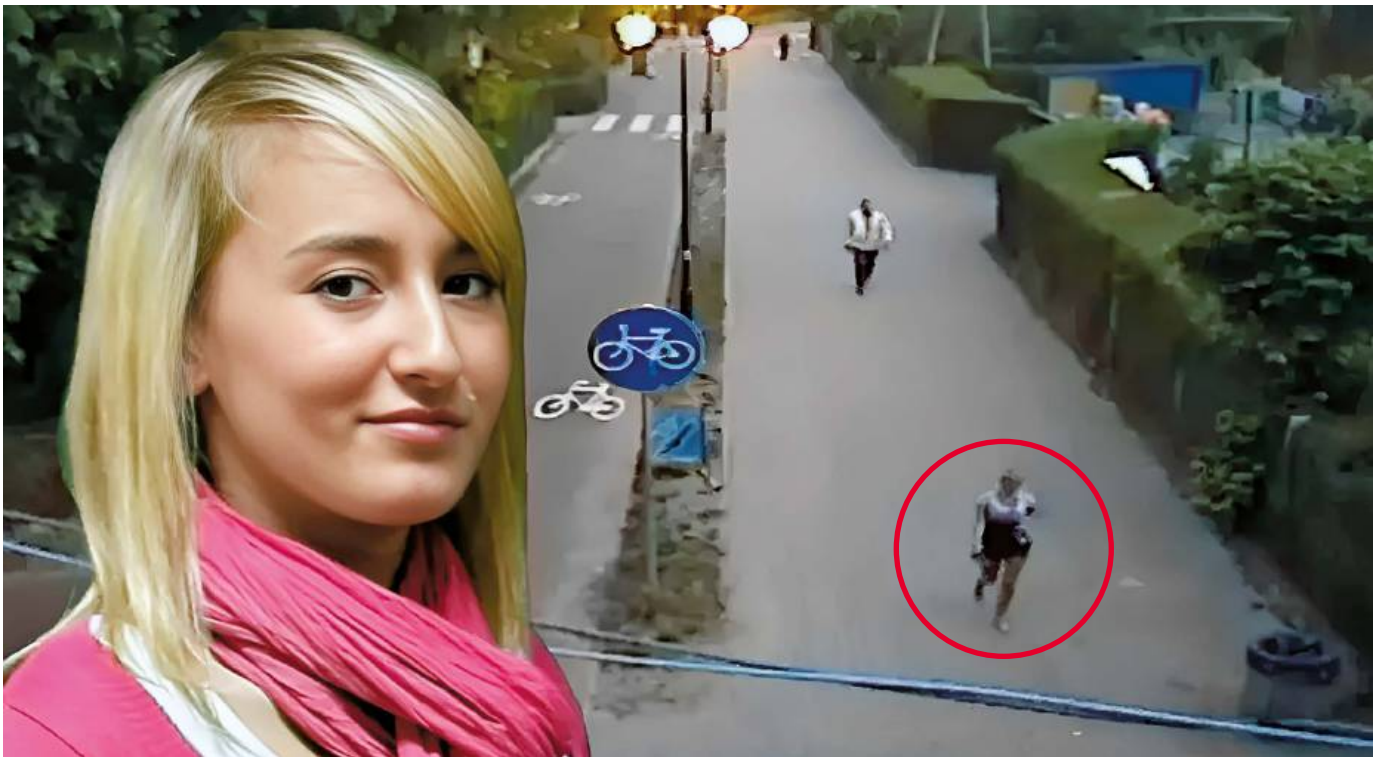

© KWP

Ostatnie ujęcie Iwony pochodzące z monitoringu miejskiego. Później ślad po niej się urwał.

Co się z nią stało?

Śledztwo w sprawie Iwony Wieczorek trwa 15 lat. Sprawcy nie znaleziono, choć analitycy policyjni dokładnie wiedzą, gdzie go szukać. Co poszło nie tak i czy są jeszcze szanse, by odkryć prawdę?

VIOLETTA KRASNOWSKA

Ta sprawa była prosta do wyjaśnienia – mówi POLITYCE insp. Marek Dyjasz, doświadczony policjant, wcześniej szef wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji, a w momencie zaginięcia Iwony Wieczorek dyrektor Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji, do którego należy wspieranie realizacji spraw prowadzonych przez policję całego kraju.

W letnią noc

– *Niestety zaprzepaszczone zostały newralgiczne pierwsze godziny* – mówi. Co można jeszcze zrobić, by odkryć prawdę?

Była sobota 16 lipca 2010 r. W Gdańsku-Jelitkowie 19-letnia maturzystka Iwona Wieczorek z przyjaciółką Adrią szykowały się na wieczorne wyjście ze znajomymi do modnego klubu na Monciaku w Sopocie. Iwona ubrała się w koszulę w biało-niebieskie pasy, granatową spódnicę do kolan, do tego podebrała mamie jej nowe granatowe, zamszowe szpilki. Na ten wieczór miała też zaproszenie na ognisko urodzinowe kolegi, niedaleko domu, w parku Reagana, ale wybrała wyjście do klubu.

Najpierw był biforek na działce u Pawła, młodego rzutkiego biznesmena. Znali się z Iwoną od niedawna. Trzy miesiące wcześniej rozstała się z chłopakiem Patrykiem, swoim kuzynem i zarazem wielką miłością. Ich związek był dynamiczny, emocjonalny, pełen zazdrości, odejść i powrotów. Wtedy byli na etapie rozstania. O północy Iwona z Adrią, Pawłem i jeszcze dwoma chłopakami pojechali taksówką do klubu. Tam zaszło coś, co spowodowało, że o godz. 2.50 Iwona wściekła wyszła z klubu i ruszyła przed siebie, do domu miała jakieś 6 km. Nie reagowała na telefony i esemesy Adrii i Pawła, żeby wróciła. Szła nadmorską promenadą prowadzącą z Sopotu do Gdańska. I zniknął po niej wszelki ślad.

Tego samego dnia mama Iwony zgłosiła jej zaginięcie.

Stracone trzy dni

Policja nie zrobiła jednak nic, bo zaginięciu 19-latki nadano kategorię drugą, uznając, że dziewczyna gdzieś zabalowała. Zaniżanie kategorii przy zaginięciach było zresztą dość powszechne, jak ustalił NIK. W przypadku Iwony nie sprawdzono trasy, którą miała iść, nikt nie szukał żadnych śladów, nie przepytywał ludzi. Poszukiwania zaczęto dopiero po trzech dniach, już po nagłośnieniu sprawy przez media. Ale nawet wtedy nie umieszczono zdjęcia dziewczyny w policyjnym systemie. Dopiero po siedmiu dniach od zaginięcia zabrano się do zabezpieczania zapisów z kamer na trasie. Po takim czasie wiele z nich zostało już nadpisanych. A dopiero po 10 dniach sprowadzono psy do odnajdywania zwłok. Nie podjęły tropu.

eprasa.pl 3e11af7a1e

– Dziewczyna zaginęła w miejscu publicznym, gdzie jest duży ruch, a ślady się szybko zacierają. Do tego ludzie, którzy przebywali tam na wakacjach i mogli być świadkami jakichś zdarzeń, wyjechali i nie udało się ich przesłuchać. Zostały popełnione błędy w zakresie zabezpieczania materiału dowodowego – mówi insp. Marek Dyjasz. Bezpowrotnie stracono możliwość zebrania dowodów przestępstwa. A do tego nie znaleziono ciała.

Dyjasz ze swoim policyjnym doświadczeniem od początku był przekonany, że doszło do przestępstwa, bo – jak tłumaczy – wakacje wakacjami, ale 19-latka nie odeszłaby sobie ot tak, i to bez pieniędzy. Dlatego, gdy dowiedział się, że postępowanie zmierza w kierunku poszukiwania osoby zaginionej, wysłał do Gdańska Marka Siewerta z Biura Kryminalnego KGP, żeby przyjrzał się z bliska sprawie. Siewert miał opinię dobrego analityka kryminalistycznego, brał udział w rozpracowywaniu najważniejszych spraw – był w grupie Generał, powołanej do sprawy wyjaśnienia zabójstwa gen. Marka Papały i napadu na Kredyt Bank, podczas którego zginęły cztery kasjerki – i to on ustalił sprawców (opisał to Juliusz Ćwieluch, POLITYKA 36/13).

Chaos i niepamięć

– *Panował chaos* – wspomina dziś Siewert. Sprawę prowadzili policjanci z dwóch wydziałów, niezależnie od siebie. Świadków przesłuchiwali niekiedy przypadkowi funkcjonariusze. Z każdej czynności, ustalenia, rozmowy czy rozpytania powinny być robione notatki do akt. Tu prawie ich nie było. – *Policjanci uważali, że wszystko mają w głowach i wystarczy* – opowiada. Zaczął badać akta, dowody, zeznania, brał udział w niektórych przesłuchaniach, co niezbyt podobało się gdańskim policjantom.

Przyjaciółka Iwony Adria zeznała, że nie wie, dlaczego Iwona tak nagle wyszła z imprezy w klubie. Ona sama pojechała do domu taksówką. Jeszcze o godz. 3.40 Iwona rozmawiała z nią, kłóciły się. Podniesiony głos Adrii usłyszał przez okno ojczym Iwony i był przekonany, że są razem. Adria zeznała, że Iwona nazwała ją szmatą, ale nie chciała powiedzieć dlaczego. Siewert obecny przy przesłuchaniu włączył się i zadał jego zdaniem istotne dla sprawy pytanie. Dziewczyna – jak wspomina – przestraszyła się, wpadła w panikę. Od razu został zrugany

Mama Iwony podczas rozwieszania apelu o pomoc w odnalezieniu córki

przez przesłuchującego policjanta, że zdenerwował mu świadka. Siewert wyszedł.

Generalnie przyjaciele i znajomi niewiele pamiętali i niewiele mówili. Nawet o świeżych zdarzeniach. Ustalono, że tydzień przed zaginięciem, też późno w nocy, idąc z koleżanką Kasią przez park Reagana, Iwona Wieczorek została uderzona przez jakichś chłopaków. Dzwoniła wtedy z pretensją do Patryka, że pobili ją jego koledzy. Mogła to być ważna okoliczność, choćby w kontekście esemesa, którego Iwona wysłała tydzień później do Adrii o godz. 3.33: „O gówno mnie zaczepiają". Na pytanie przesłuchującego, co się stało, że Iwona została wtedy zaatakowana, Kasia odpowiedziała krótko, że nie pamięta. I na tym zakończono przesłuchanie.

Patryk, do niedawna chłopak Iwony, był bardzo spięty i na początku skłamał. Twierdził, że tej nocy siedział na ławce przy parku Reagana i pił piwo z kolegami. Raz mówił, że było ich kilkunastu, potem, że trzech. I że ok. 1 w nocy, a więc zanim Iwona znalazła się w okolicy parku, rozeszli się, a on poszedł do domu spać. Zeznał też, że już po zaginięciu Iwony jeszcze się z nimi spotkał i zastanawiali się, co robili. Dla Siewerta to brzmiało jak ustalanie zeznań.

Gdy jednak przyszedł zapis ze stacji BTS, okazało się, że wcale nie był wtedy w domu, jak twierdził. Jego telefon logował się tej nocy później, nawet po 3 w nocy, w różnych miejscach – musiał jeździć z kimś samochodem (sam nie miał prawa jazdy). Przesłuchującemu powiedział wprost: „Złapał mnie pan na kłamstwie". Twierdził, że jeździł z kolegami po mieście. I że potem pojechał na dwa dni do Chałup (ale jego telefon się tam nie logował). Po przesłuchaniu wyjechał do Wielkiej Brytanii, do dziś przebywa poza Polską.

Raport z analizy sprawy, jaki sporządził Siewert z drugim analitykiem z Biura Wywiadu Kryminalnego KGP, liczył 37 stron, a w nim wnioski i zalecenia, kogo o co spytać, co trzeba wyjaśnić. Wszystko przekazał gdańskiej policji.

Po półtora roku od zaginięcia Iwony Wieczorek śledztwo zostało umorzone z powodu braku dowodów przestępstwa. Ale zaznaczano, że jako zaginiona będzie poszukiwana nieprzerwanie. Marek Siewert chciał dalej zajmować się tą sprawą. Tymczasem w Biurze Kryminalnym dyrektorem został policjant z Kielc Mariusz Wiatr. Na odprawach służbowych Siewert zgłaszał chęć wyjazdu na Gdańska, żeby kontynuować swoją pracę. Pytał: – Czy jest na to nadal zezwolenie? Usłyszał: – A czy to potrzeba?

Apele i dymisje

Po jednej z takich narad przyszła do niego do pokoju komisarz Aneta Ceglińska, wtedy zastępca dyrektora Biura, i przy innych policjantach powiedziała: – Chciałabym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, pan już w tej sprawie nie działa, pan przy tej sprawie już nie pracuje. Dziś Aneta Ceglińska, pytana przez POLITYKĘ o powody odsunięcia analityka od sprawy Iwony Wieczorek, mówi, że nie przypomina sobie tych okoliczności.

Siewert napisał raport do ówczesnego komendanta głównego Zbigniewa Maja, licząc na jego wsparcie w kontynuowaniu śledztwa. Nie dostał żadnej odpowiedzi. Za to otrzymał nowy przydział zadań: miał analizować anonimy i odpowiadać na listy osób z problemami psychicznymi. Niedługo potem, po 26 latach pracy, został zwolniony z policji z powodu – jak napisano – likwidacji jego stanowiska pracy jako konsultanta Biura Kryminalnego.

Temat sprawy Iwony Wieczorek w zasadzie znikł, tylko od czasu do czasu coś się działo. Na przykład w 2017 r. nagle kilkudziesięciu policjantów rzucono do przeczesywania parku Reagana. Bez efektów. ▶

© MICHAŁ FLUDRA/NEWSPIX

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶W marcu 2019 r. sprawę wzięło do prowadzenia świeżo utworzone przez ministra Zbigniewa Ziobrę prokuratorskie „Archiwum X" w Krakowie. Jego szefem został Piotr Krupiński, zaufany ministra, i to on osobiście się nią zajął. Do pomocy dostał policjantów ze stołecznego Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. W grudniu 2022 r. prokurator postawił Pawłowi (temu, z którym Iwona była w klubie) zarzut utrudniania śledztwa i zacierania śladów. Miał podobno kasować zawartość komputera Iwony. Ale do dziś nie ma aktu oskarżenia.

Latem zeszłego roku prokurator Krupiński w Radiu 357 poskarżył się, że komendant główny policji okroił mu zespół, ale dodał, że zleca w tej sprawie zadania policji także w Krakowie i Gdańsku. Pytany o postępy w śledztwie, odmówił odpowiedzi. Na koniec rozmowy zwrócił się z apelem do mieszkańców Trójmiasta, aby ci, którzy wiedzą cokolwiek o zaginięciu Iwony Wieczorek, nie bali się przekazać tego policji: „Każda informacja może zaowocować przełomem w śledztwie".

Przełomu nie ma. Prokurator Krupiński już nie prowadzi tego śledztwa. Został odsunięty jesienią ubiegłego roku, dziś jest w Prokuraturze Krajowej w Warszawie i odmówił POLITYCE rozmowy. Po nim sprawę Iwony Wieczorek do prowadzenia dostał inny krakowski prokurator Tomasz Boduch. On też o tym, na jakim etapie jest śledztwo, co zostało sprawdzone, a co jeszcze nie, rozmawiać nie chce.

Teorie i hipotezy

Tymczasem, gdy nie za bardzo można się oprzeć na faktach, bo ich brak, otwiera się pole do spekulacji. Fora internetowe dotyczące sprawy Iwony Wieczorek od lat są rozgrzane do czerwoności. Powstają publikacje, książki dokumentalne, ale też powieści kryminalne na kanwie tej sprawy.

Najbardziej znanym badaczem zaginięcia Iwony był Janusz Szostak, wydawca magazynu „Reporter", który prowadził własne śledztwo, zbierał i analizował różne możliwości, składał zeznania jako świadek, informując o swoich ustaleniach. Jak choćby to, że do parku wjeżdżał w przybliżonym czasie policyjny radiowóz. Napisał dwie książki o sprawie Iwony Wieczorek.

Doprowadził nawet do przeszukania przez policję ogródków działkowych Kolonii Uroda w Gdańsku, które wskazała mu jasnowidzka jako miejsce, gdzie jest ciało Iwony. To zapuszczone i nieciekawe miejsce, wtedy pełne śmieci, opuszczonych domków, gdzie zbiera się tzw. element. W 2016 r. wjechała tam policyjna koparka. Znalezione kości i krew po zbadaniu okazały się zwierzęce. Nie natrafiono na nic, co miałoby związek z Iwoną Wieczorek. Jednak Szostak kładł to na karb zbyt pobieżnych prac policyjnych. Dziennikarz zmarł nagle w 2021 r.

Temat przejęli jego podopieczni z „Reportera": Marta Bilska i Mikołaj Podolski. Teraz napisali swoją książkę „Zaginiona Iwona Wieczorek. Koniec kłamstw", starając się podsumować fakty i teorie. Stawiają tezę, że Iwona nie chciała jeszcze iść prosto do domu, obawiając się awantury z mamą o pożyczenie szpilek bez pytania. Autorzy docierają też – choć inną drogą – na te same działki w Kolonii Uroda. Tak jak wcześniej Szostak twierdzą, że tam może być ukryte ciało Iwony.

Opisują w książce, jak jedna z ich informatorek zrelacjonowała im rozmowę z policjantem, który dorabiał na bramkach w klubach: „Pamiętam, że kilka, kilkanaście dni po zaginięciu Iwony powiedział, że znaleźli jej ciało na ogródkach działkowych. Wyglądał na przekonanego i pobudzonego tym faktem. O sprawie było głośno. Tymczasem w mediach cisza. Następnego dnia się z tego wycofał. Zbył mnie informacją, że to jednak była jakaś bezdomna. (...) Po latach myślę, że warto by było sprawdzić, czy faktycznie w tamtym czasie znaleziono ciało na ogródkach. Może pochowano jakąś kobietę jako N.N. Może komuś ze środowiska policyjnego zależało na tym, by tak było". Dziennikarze sprawdzili, okazało się, że nie znaleziono w tamtym czasie żadnego ciała.

Wszystkie historie krążą wokół ludzi, których Iwona znała. Szostak swoją książkę kończył zdaniem: „Jestem pewien, że morderca Iwony przewija się wielokrotnie na kartkach tej książki".

Porzucone tropy

Dla insp. Marka Dyjasza prawda jest bardziej prozaiczna: – *Nie, sprawca nas nie przechytrzył, po prostu wykorzystał błędy policji, żeby zwłoki skutecznie ukryć albo się ich pozbyć. Nie był inteligentniejszy, nie miał wiedzy i doświadczenia w tym zakresie, bo uważam, że to zdarzenie było całkowicie przypadkowe albo podczas kłótni sytuacja wymknęła się spod kontroli. No i stało tak, jak się stało, że Iwona nie żyje* – mówi wprost.

Jakie tropy w tym śledztwie zaniechano, do których trzeba wrócić, by rozwiązać tajemnicę jej zaginięcia? Marek Siewert zamyka oczy i znowu widzi rozrysowaną przez siebie na osi czasu tamtą noc: – *Przeanalizowałem wszystkie ujęcia z kamer, klatka po klatce, i rozrysowałem na osi czasu: kto gdzie szedł, kiedy i gdzie mijałby Iwonę. Tam nie było pusto* – zaznacza. – *Przed Iwoną, za Iwoną byli ludzie, którzy mieli ją w zasięgu wzroku cały czas. Na deptaku aż do wejścia do parku Reagana nic nie mogło się wydarzyć. Za dużo ludzi chodziło, żeby tam napaść na dziewczynę* – mówi.

Pozostaje park Reagana. Tam mogło dojść do napaści. Tamtej nocy Iwona była zaproszona na ognisko w tym parku. Wybrała jednak wizytę w klubie. Na ognisku bawiło się ze 30 osób. O 3 nad ranem uczestnicy zaczęli się rozchodzić, jedni do domu, inni do pobliskiego klubu Banana Beach. – *Dla mnie to dziwne, że z tak licznego grona ludzi, którzy byli znajomymi Iwony Wieczorek, nikt nie zeznał, że ją widział* – mówi dziś Siewert. Tym bardziej że Iwona w drodze do domu przechodziła koło klubu Banana Beach. Czy mogła tam zajrzeć? Jedna z koleżanek widziała tam Patryka, byłego chłopaka Iwony, i wysłała jej esemesa, że bawi się z jakimiś dziewczynami. To mogło ją wkurzyć i dlatego wyszła z klubu. Czy go szukała, czy tamtej nocy się z nim spotkała? – *Dlaczego Patryk podczas przesłuchania kłamał, skoro nie miał nic do ukrycia?* – pyta Siewert. – *Gdzie jeździł tamtej nocy samochodem? Z kim? To wszystko trzeba wyjaśnić.*

Najważniejsze jednak pytanie brzmi, czy da się odnaleźć sprawcę? Marek Siewert uważa, że tak. Jego zdaniem kluczowe jest ustalenie, kim naprawdę była Iwona Wieczorek. Czy to była zwyczajna dziewczyna, czy może funkcjonowała w jakimś układzie przestępczym? Kto mógł chcieć ją skrzywdzić? I dlaczego: z zazdrości, z zemsty, z powodu nieporozumień rodzinnych, a może był motyw rabunkowy lub seksualny? Należy sprawdzać po kolei wszystkie scenariusze, łącznie z tym, że Iwona dotarła do domu po imprezie. A potem eliminować wersje po kolei, aż zostanie jedna.

Jak? – *Powołać zespół fachowców, przyjąć nie więcej niż pięć wersji śledczych i pomału je opracowywać. Jeszcze raz, od początku, od pierwszego protokołu, sprawdzić wszystkie nagrania z kamer, może jakiś szczegół umknął. Jest szansa na rozwiązanie tej zagadki* – uważa Siewert.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 3e11af7a1e

Łukasz Długowski podczas spływu tratwą flisacką po ostatniej dzikiej rzece w Polsce – Bugu. Spływ zorganizowano w ramach protestu przeciwko planowanej regulacji Bugu, Odry, Wisły i Warty oraz utworzeniu wodnej drogi transportowej E40, łączącej Gdańsk z Odessą.

© FILIP KLIMASZEWSKI/MIKROWYPRAWY

Mikrowyprawy to wielka sprawa

Sposób na czas wolny? Wyłączyć telefon i iść w las. Miłośnicy przyrody i organizatorzy wypraw Joanna i Łukasz Długowscy przekonują, że w tropieniu wilków nie chodzi o to, by je spotkać.

ANNA DOBROWOLSKA: **– Byliście kiedyś na wakacjach w formule all inclusive?**

ŁUKASZ DŁUGOWSKI: – Tak, choć to nie jest aktywność, która nas szczególnie ładuje. Mimo to rozumiem ludzi, którzy nie chcą myśleć, decydować, wybierać, tylko przez dwa tygodnie sobie poleżeć, bo są skrajnie wyczerpani. Jesteśmy w trudnym psychicznie czasie. Zmęczeni zmianami cywilizacyjnymi, wojną za wschodnią granicą, pandemią.

Jak zatem lubicie odpoczywać?

JOANNA DŁUGOWSKA: – Do tej pory to był po prostu plecak, namiot – i ruszaliśmy gdzieś w drogę, czyli tak zwany *backpacking*. Myślę, że wciąż oboje to lubimy. Po ostatniej wycieczce do Norwegii, gdzie podróżowaliśmy głównie stopem, stwierdziliśmy, że będziemy to robić nawet, jak będziemy starzy. Poznawanie ludzi w ten sposób różni się od tego, co oferują biura podróży. Tamten świat jest jednak jakby za szybką.

Ł.D.: – Mam ostatnio na głowie sporo spraw i nawet polubiłem komfort, lubię się przespać w hotelu. Ale ostatecznie bycie w przyrodzie wygrywa. Kilka dni temu, właśnie po takim ciężkim tygodniu, w którym byłem zakopany w obowiązkach, pojechałem na jedną noc do lasu, po to żeby wypatrywać na łące, czy czasami nie przyjdą tam wilki albo żubry. I nic nie robiłem, po prostu siedziałem i się gapiłem. Hotel mi jednak tego nie da. ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ Co daje taki kontakt z przyrodą?

Ł.D.: – Dla mnie bycie w przyrodzie to nie jest oglądanie kwiatów, drzew czy zwierząt. Dla mnie to kontakt duchowy, bardzo intymny, silny, taki, że przestaję czuć granicę pomiędzy mną a przyrodą.

Dla niektórych może to brzmieć dość abstrakcyjnie.

Ł.D.: – Jesteśmy na co dzień tak zalani masą informacji, bodźców, wrażeń, reklam, że jesteśmy trochę przytępieni, nasze zmysły właściwie nie funkcjonują. Dopiero będąc w przyrodzie i pozbywając się tych komunikatów, zaczynamy czyścić zmysły i dopuszczać je do głosu. Moje rozumienie lasu i przyrody było na początku takie, że potrafiłem jedynie wskazać – tu jest drzewo, tu trawa, tu gałęzie. Teraz jestem na takim poziomie uważności i kontaktu, że jestem w stanie wyczuć zapachy zwierząt, zanim w ogóle je zobaczę. Idę ścieżką po lesie i mówię: „O, tutaj rano wilk znaczył teren moczem. Czujecie to?". Zazwyczaj nikt nie czuje.

Co zyskujemy w lesie oprócz większej uważności?

Ł.D.: – Bycie w przyrodzie to zawsze kontakt z innym. Plus przyroda często mnie uczy krytycznego myślenia o świecie.

J.D.: – Dla mnie to także spotkanie z dzikością. Przypomnienie, że wszyscy mamy też w sobie negatywne aspekty, choćby agresję. Przyroda bywa brutalna, okrutna.

Ł.D.: – Ale bywa też rodzajem terapii. Gdy straciłem ojca, miałem tylko 10 lat, i to jest jakoś we mnie cały czas obecne. Istnienie Puszczy Białowieskiej uczy, że śmierć jest fundamentem życia.

W jaki sposób?

Ł.D.: – Z badań naukowych wynika, że Puszcza Białowieska do tego, żeby funkcjonować, potrzebuje od 27 do 30 proc. drzew martwych. Czyli ta śmierć okazuje się tylko fragmentem większego cyklu, jest źródłem kolejnych pokoleń. I jeszcze jedno. W przyrodzie na wyprawach istnieje jakieś ryzyko, minimalna doza bólu. Komuś jest zimno, ktoś jest głodny. To są rzeczy, które totalnie zniknęły z naszego życia. Stało się bezobjawowe, obłe. Często patrzę sobie na moje dłonie, oglądam ostatnie blizny. One są z późnego dzieciństwa, wczesnej nastoletności. Nowe się nie pojawiają.

O czym to świadczy?

Ł.D.: – Że mało się kontaktuję ze światem. Za mało go dotykam, mało się z nim konfrontuję.

Zachęcacie ludzi do tego, żeby spontanicznie wyjść w naturę, szukać ścieżek poza szlakami, ale jak właściwie to robić?

Ł.D.: – Warto zacząć od tego, żeby sobie odpowiedzieć na pytanie – czego ty potrzebujesz w przyrodzie? Następnie zostawić telefon w domu albo przynajmniej przełączyć go w tryb samolotowy. Ja zazwyczaj idę przed siebie tam, gdzie mnie uwaga poniesie. Nie idę żadnym szlakiem, za żadną radą, tylko za swoją intuicją. A jak już ktoś poczuje się zagrożony albo będzie chciał nagle wrócić, to może sięgnąć po mapę czy GPS. W Polsce, która jest pocięta drogami na potęgę, naprawdę trudno się zgubić.

Czy do takich wypraw trzeba się jakoś specjalnie przygotować?

Ł.D.: – Trzeba mieć nogi, przynajmniej jedną rękę i butelkę wody.

J.D.: – Prędzej czy później spotkasz człowieka, który da ci jedzenie albo wodę. Tylko trzeba się odezwać.

Ł.D.: – Tak, to też jest opcja, żeby się wybrać na wyprawę w upalny dzień bez wody. Wziąć pustą butelkę ze sobą i iść przez wsie, i pukać do drzwi. To zawsze jest dobry pretekst do tego, żeby pogadać. „A może pan zna jakieś fajne miejsce tutaj do odwiedzenia?" i on wtedy powie: „A tak, wie pan, tam 2 km dalej to jest takie oczko wodne, którego nikt nie zna". I wtedy się dzieją te najfajniejsze rzeczy, odnajduje się te najbardziej magiczne miejsca i spotyka najbardziej niezwykłych ludzi.

Kontakty trochę podobne do tych z podróży autostopem.

Ł.D.: – Kiedyś na stopa zabrał mnie prezydent Estonii. Jak byliśmy razem w Norwegii, to zabrał nas facet, który był wnukiem gościa, który był partyzantem i brał udział w ataku na fabrykę ciężkiej wody w Norwegii. Tych spotkań jest naprawdę dużo dzięki temu, że porzucamy utarte szlaki, że nie idziemy za blogami. Idźcie tam, gdzie nie jest instagramowo, bo to tam jest najfajniej.

Można powiedzieć, że ze swojej pasji uczyniliście pracę. Teraz w naturę zabieracie też innych.

Ł.D.: – To ciężki kawałek chleba. Ludzie na Facebooku czy Instagramie widzą w tym romantyzm i to im się podoba, ale to jest bardzo wymagająca praca.

Kim są ci, którzy do was trafiają?

Ł.D.: – To są głównie ludzie z dużych miast, którzy kontakt z przyrodą mają dość ograniczony. Ale czuć, że jest im potrzebny. Czują jakąś nieokreśloną potrzebę bliskości, są zaciekawieni.

J.D.: – Są otwarci na to, co dostaną. Prawie nigdy nie trafiają do nas przypadkiem. Są też tacy, których wciągają w to dzieci.

Bo organizujecie specjalne wyprawy dla ojców z dziećmi.

Ł.D.: – Jak wspominałem, straciłem tatę wcześnie, brakowało mi tego kontaktu i miałem poczucie, że mogę stworzyć taką przestrzeń ojcom do tego, żeby sobie ten kontakt z dziećmi budowali.

W outdoorze coraz częściej odnajdują się jednak też kobiety. Same, bez mężczyzn.

J.D.: – Widać to chociażby po ściankach wspinaczkowych. Jak ja się zaczynałam wspinać mniej więcej dziewięć lat temu, dziewczyny były tam zdecydowanie w mniejszości. Natomiast z roku na rok tych kobiet na ściankach jest coraz więcej. Podobnie coraz więcej kobiet wychodzi w góry. Coraz więcej jest profili kobiecych, podróżniczych, przygodowych, outdoorowych. Wyjście w góry, w przyrodę, to jest taki moment, kiedy nie musisz być matką, żoną, nikt od ciebie niczego nie chce.

Co łączy uczestniczki waszych wypraw?

J.D.: – To kobiety w różnym wieku, z absolutnie różnych światów. Bardzo mnie cieszy, że w tym roku było naprawdę dużo kobiet w dojrzałym wieku. Jedna z nich po raz pierwszy w życiu rozbiła namiot. Cieszyła się z tego jak dziecko. Przyjeżdżają też młode osoby albo matki z nastoletnimi córkami. To są zarówno zaprawione outdoorowo dziewczyny, jak i zupełnie początkujące. Często się zdarza, że są na pewnym etapie poszukiwania.

Czego?

J.D.: – Różnych rzeczy. Czasem są na jakichś prywatnych rozdrożach, czasem poszukują nowej ścieżki zawodowej, czasem odpowiedzi na jakieś nurtujące je pytania. Chciałam oddzielić kobiety od facetów, bo wiem, że kobieta w towarzystwie mężczyzn zachowuje się inaczej (i w drugą

eprasa.pl 3e11af7a1e

stronę działa to tak samo). I co więcej, że jak obok kobiety jest mężczyzna, to zazwyczaj to on rozpali ognisko, poniesie ciężkie rzeczy – jest opcją domyślną. Natomiast jak się zbieramy w babskim gronie, to te wszystkie czynności musimy zrobić same. Zależy mi, żeby tę sprawczość i samodzielność wśród kobiet pielęgnować. Poza tym poruszamy tematy, o których nie pogadasz swobodnie w mieszanym gronie, np. jak przetrwać okres w górach.

Czy wyprawy do lasu, kontemplacja przyrody to zajęcie dla każdego?

Ł.D.: – W każdym, nawet w Sebiksie z siłki, jest potrzeba kontaktu z przyrodą. Ona może być głęboko ukryta pod bicepsami i kapturem, ale on potrzebuje tego kontaktu, choć może sobie tego nie uświadamiać. Więc teoretycznie tak, tyle tylko, że dłużej by mi zajęło dotarcie do takiego faceta, żeby on się w tej przyrodzie wyluzował, otworzył na nią.

Kiedyś miałem wyprawę dla grupy sprzedawców. Umówiliśmy się na 16.00. I okazało się, że o 15.00 oni w hotelu byli już wszyscy pijani. Z każdą godziną było tylko gorzej. Stwierdziłem – OK, przyjechałem, to robię swoje. Oni sobie z tego skorzystają na tyle, na ile będą chcieli. Postawiłem na nich krzyżyk, bo czułem, że nie będą zadowoleni. Chcieli imprezy, a ja próbowałem im przekazać intymny kontakt z przyrodą w postaci przygody w Puszczy Białowieskiej. No i po tygodniu dzwonią do mnie kadry, więc odbieram i myślę, że zaraz usłyszę: „Pan oddaje pieniądze". A pani mówi: „Oni przyszli i powiedzieli, że to był ich najlepszy wyjazd w życiu". A to jest firma, która funduje wyjazdy do Azji czy Afryki. To pokazuje, że ta potrzeba jest absolutnie we wszystkich. Zresztą psychologia środowiskowa, neurobiologia, kognitywistyka mówią o tym, że jesteśmy właściwie jednością z przyrodą.

Czyli rozczarowanych brak?

J.D.: – Raz zdarzyła nam się para, która uciekła, bo stwierdziła, że jesteśmy sektą, że zabieramy ludzi w nocy na wycie wilków.

A rozczarowanych tym, że nie udało się zobaczyć wilka czy żubra?

Ł.D.: – Rzeczywiście jest tak, że ludzie, którzy przyjeżdżają na tropienie wilków, wyobrażają sobie, że wejdą do lasu i pyk, wilk tam stoi. Oczywiście nie wszyscy. I ja nigdy im nie obiecuję, że oni wilka zobaczą. Ja im mówię, że wprowadzę ich w ten świat najgłębiej, jak się da. I oni tego nie rozumieją na początku, a jak kończymy, już tak.

Czego konkretnie?

Ł.D.: – Że dzika przyroda jest fantastyczna nie dlatego, że możemy na nasze żądanie zrealizować to, czego chcemy, tylko właśnie dlatego, że nie jesteśmy w stanie nad nią zapanować. Że nie wszystko w tym świecie od nas zależy, nie wszystko jest kontrolowalne. Nie nad wszystkim nawet mamy prawo mieć władzę. Ja zawsze traktuję spotkania ze zwierzętami jako mały cud. Ale nigdy nie zakładam, że to się na pewno wydarzy. To jest taka wisienka na torcie.

Często mierzycie się z tym, że ludzie, którzy przychodzą na wasze wyprawy, mają jakieś przekonania, które musicie prostować?

J.D.: – Jest parę takich mitów – że wilk wyje do księżyca, że wśród wilków jest samiec i samica alfa, że mech wskazuje północ. Czasem pojawiają się argumenty z propagandy myśliwskiej, że np. trzeba odstrzelić wilka, żeby zapanować nad jakąś sytuacją. To trzeba zawsze odkręcać.

Ł.D.: – Większość Polaków ma też błędne przekonanie, że byli już wcześniej w lesie.

A nie byli?

Ł.D.: – 99 proc. Polaków nigdy nie było w lesie. To, co my mamy w Polsce, w ponad 30 proc. pokrytej drzewami, to jest trochę jak wyrób czekoladopodobny. To są lasy, które zostały zasadzone przez Lasy Państwowe. Zwykle monokultury świerków albo sosen z lasem niemające nic wspólnego. Poza tym, że rosną drzewa. Las to jest cały ekosystem, a nie posadzone drzewo, więc kto nie był w lesie naturalnym typu Puszcza Borecka, pierwotnym typu Puszcza Białowieska czy Puszcza Karpacka, to nigdy nie był w lesie. Nawet to, co widzimy w Tatrach, to w 60 proc. są lasy zasadzone.

Są jeszcze na świecie miejsca, które są waszym podróżniczym marzeniem?

Ł.D.: – Dla mnie to jest coraz trudniejsze, bo dużo podróżuję po świecie w poszukiwaniu dzikich miejsc i w ciągu ostatnich kilku lat byłem w Namibii, Tanzanii, Mongolii, Pakistanie. Jeżdżę w trudno dostępne tereny z nadzieją, że zobaczę tam dzikość, i to jest doświadczenie druzgocące, bo tej dzikości już nigdzie nie ma. Wszędzie wszystko jest wyżarte przez zwierzęta gospodarcze albo wycięte pod uprawy lub hodowle. Wracam coraz bardziej przygnębiony z tych podróży. Jedyne, co mnie ratuje, to południe Ameryki Południowej, chilijsko-argentyńska Patagonia. Na przykład Chile ma 21,6 proc. lądu pod ochroną w postaci różnych rezerwatów, parków narodowych. Bodajże 41 proc. wód to są wody chronione. To jest miejsce, które daje jeszcze nadzieję.

J.D.: – Po angielsku się mówi, że nadzieja to czasownik, że przejawia się w działaniu. Nie wystarczy mieć nadzieję, trzeba też jeszcze działać. Każdy z nas powinien. Dawniej ludzie musieli walczyć z przyrodą, żeby przeżyć – niestety to przekonanie nadal pokutuje, ale dzisiaj to my musimy walczyć o przyrodę, żeby w ogóle mieć gdzie żyć.

Ł.D.: – Cała działalność ekologiczna tak naprawdę nie powinna być działalnością, która mówi o ochronie przyrody, tylko o ochronie człowieka. Bo to nie jest tak, że Asia czy ja w swojej pracy walczymy o to, żeby ocalić motylki, ptaszki i wilczki, bo one są takie słodkie. O nie też walczymy, ale docelowo o to, żeby człowiek mógł pić czystą wodę, żeby co roku nie nawiedzała go powódź, żeby miał zdrowe jedzenie, żeby oddychał zdrowym powietrzem. Ludzie się buntują przeciwko pomocy przyrodzie, tak naprawdę nie widząc, że chodzi o pomoc im samym. To jest walka o prawa człowieka.

ROZMAWIAŁA ANNA DOBROWOLSKA

Joanna Długowska – miłośniczka dzikiej przyrody, leśnych biwaków i wszystkiego, co związane z outdoorem. Działa na rzecz ochrony klimatu i przyrody. Zawodowo związana z Greenpeace International.

Łukasz Długowski – genetycznie uzależniony od miejsc niepopularnych i położonych poza szlakami. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście". Przewodnik certyfikowany przez Rewilding Europe, wykładowca SWPS. Trenuje zespoły i liderów na bazie tego, jak funkcjonuje wilcza wataha.

© SHUTTERSTOCK, NATALIA KONTRAKTEWICZ/NATORCE

eprasa.pl 3e11af7a1e

Nowa Huta

Rybnik

Choć miejskie tężnie zdobyły serca Polaków, ich zdrowotna sława może być mocno przesadzona, a czasem wręcz niebezpieczna. Oto jak miasta sprzedają solankowy mit.

Prężenie tężni

PAWEŁ WALEWSKI

„Ładny i pożyteczny obiekt. Na moją alergię idealny. Mam kaszel i kłopoty z krtanią z powodu pyłków, więc wdychanie solanki bardzo mi pomaga” – napisała w komentarzach dotyczących jednej z sosnowieckich tężni pani Katarzyna. Dała miastu pięć gwiazdek, bo to, jej zdaniem, najlepiej ulokowane pieniądze z budżetu obywatelskiego.

W Katowicach podobnie, mieszkańcy prześcigają się w pochwałach: „Warto delektować się powietrzem z tężni” (przekonuje w internecie lokalny przewodnik, pan Marcin); inny ogłasza, że to „najlepsze miejsce do wdychania zdrowej bryzy”. A pani Ewa namawia, by odwiedzać je codziennie, bo nie ma nic lepszego niż „jony solne”.

I tak niesie się przez Polskę chór zachwyconych mieszkańców – z Rybnika,

eprasa.pl 3e11af7a1e

Łódź

Gliwice

© MAREK LASYK/REPORTER, TOMASZ STAŃCZAK/AGENCJA WYBORCZA.PL, DOMINIK GAJDA/AGENCJA WYBORCZA.PL, ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

Gliwic, Tychów, Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wadowic, Konina... Nieuzdrowiskowych miejscowości z własnymi tężniami w parkach i na skwerach jest już kilkadziesiąt, a przybywają kolejne, nawet nad morzem, w Darłówku.

Solanka z niespodzianką

– *Jeżdżąc nad Bałtyk, sto razy bardziej wolałabym wdychać naturalny jod na plaży niż solankę przywiezioną Bóg wie skąd, może z drugiego końca Polski* – mówi z przekąsem prof. Katarzyna Wolny-Koładka z Katedry Mikrobiologii i Biomonitoringu Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. To jej zespół, badając zdrowotne walory miejskich tężni – które, jak się okazuje, bardziej wyglądają, niż cokolwiek leczą – wywołał burzę, wprawiając w zakłopotanie zarówno urzędników, jak i entuzjastów solankowych oaz.

Bo jak potraktować serio jeden z marketingowych sloganów – że godzinny spacer przy tężni w Nowej Hucie to jak trzy dni nad brzegiem morza – skoro w solance umieszczonej w tej drewnianej konstrukcji wykryto chorobotwórcze bakterie, których nie powinno tam być? – *W Krakowie mieszkam, pracuję i tutaj też wypoczywam. Podczas spacerów zobaczyłam pierwszą tężnię przy Zalewie w Nowej Hucie i zaczęłam się zastanawiać, jak to działa z mikrobiologicznego punktu widzenia* – tłumaczy prof. Wolny-Koładka. Jej uwagę przyciągnęły dzieci, które moczyły stopy w niecce, gdzie spływa solanka, i biegające tam psy. Miejskie tężnie to system zamknięty. Woda z niecek trafia z powrotem do tężni. – *Od razu nasunęły mi się niepokojące wnioski* – dodaje.

Wyniki badań prowadzonych od 2021 r. są jak kubeł zimnej – i pełnej bakterii – solanki. Otóż w tężni nad Zalewem Nowohuckim wykryto *Escherichia coli, Enterococcus faecalis, Clostridium perfringens* oraz gronkowce. – *Są to bakterie chorobotwórcze, niebezpieczne zwłaszcza dla osób o obniżonej odporności* – podkreśla badaczka. Choć nie stwierdzono ich obecności w aerozolu wdychanym przez spacerowiczów, konieczne jest regularne monitorowanie takich miejsc. – *To, że obecnie nie ma ich w mgiełce, nie oznacza, że sytuacja nie zmieni się w przyszłości i pojawi się ryzyko kontaktu z bakteriami obecnymi w solance* – ostrzega.

Skąd się w niej wzięły? Tężnie miejskie to systemy, w których solanka krąży w obiegu zamkniętym przez tygodnie, a czasem miesiące. (Inaczej niż w uzdrowiskowych, gdzie solanka jest dostarczana na bieżąco ze źródeł). I zbiera po drodze wszystko, co napotka: odchody ptaków, które lubią siadać na gałązkach tarniny, kurz, brud z ludzkich rąk zanurzanych w nieckach czy nawet psi mocz. Krakowski Zarząd Zieleni Miejskiej, który sprawuje nadzór nad tężniami w tym mieście, początkowo problem bagatelizował. Jak można przeczytać na portalu SmogLab, zajmującym się tematami ekologii i zdrowia, dyrektor Łukasz Pawlik argumentował, że „solanka nie jest przecież przyjazna bakteriom". – *To jest półprawda. Faktycznie solanka nie jest przyjazna drobnoustrojom, ale mamy do czynienia z tężnią miejską o obiegu zamkniętym. Ta solanka nie jest podawana w sposób ciągły, świeża, tak jak w uzdrowiskach. Obfite deszcze i powodzie rozcieńczały ją, obniżając ochronne stężenie z optymalnych 16–19 proc. do zaledwie 7 proc., co już tworzy idealne warunki dla mikroorganizmów* – tłumaczy prof. Wolny-Koładka.

Sól w oku

Polskie prawo nie wymaga monitoringu mikrobiologicznego tężni miejskich, bo formalnie nie są one urządzeniami leczniczymi, a jedynie „ozdobnymi fontannami, mającymi funkcje integracji społecznej". W Sosnowcu, gdzie również stały się lokalnym hitem, Joanna Kiereś, kierowniczka Działu Utrzymania Czystości Miejskiego Zakładu Usług Komunalnych, zapewnia, że miasto dokłada starań, by co 1–2 tygodnie uzupełniać solankę, co wiąże się z jej wymianą: – *Kupujemy sól zabłocką i kłodawską i mieszamy je ze sobą. Przy wyższych temperaturach latem woda szybciej paruje, więc kontrole stężenia muszą odbywać się nawet dwa razy w tygodniu.*

Ale i ona nie kryje frustracji, bo z wykształcenia jest dendrologiem – specjalistką znającą się na miejskiej roślinności: – *Uważam, że tego rodzaju tężnie nie powinny powstawać w parkach! Przecież ta sól osadza się na drzewach, krzewach i trawnikach wokół tężni i wpływa niekorzystnie na takie otoczenie.*

Sól, która miała być błogosławieństwem dla zdrowia, okazuje się przekleństwem dla zieleni. – *Stężenie soli przy tężniach jest mniejsze niż przy soleniu ulic zimą, ale za to stałe, przez całe lato* – tłumaczy Kiereś. Czy to nie brak konsekwencji ze strony włodarzy miast? Z jednej strony chcą być ekologiczni i odchodzą od solenia ulic, zimą szukając alternatyw, a tutaj punktowo instalują emitory solanki do środowiska. – *Czy za chwilę będziemy dokonywać nasadzeń z budżetu obywatelskiego, żeby ratować drzewa?* – pyta z ironią prof. Wolny-Koładka.

– *Jak spuszczamy wodę i czyścimy tężnie na koniec sezonu, to trzeba tę solankę wywieźć, bo nie można jej wypuścić do kanalizacji – więc musimy zamówić specjalistyczną firmę i za to też zapłacić* – dodaje Joanna Kiereś. Koszty utrzymania jednej tężni w Krakowie szacuje się na 100 tys. zł rocznie, a wymiana solanki dla trzech obiektów to wydatek rzędu 50 tys. zł. Czy zatem to najlepszy pomysł na wydawanie pieniędzy? ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶Absurdów jest więcej – rozporządzenie ministra zdrowia z kwietnia 2006 r. wskazuje, że w wodzie służącej do inhalacji niedopuszczalne jest występowanie wspomnianych bakterii, ale w Polsce nie ma norm oceny mikrobiologicznej powietrza (również wokół tężni). Ich twórcy wychodzą więc z założenia, że użytkownicy nie będą solanki pili ani się w niej myli, więc rygory rozporządzenia nie obejmują miejskich tężni. – *Za to urzędnicy umywają ręce* – dobitnie stwierdza prof. Wolny-Koładka. – *Bo skoro nie ma w Polsce wytycznych dotyczących nadzoru nad miejskimi tężniami, prawo nie zobowiązuje ich do prowadzenia monitoringu.*

Tężnie i déjà vu

Oczywiście tężnie mają swoje miejsce w polskiej tradycji, ale w zupełnie innym kontekście. W uzdrowiskach, takich jak Ciechocinek czy Szczawnica, działają od wieków, wspierając leczenie chorób układu oddechowego, alergii czy schorzeń reumatycznych. Tamtejsze konstrukcje, jak monumentalny kompleks w Ciechocinku – największy w Europie, o długości 1741,5 m i wysokości 15,8 m – są projektowane z myślą o precyzyjnym utrzymaniu jakości solanki i podlegają rygorystycznym kontrolom sanepidu. Solanka pochodzi z naturalnych złóż, a obiekty są regularnie czyszczone i monitorowane. To nie to samo co miejskie minitężnie, nazywane czasem paśnikami, których funkcje zdrowotne są, delikatnie mówiąc, znikome.

Zdaniem ekspertów tężnie w uzdrowiskach to po prostu inna liga. Są częścią kompleksowej terapii, wspartej fizjoterapią i balneoterapią. A te miejskie działają w zanieczyszczonym środowisku, co obniża ich potencjalne korzyści i daje jedynie złudzenie nabierania zdrowia. Ale jeśli cała ta afera z tężniami brzmi znajomo – to słusznie. Polska ma już bowiem za sobą podobną modę – groty solne. 20 lat temu wyrastały one w każdym większym mieście, obiecując cudowne efekty: od leczenia astmy po poprawę nastroju. Reklamy kusiły mikroklimatem kopalni soli i jodową terapią. Szybko okazało się, że większość z nich to kosztowne placebo – brakowało dowodów na ich skuteczność, a warunki higieniczne w wielu grotach pozostawiały wiele do życzenia. – *To samo mamy teraz z tężniami. Sprzedaje się mistyczne pojęcie, że sól zawsze jest zdrowa* – mówi prof. Wolny-Koładka.

Podobieństwo jest uderzające: zarówno groty, jak i tężnie bazują na romantycznym micie o jej leczniczej mocy, wspartym tęsknotą za naturą w zurbanizowanym świecie. Tak jak kiedyś wystarczyła w parku fontanna, by umilić czas i dać nieco chłodu spacerowiczom, tak dziś każde miasto chce tężnię – tyle że fontanny przynajmniej nigdy nie udawały, że leczą. Rzecznik Głównego Inspektora Sanitarnego (GIS) przyznaje, że problem istnieje, bo samorządy często nie serwisują ich właściwie. – *Dlatego przygotowujemy dla nich zalecenia, jak to należy robić, skoro zainteresowanie jest coraz większe* – mówi Marek Waszczewski.

Ale brak ogólnokrajowych zasad sprawia, że każdy bawi się w swojej piaskownicy: w Krakowie tężniami zarządza Zieleń Miejska, w Sosnowcu dwie są pod nadzorem Zakładu Usług Komunalnych, a trzecia – Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, natomiast w Zielonej Górze zajmują się tym miejskie wodociągi. I tak każdy pielęgnuje te tężnie na swój sposób, jakby to był konkurs na najbardziej kreatywną prowizorkę.

Małopolski Wojewódzki Inspektor Sanitarny zwrócił się w maju do powiatowych stacji sanepidu o ocenę ryzyka funkcjonowania kurtyn wodnych, tężni oraz fontann i przypomniał im o nadzorze nad instalacjami wodnymi, zwłaszcza latem. Ale na nasze pytanie o efekty tego nadzoru otrzymaliśmy odpowiedź, że pismo „miało charakter zwrócenia uwagi powiatowych inspektorów na zagadnienie, a nie było poleceniem przeprowadzenia kontroli obiektów. Wojewódzki inspektorat w Krakowie nie zbierał informacji o zakresie i wynikach podjętych działań i nie wpłynęły dotąd informacje o zagrożeniach".

Za to krakowski Zarząd Zieleni Miejskiej, sceptyczny wobec ustaleń ekspertów z Uniwersytetu Rolniczego, wystąpił o opinię do Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH w Warszawie, „by rozwiać wszelkie wątpliwości". Odpowiedź, która w tej sprawie nadeszła po miesiącu, podpisana przez jednego z zastępców dyrektora tego państwowego instytutu badawczego, wskazuje, że prawdopodobnie nikt tym tematem się tu wcześniej nie zajmował.

POLITYKA chciała u źródeł zapoznać się ze stanowiskiem NIZP, ale nam go odmówiono, natomiast otrzymaliśmy z Krakowa wspominaną odpowiedź i można z niej wyczytać – oprócz opisu budowy tężni miejskich – że „nie jest możliwe obecnie opracowanie rekomendacji ani wytycznych". Dyrekcja Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego przyznała w piśmie do dyrektora Zieleni Miejskiej, że „problematyka właściwego nadzorowania i zarządzania tężniami miejskimi w miejscowościach nieuzdrowiskowych wymaga specjalistycznej wiedzy" – nie określa jednak, kto miałby ją posiadać, choć powinna chyba wskazać na własnych ekspertów. I dalej: „Wskazana potrzeba opracowania wytycznych jest jak najbardziej uzasadniona (...). NIZP PZH wyraża wstępne zainteresowanie uczestnictwem w takich pracach".

Z NIZP otrzymaliśmy też lakoniczne wyjaśnienie, że instytut nie prowadzi monitoringu tężni miejskich ani uzdrowiskowych, a jedynie wydaje świadectwa potwierdzające właściwości lecznicze wód leczniczych (w tym solanki), które mogą być wykorzystywane w balneoterapii do kąpieli lub inhalacji. – *Skoro pojawiły się tężnie, a wraz z nimi pojawił się nowy problem, to prawo powinno za tym nadążać. Czy nie od tego są urzędnicy i naukowcy w państwowych instytutach, żeby tę legislacyjną dziurę usunąć?* – pyta retorycznie prof. Wolny-Koładka, która wraz ze swoim doktorantem wkroczyła z badaniami, jak widać, na teren absolutnie dziewiczy.

Czas na orzeźwienie

Co zatem można zrobić? Jest kilka propozycji konkretnych rozwiązań: regularny monitoring mikrobiologiczny, instalacja filtrów oczyszczających solankę i – co najważniejsze – zmiana podejścia do tężni: jako do obiektów rekreacyjnych, a nie leczniczych. Krakowskie władze planują wprowadzenie lamp UV do dezynfekcji solanki, ale prof. Wolny-Koładka, która obecnie sprawdza ten pomysł od strony mikrobiologicznej, jest sceptyczna. – *Na razie brak wyników potwierdzających ich skuteczność, więc po co znowu inwestować w coś, co może nie przynieść oczekiwanego efektu?*

Tężniomania pozostaje więc kolejnym przykładem zdrowotnej mitologii. Wdychamy solankowy aerozol, wierząc, że robimy coś dobrego dla płuc, podczas gdy w rzeczywistości możemy fundować sobie sesję z bakteriami i grzybami.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 3e11af7a1e

Świat według Trumpa

Donald Trump nie porzuca planu polityczno-gospodarczej transformacji świata za pomocą swej cudownej broni, czyli taryfy celnej. Chce nowych umów handlowych ze wszystkimi krajami. Unia Europejska już się na taką zgodziła i natychmiast wybuchł spór, czy był to akt kapitulacji, czy tylko unijna realpolitik.

ADAM GRZESZAK

Godzinę zero, kiedy nowy porządek świata miał wejść w życie, amerykański prezydent wyznaczył na 1 sierpnia. Uprzedził o tym przywódców 150 krajów w stosownych listach. Kto do tego czasu zdążył podpisać nową umowę handlową z USA, mógł liczyć na lepsze traktowanie. Zdążyły Japonia, Wielka Brytania, Indonezja, Korea, Wietnam, Filipiny, UE. Spóźnialscy albo oporni wpadali pod walec nowych ceł, przez Trumpa zwanych wzajemnymi, które od kilku miesięcy uroczyście ogłasza, a potem wprowadza, zawiesza, zmienia albo odracza. Wszystko dzieje się w takim tempie, że amerykańskie media prowadzą na bieżąco aktualizowane wykazy stawek celnych, by biznes się nie pogubił. Dla firm uzależnionych od surowców i produktów z importu to prawdziwy koszmar.

Kiedy więc w ostatnich dniach lipca szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen poleciała do Szkocji na rozmowy z Donaldem Trumpem, zabrała nabity pistolet. Była nim zgoda 27 krajów na zastosowanie wobec USA ceł odwetowych, gdyby Donald Trump upierał się przy zamiarze objęcia importu z UE zapowiedzianym 30-procentowym cłem. Szefowie państw członkowskich UE uzgodnili rewanż obejmujący importowane towary *made in USA* o wartości 95 mld euro, które potem zredukowano ▶

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ do 72 mld euro. Na liście znalazły produkty symboliczne, jak burbon, czyli amerykańska whiskey, czy motocykle Harley Davidson, ale też rzeczy poważniejsze, jak samoloty i części do nich, maszyny, samochody, chemikalia, sprzęt medyczny itd.

Transatlantycka wojna handlowa wisiała więc na włosku, bo już wcześniej Unia chciała wdrożyć odwet po wprowadzeniu sektorowych ceł na stal i aluminium (25 proc.) oraz samochody (27,5 proc.). W geście dobrej woli tymczasowo zawiesiła decyzję, ale przed 1 sierpnia brała pod uwagę nawet opcję atomową, czyli sięgnięcie po Instrument Antyprzemocowy (ACI). To instytucja prawa UE, która pozwala na nakładanie nie tylko ceł, ale też poważniejszych sankcji ekonomicznych – handlowych, inwestycyjnych aż po restrykcje w dziedzinie praw własności intelektualnej, czyli groźnych dla amerykańskich big techów. W 2024 r. UE była największym partnerem handlowym USA z 20-procentowym udziałem w amerykańskim imporcie i zanosiło się, że to się już nie powtórzy.

Piętnaście za zero

Trump nie zamierzał ulec i ostrzegał, że próby rewanżu skończą się kolejnymi podwyżkami. Komisarz UE ds. handlu Maroš Šefčović oceniał, że w takich warunkach „kontynuowanie handlu w sposób, do którego jesteśmy przyzwyczajeni w relacjach transatlantyckich, będzie prawie niemożliwe". Unia proponowała obustronne zniesienie ceł, zwane planem zero-za-zero, ale Trump nawet nie chciał o tym słyszeć. Cała jego polityka „America First" zbudowana jest wokół wysokich barier celnych, dlatego minimum to „stawka podstawowa" wysokości 10 proc., do której poszczególnym krajom dokłada podwyżki według własnego uznania; aż do granic absurdu.

Teoretycznie głównym kryterium jest to, czy dany kraj ma nadwyżkę czy też deficyt w handlu z USA, ale w praktyce nie jest to takie oczywiste. Aktualnie najwyższą, 50-procentową stawkę dostała Brazylia. Była to kara za postępowanie sądowe przeciwko byłemu prezydentowi Brazylii Jairowi Bolsonaro, oskarżonemu o planowanie zamachu stanu. Według Trumpa jego sojusznik Bolsonaro jest niewinny i zamierza to uniewinnienie wymusić cłami. Podobnie zamierza zmusić Indie do rezygnacji z zakupów rosyjskiej ropy i uzbrojenia. Karą za to będzie 50-procentowe cło, które wejdzie w życie pod koniec sierpnia. Brazylia i Indie nie są jedynymi krajami, w których Trump w ten sposób realizuje cele polityczne. Celne kary spadają m.in. na Kanadę (bo nie chce zostać 51. stanem USA, a ostatnio, bo zamierza uznać Państwo Palestyńskie), Meksyk (za słabą ochronę granicy), Rosję (za to, że nie chce zakończyć wojny w Ukrainie). Nawet Wielkiej Brytanii kiedyś groził, żądając, by zrezygnowała z energetyki wiatrowej.

Administracja Trumpa z założenia dąży do umów asymetrycznych, tak by przy własnych wysokich barierach celnych amerykański eksport nie napotykał nigdzie ograniczeń nie tylko taryfowych, ale także pozataryfowych (wewnętrznych przepisów dotyczących produktów z importu). Dlatego unijno-amerykańskie negocjacje nie były łatwe. Europejscy negocjatorzy gotowi byli zaakceptować podstawową trumpowską stawkę 10 proc., ale na więcej się nie godzili. W końcu jeśli Wielka Brytania dostała 10 proc., to dlaczego nie miałaby jej dostać UE? Na finał negocjacji wybrano szkocki luksusowy ośrodek golfowy Trump Turnberry, by przy okazji wypromować prywatny prezydencki biznes. Po przybyciu do swojej posiadłości Trump oceniał szanse na porozumienie na 50 proc. Ostatecznie unijnym negocjatorom udało się stargować amerykańskie cło, ale tylko do 15 proc. dla większości produktów z UE.

Prawie partnerstwo

W zamian trzeba było znieść unijne bariery celne dla amerykańskiego eksportu. Programem zero-za-zero objęto handel tylko wybranymi towarami krytycznymi, m.in. samolotami, chemikaliami, lekami generycznymi, półprzewodnikami, częścią produktów rolnych oraz surowców. Ale już nie napojami alkoholowymi, na co liczyła Francja. Cła na stal i aluminium zostały za zaporą 50 proc. nieco tylko złagodzoną przez system kwot importowych. Jednocześnie UE zobowiązała się do zwiększenia importu amerykańskich surowców energetycznych do wysokości 750 mld dol. (do 2028 r.) oraz bezpośrednich inwestycji w USA o wartości 600 mld dol.

Podczas ceremonii zawarcia umowy, ściskając dłoń Ursuli von der Leyen, Trump deklarował: „To nas do siebie zbliży, w pewnym sensie jest to partnerstwo". Przewodnicząca UE miała kwaśną minę, mówiła o „trudnych negocjacjach". Pocieszała się, że „to porozumienie daje pewność w niepewnych czasach", więc dobre i to. Bo jeśli groziło nam amerykańskie 30-procentowe cło, a może nawet wojna handlowa, a dostaliśmy 15 proc. plus system ulg celnych, to jakiś sukces jednak jest. Nie wszyscy byli co do tego przekonani. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz przyznał, że to dobrze, iż umowę zawarto, ale znacznie zaszkodzi ona finansom jego kraju. Premier Francji François Bayrou ocenił, że to była kapitulacja, zaś Viktor Orbán, że „Trump zjadł von der Leyen na śniadanie".

Także Donald Tusk uznał, że „nie ma się z czego cieszyć". „Straty będą dotkliwe po obu stronach Atlantyku, ale lepsza trudna umowa handlowa niż bezsensowna wojna celna między sojusznikami" – napisał na platformie X. Polska gospodarka straci na nowych cłach 8 mld zł rocznie, choć z drugiej strony mogła stracić dwa razy więcej. Nikt w tak niepewnych czasach nie ma ochoty na wojnę handlową z USA, każdy chce chronić swoje eksportowe branże. Francuzom zależy na winach i koniakach, Włochom na produktach spożywczych i towarach luksusowych, Niemcom na samochodach, podobnie jak i Polsce, która jest zapleczem produkcyjnym niemieckiej motoryzacji. Wszyscy zdawali sobie też sprawę, że Europa, w której toczy się wojna, nie może sobie pozwolić na otwarty konflikt z militarnym sojusznikiem, jakim są Stany Zjednoczone rządzone przez tak nieprzewidywalnego prezydenta.

Oblany test

„Unia Europejska fatalnie oblała test Trumpa. UE jest supermocarstwem gospodarczym i mogła skutecznie odpowiedzieć na bezprawne cła Trumpa – nielegalne zarówno w świetle prawa amerykańskiego, jak i międzynarodowego" – ubolewa prof. Paul Krugman, amerykański noblista, specjalista w dziedzinie handlu międzynarodowego i zajadły przeciwnik Trumpa. Ta nielegalność jest obecnie przedmiotem postępowania sądowego przed amerykańskim Sądem ds. Handlu Międzynarodowego. Pięciu właścicieli małych firm oraz 12 stanów USA rządzonych przez Demokratów pozwało administrację Trumpa za nielegalne wprowadzanie ceł importowych na podstawie ustawy International Emergency Economic Powers Act z 1977 r. Podobny spór toczył się już w maju i sędziowie zakwestionowali legalność ceł Trumpa, ale ich orzeczenie uchylił sąd apelacyjny.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Trump łamie też wszystkie reguły WTO, czyli Światowej Organizacji Handlu, bo jego wizja świata wyklucza wolny handel. W XIX w., czyli w czasach, gdy Stany Zjednoczone były jego zdaniem najbogatsze, obowiązywały najwyższe cła i on się tego trzyma. Dlatego USA nie płacą składki członkowskiej, choć pozostają wciąż członkiem WTO, zaś Jennifer Nordquist, doradczyni Rady Doradców Ekonomicznych Białego Domu, objęła właśnie stanowisko wicedyrektora WTO.

„Wygląd umowy Trump–UE był upokarzający, a wygląd ma znaczenie. Jeśli jednak przyjrzeć się jej istocie, zaczyna wyglądać na to, że Europa zrobiła z Trumpa głupca" – pociesza się prof. Krugman. Na czym jego zdaniem polega unijny trik? Na zobowiązaniu do bezpośrednich inwestycji w USA i do zwiększenia zakupów ropy i gazu. Pierwsze zobowiązanie jest bez pokrycia, bo Bruksela nie może żadnej firmy wysłać za ocean, by tam inwestowała. Ponoć Šefčović rozpytywał wśród europejskich koncernów, kto planuje inwestycje w USA, ale takie deklaracje są palcem na wodzie pisane. Także zwiększenie importu gazu i ropy jest wątpliwe, ale z winy Amerykanów. Koncerny naftowe w USA deklarują, że nie mają już mocy przerobowych, by obsłużyć wszystkich klientów, których podsyła im Trump, zapisując w umowach zobowiązanie do zakupów surowców energetycznych.

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Zaufanie do rozmontowania

„Pod rządami prezydenta Trumpa marka *made in USA* odzyska swoją globalną dominację" – zapewnia Biały Dom. Analitycy waszyngtońskiego Centrum ds. Równego Wzrostu mają inne zdanie: „Sukces polityki Trumpa ostatecznie zależy od tego, czy przeciętni Amerykanie staną się bogatsi, a miasta fabryczne odżyją – cel, który zdaniem zewnętrznych ekonomistów jego republikańskiej administracji raczej nie zostanie osiągnięty poprzez cła" – oceniają. Narodowa Federacja Handlu Detalicznego alarmuje, że „amerykański sen" może skończyć się bolesnym przebudzeniem, bo cła to podatki nakładane na importerów z USA, a więc finalnie na amerykańskich konsumentów. „Wielu małych sprzedawców detalicznych stara się zaopatrywać u amerykańskich producentów, ale nie wszystkie produkty są dostępne na rynku krajowym" – narzekają handlowcy. Amerykańskie firmy deklarują, że na razie korzystają z zapasów i by zachować konkurencyjność, redukują marże oraz zyski, ale na dłuższą metę tak się nie da. Koncern Ford szacuje, że cła będą go kosztować w tym roku ok. 2 mld dol., choć większość samochodów produkuje w Ameryce. Ocenia się, że z powodu ceł ceny aut w USA wzrosną w tym roku o 4–8 proc.

Światowa gospodarka jest nieco bardziej skomplikowana, niż wyobraża to sobie Trump, a czasy prezydenta Williama McKinleya, który w XIX w. przy pomocy ceł usiłował zaprowadzić w USA gospodarkę autarkiczną, dawno minęły. Ustawa taryfowa Smoot-Hawleya z 1933 r., która ustaliła zaporowe cła na poziomie, do którego zbliża się dziś Trump, uznawana jest za jedną przyczyn wielkiego kryzysu. Biały Dom wprawdzie posiłkuje się badaniami i publikacjami ekonomistów uzasadniającymi politykę taryfową prezydenta, lecz ich autorzy publikują potem sprostowania lub wyjaśnienia, że nie tego dotyczyły ich badania albo że zostali zmanipulowani lub opacznie zrozumiani.

Jednym z niewielu, którzy bronią Trumpa, jest Oren Cass, główny ekonomista w republikańskim think tanku American Compass. Jego zdaniem krytycy Trumpa idealizują światowy rynek, wyobrażają sobie, że panuje na nim konkurencja doskonała. To iluzja. „W realnym świecie, przeciwnie, globalny rynek jest zdominowany przez narodowych czempionów stworzonych przez rząd. Kapitał przepływa w kierunku największych dotacji tych najbardziej wyzyskujących siłę roboczą. Produktywność spada, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, gdzie typowa fabryka wymaga więcej pracy niż dekadę temu, aby wytworzyć tę samą ilość" – pisze Cass.

Polityka Trumpa więcej lęków budzi w Ameryce niż w Europie. „Większość krajów – w tym USA – straci na wojnie celnej" – piszą analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Ale ich zdaniem Polska ucierpi w mniejszym stopniu ze względu na stosunkowo mały udział USA w naszym eksporcie. Ale straty będą i wyniosą ok. 0,22 proc. polskiego PKB. Wszystko jednak zależy od szczegółów umowy, które będą dopiero uzgadniane.

Tymczasem w USA Jerome Powell, szef Rezerwy Federalnej, z niepokojem mówi o „agresywnej strategii taryfowej" i o tym, że amerykańscy konsumenci ostatecznie zapłacą część ceł Trumpa, co musi odbić się na inflacji. Dlatego Fed wstrzymuje się z obniżką stóp procentowych, doprowadzając tym prezydenta do wściekłości. Trump grozi wyrzuceniem Powella z posady; tak jak wyrzucił szefową Biura Statystyki Pracy (BLS) Erikę McEntarfer za to, że w comiesięcznym raporcie o rynku pracy pojawiły się dane nie takie, jakich oczekiwał. W imię realizacji swojej gospodarczej wizji świata gotów jest rozmontować cały system, na którym opiera się zaufanie świata do dolara, do niezależności Fed, do praworządności, czyli tego wszystkiego, na czym opiera się gospodarka amerykańska. I tego świat obawia się najbardziej.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Słodko gorzki

JOANNA SOLSKA

Jeszcze niedawno za kilogram cukru trzeba było płacić w sklepie 7 zł, teraz w promocji kosztuje nawet 1,40 zł. Mniej niż wynoszą koszty produkcji. Góry cukru zalegające dziś w magazynach to wytwór absurdalnej polityki państwa.

Rynek cukru jest najbardziej regulowanym rynkiem na świecie i dlatego łatwo go rozhuśtać – tłumaczy Bartosz Urbaniak z banku BNP Paribas. U nas właśnie się to dzieje. To przede wszystkim zasługa Jacka Sasina, byłego wicepremiera w rządzie Prawa i Sprawiedliwości. Dziś polskie cukrownie marzą, żeby ktoś wywołał na rynku panikę – jak to się już parę razy zdarzało – bo wtedy wystraszeni konsumenci zaczęliby kupować cukier na zapas. Magazyny w cukrowniach może by się opróżniły, bo na razie są pełne jeszcze po poprzedniej kampanii, a buraki na polu rosną i za kilka tygodni plantatorzy zaczną je zwozić do skupu.

W desperacji cukrownie sprzedają cukier sieciom handlowym za bezcen; średnio po 2,14 tys. zł za tonę. W Krajowej Grupie Spożywczej prezes Leszek Świętochowski przyznaje, że u niego koszt wynosi powyżej 2,7 tys. zł. Na pytanie, dlaczego sprzedaje poniżej kosztów, odpowiada: – *A kto dzisiaj tego nie robi?*

Krajowa Grupa Spożywcza to państwowy koncern, powołany w 2022 r., który przejął po spółce Polski Cukier kilkadziesiąt zakładów. Kontroluje ok. 40 proc. polskiego rynku cukru, na którym ma jeszcze trzech zagranicznych, a właściwie już tylko niemieckich konkurentów: koncerny Pfeifer & Langen, Nordzucker oraz Sudzucker. Celem utworzenia KGS miała być przede wszystkim stabilizacja cen skupu, tak aby zadowolić wiejski elektorat. W gruncie rzeczy chodziło o ukrytą formę dotacji dla różnych producentów rolnych (tegoroczne straty KGS wyniosą ok. 600 mln zł).

– *Wicepremier Sasin, żeby zdobyć przychylność plantatorów buraków, dwa miesiące przed wyborami w 2023 r. ustalił z nimi cenę skupu, jaka będzie obowiązywać jesienią 2024 r., na 46,50 euro za tonę* – słyszę od Leszka Świętochowskiego. Rolnicy pamiętali, że po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję, a potem w pandemii, ceny cukru w detalu przebiły nawet 7 zł za kilogram, w hurcie był po 4 zł. Uważali, że koniunktura będzie trwała, za buraki powinni dostawać więcej, cena Sasina bardzo im się podobała. Zachęceni plantatorzy zasiali więc jeszcze więcej buraków. Weszliśmy w scenariusz „klęski urodzaju".

Już teraz mamy w Polsce ponad milion ton cukru, którego nie sposób sprzedać. W ostatniej kampanii polskie cukrownie wyprodukowały 2,6 mln ton, spożycie w kraju wynosi 1,650 mln, od lat utrzymuje się na tym samym poziomie. Tę nadwyżkę trudno wyeksportować, bo – jak mówi Bartosz Urbaniak – kłopot z nadmiarem cukru ma cała Unia. Jest to wynik chronienia rynku wysokimi cłami przed tańszym cukrem trzcinowym, w interesie europejskich plantatorów buraków.

– *To nie myśmy zepsuli europejski rynek* – zapewnia prezes KGS. W całej Wspólnocie roczna produkcja cukru wynosi 16 mln ton, a najwięcej wytwarza go Francja – dwa razy więcej od Polski, drudzy są Niemcy – produkują o połowę więcej niż my. Kiedyś unijną produkcję cukru ograniczały kwoty, za ich przekroczenie płaciło się kary. To dlatego po wejściu do Unii musieliśmy zamknąć kilka cukrowni, żeby nie przekraczać limitów produkcji. Przed kilkoma laty pod naciskiem rolników Unia limity na produkcję cukru zlikwidowała. Producenci, także w Polsce, zaczęli inwestować w zwiększenie przerobu – wyjaśnia Michał Gawryszczak, dyrektor Związku Producentów Cukru w Polsce. Dzięki temu jednostkowe koszty produkcji malały.

Kłopot w tym, że rosły nadwyżki wyprodukowanego w Unii cukru, którego kraje pozaunijne nie chcą już kupować, bo jest za drogi. Ceny na europejskim rynku kształtuje giełda w Londynie, w czerwcu za tonę trzeba było płacić ok. 475 dol. Na giełdzie w Nowym Jorku było o wiele taniej – zaledwie 355 dol., tam handluje się głównie cukrem trzcinowym. Europa dusi się buraczanym cukrem.

Zanim wicepremier Sasin w trosce o finanse plantatorów narzucił wysoką cenę na buraki, powodującą wzrost kosztów produkcji cukru, na rynek wkroczył Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia w rządzie PiS. Resort przeraził się wielkością konsumpcji słodyczy oraz słodzonych napojów i jej skutków zdrowotnych dla narodu – polskie dzieci tyją najszybciej w Europie.

Wysoką konsumpcję cukru w Polsce potwierdzają dane GUS, rocznie zjadamy, nie tylko słodząc, ale także w produktach przemysłu spożywczego, ponad 42 kg cukru na osobę. Lekarze alarmują, że nadmierna konsumpcja grozi nadciśnieniem, cukrzycą, otyłością i wieloma innymi chorobami.

Wiceminister Cieszyński postanowił nas więc do słodyczy zniechęcić podatkiem cukrowym. Zaczął od jego wprowadzenia na słodzone napoje i tzw. energetyki. Media doniosły, że butelka napoju typu coca-cola zdrożała z 4,29 zł

eprasa.pl 3e11af7a1e

do 6,49 zł. Oficjalnie kierował się słuszną troską o nasze zdrowie, wiadomo jednak było, że tak naprawdę chodzi o pieniądze, których brakuje w kasie NFZ. Planowane 2,5 mld zł z podatku miały być przeznaczone na leczenie chorób spowodowanych nadmiernym spożyciem. Skutkom wprowadzenia podatku cukrowego Ministerstwo Zdrowia już się nie przyglądało.

Tymczasem wyższe ceny na słodkie napoje na początku spowodowały wprawdzie ograniczenie spożycia, ale szybko wróciliśmy do złych nawyków. Po prostu szukaliśmy na sklepowych półkach napojów tańszych, słodzonych izoglukozą, czyli syropem glukozowo-fruktozowym produkowanym ze zboża, głównie z kukurydzy. Jest znacznie słodszy od cukru i dużo bardziej szkodliwy, za to o wiele tańszy w produkcji.

Portal Food Forum pisze o tym, gdzie już dziś znajdziemy syrop glukozowo-fruktozowy: nie tylko zastąpił cukier w słodyczach, zaczęto go dodawać do majonezów, jogurtów, keczupów, płatków kukurydzianych, dań gotowych, lodów, napojów gazowanych, soków owocowych, pieczywa, sosów, marynat, a nawet mięsa, wędlin i musztardy. Dane GUS o spożyciu cukru na głowę Polaka można więc wyrzucić do kosza, dodać do nich bowiem powinniśmy informację o ilości spożycia syropu glukozowo-fruktozowego. W Polsce jego największym producentem jest amerykańska firma Cargill. Ten syrop to w ogóle amerykańska specjalność; mało kto wie, że to on jest używany przy produkcji coca-coli. Zresztą sprawa słodzenia coca-coli jest charakterystyczna dla zjawisk i tendencji na globalnym rynku cukrowym.

Dla coca-coli najlepszym nośnikiem reklamowym stał się obecny prezydent Stanów Zjednoczonych. Na swoim biurku w Gabinecie Owalnym polecił zainstalować specjalny przycisk, za pomocą którego zamawia ulubiony napój. „The New York Times", zanim jeszcze Trump się do Białego Domu wprowadził, informował, że dziennie wypija on kilka–kilkanaście butelek coli. Coca-Cola jest firmą amerykańską, można więc uznać, że prezydent w ten sposób wspiera rodzimą gospodarkę. Szefowie potężnego koncernu mają jednak powody, żeby się prezydenta obawiać.

Na portalu Truth Social Trump napisał bowiem, że rozmawiał z Coca-Colą na temat używania cukru trzcinowego w produkowanej w Stanach coli i szefowie koncernu zgodzili się to zrobić. Koncern od 1984 r. słodzi bowiem swój napój syropem z kukurydzy.

Jej plantatorzy wypowiedź prezydenta Trumpa przyjęli z niepokojem. Stowarzyszenie Producentów Kukurydzy, potężne rolnicze lobby, oświadczyło, że „zastąpienie syropu kukurydzianego o wysokiej zawartości fruktozy cukrem trzcinowym spowodowałoby utratę tysięcy miejsc pracy w amerykańskim przemyśle spożywczym, obniżenie dochodów rolników i wzrost importu cukru z zagranicy, a wszystko to bez żadnych korzyści zdrowotnych" (podajemy za „Gazetą Wyborczą").

W kwestii braku korzyści zdrowotnych odmienne zdanie ma ruch MAHA (Make America Healthy Again), który oczekuje od wielkich amerykańskich koncernów, aby ograniczyły używanie w produktach spożywczych składników takich, jak m.in. syrop kukurydziany. Reuters doniósł, że w raporcie komisji MAHA stwierdzono, iż spożycie syropu kukurydzianego może mieć znaczący udział w szerzeniu się epidemii otyłości wśród dzieci, a także wielu innych schorzeń wśród Amerykanów.

Gdyby pod wpływem MAHA i zapowiedzi nowych wytycznych żywieniowych Roberta Kennedy'ego, obecnego ministra zdrowia, słodzenie napojów syropem z kukurydzy zostało zabronione, mocno dostaliby po kieszeni nie tylko plantatorzy kukurydzy, lecz również tacy potentaci, jak Coca-Cola, PepsiCo, Nestle i prawie cały przemysł spożywczy USA. Można wątpić, czy nawet Donald Trump zdecyduje się iść z nimi na wojnę, chociaż stawką jest zdrowie tyjących na potęgę Amerykanów.

Na razie ci, którzy kochają coca-colę, ale nie chcą słodzonej syropem z kukurydzy, mogą pić wersję sprowadzaną... z Meksyku, gdzie słodzi się ją cukrem, a nazywana jest mexicoke. Teraz trzeba za nią płacić więcej, bo Trump na produkty importowane z Meksyku nałożył 15-procentowe cła.

Przyszłość europejskiego cukru z buraków, o którego ceny przez tyle lat dbali politycy, jest zagrożona. Przemysł spożywczy (jeśli nie ma dopłat, tak jak u nas za pośrednictwem państwowego koncernu) wybiera syrop kukurydziany lub cukier trzcinowy. Jeśli Unia podpisze umowę z południowoamerykańską strefą Mercosur, będzie musiała zrezygnować m.in. z ochrony rynku cukru z buraków i wtedy zapewne zastąpi go tańszy, trzcinowy. Na wejście w życie umowy z Mercosur naciskają Niemcy, protestują Francja i Polska. Ale tendencja wydaje się nieodwracalna: białego cukru z buraków od rafinowanego cukru z trzciny cukrowej konsumenci nie są w stanie odróżnić ani po wyglądzie, ani po smaku – różnią się tylko ceną, a to przesądza o ich przemysłowym zastosowaniu.

Próby sztucznego pobudzania popytu na cukier raczej nie wchodzą w grę ze względów społecznych i zdrowotnych. Choć i tu państwo próbowało interweniować. Przykładem lubelska fabryka cukierków Pszczółka, wcielona do KGS. Była małą lokalną firmą i radziła sobie nieźle, dopóki w 2016 r. rząd PiS nie postanowił jej rozbudować i uczynić z niej narodowego czempiona w branży cukierków. Udała się tylko połowa planów, czyli rozbudowa. Dziś Pszczółka pracowicie produkuje niechciane cukierki na masową skalę. Jednak na konkurencyjnym rynku słodyczy państwowa fabryka sobie nie radzi, więc cukierki Pszczółki sprzedawane są na państwowej poczcie, bo nawet kontrolowany przez państwo Orlen doszedł do wniosku, że Pszczółka mu na stacjach benzynowych niepotrzebna.

Politycy zawsze mają pokusę słodzenia wybranym grupom elektoratu i poprawiania rynku. Gorzka prawda jest taka, że sukcesy są wątpliwe, a jedynie pewne są koszty i chaos. ■

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Wzięci głodem

Głód bywa narzędziem prowadzenia wojny. Niszczącym pojedyncze życia i społeczne struktury. A dla tych, którzy przeżywają, jest bombą z opóźnionym zapłonem. Znamy to z historii. Widzieliśmy w wielu rejonach świata. Dziś z przerażeniem patrzymy na Strefę Gazy.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Strefa Gazy głoduje. „Żywię się jednym posiłkiem dziennie – chlebem soczewicowym, który zaczęłam piec po zniknięciu z rynku mąki; jej cena na czarnym rynku gwałtownie wzrosła. Kładę się spać głodna i budzę się głodna" – pisze dziennikarka Shaima Eid na portalu Brave New Europe.

Palestyńczycy z Gazy znaleźli się w pułapce. Nie mogą wyjechać; wojna zniszczyła ich uprawne biedapoletka; Izrael zakazał rybołówstwa na morzu. Zegar głodu tyka. Mieszkańcy Gazy jedzą około jednej czwartej zapotrzebowania. „Widziana z powietrza Gaza wygląda jak ruiny starożytnej cywilizacji wydobyte na światło dzienne po wiekach mroku" – notuje wysłannik „Guardiana" z pokładu samolotu zrzucającego żywność. „Nic mnie nie przygotowało na to, co zobaczyłem i czego doświadczyłem w Gazie" – tak zaczyna ukazującą się we Francji książkę Jean-Pierre Filiu, historyk świata arabskiego, który był w Strefie z konwojem humanitarnym na przełomie 2024 i 2025 r. „Gaza, którą znałem i przez którą [kiedyś] podróżowałem, już nie istnieje".

eprasa.pl 3e11af7a1e

Kolejka po żywność w Sudanie

Po zamknięciu przez armię Izraela 400 ONZ-owskich punktów rozprowadzania pomocy – z uzasadnieniem, że rozkrada ją Hamas – od połowy maja dystrybucję żywności prowadzi amerykańsko-izraelska Gaza Humanitarian Foundation. Instytucja ta jest zwykle opisywana jako „kontrowersyjna" lub „szemrana": nie ma doświadczenia z dystrybucją żywności w strefach wojennych; dostarcza paczki pochodzące nie z renomowanych organizacji pomocowych, lecz od prywatnych donatorów, głównie z USA; zatrudnia amerykańskich najemników, których wspomaga izraelskie wojsko.

Punkty, w których rozdziela się żywność, są zaledwie cztery – a populacja Gazy to ponad 2 mln ludzi. Jak donosi Shaima Eid, to „śmiertelne pułapki" znajdujące się daleko od terenów mieszkalnych – dla części osób starszych, dzieci, kobiet to dystanse nie do przebycia; a te, które decydują się iść, narażone są na ogromne ryzyko. A do stojących w kolejce po żywność strzelają izraelscy żołnierze, jest wiele udokumentowanych przypadków; zabili już w ten sposób ponad 1 tys. Gazańczyków.

Rozdzielanie żywności odbywa się według praw dżungli. Otwiera się brama, tłum szturmuje, najsilniejsi tratują słabszych. Ci, którzy jako pierwsi przedrą się do paczek, wybierają co lepsze. Część żywności trafia na czarny rynek. Słabi muszą zadowolić się resztkami. Znów Eid: „Ocaleni z tych śmiercionośnych stref relacjonują, że w drodze powrotnej są często okradani przez uzbrojone gangi, które kontrolują znaczną część dostaw żywności z tych punktów". Największym gangiem kieruje niejaki Jassir Abu Shebab, niegdyś więziony przez Hamas za handel ludźmi. Jego banda atakuje też konwoje z pomocą humanitarną.

Epicka katastrofa

Głód nie oznacza całkowitego braku żywności, lecz pozbawienie jej ok. 20–25 proc. najuboższych i najsłabszych. Nie ma też definicji prawnej. Wskaźnik różnych faz niedożywienia mający skrót IPC, którym posługuje się ONZ, określa, że z klęską głodu mamy do czynienia, gdy:

– 20 proc. gospodarstw domowych na danym terytorium znajduje się w tzw. piątej fazie klasyfikacji, tzn. skrajnego niedostatku żywności, głodowania i wyczerpania się strategii radzenia sobie;

– 30 proc. dzieci cierpi z powodu ostrego niedożywienia;

– z powodu głodu lub w wyniku połączonych przyczyn – niedożywienia i chorób – na każde 10 tys. mieszkańców umierają dziennie dwie osoby dorosłe lub czworo dzieci.

Według kryteriów IPC pierwszy wskaźnik został już prawdopodobnie przekroczony; niektórzy sądzą, że stanie się to we wrześniu. Miasto Gaza zbliżyło się do progu głodu w lipcu. O katastrofie głodu mówią UNICEF i Światowa Organizacja Zdrowia. Inna grupa, Gaza Nutrition Cluster – koalicja agend ONZ i organizacji humanitarnych – informuje, że między kwietniem i połową lipca ponad 20 tys. dzieci z ostrym niedożywieniem zostało objętych pomocą medyczną, a 3 tys. z nich było w stanie skrajnego niedożywienia.

Pozostali wciąż w Strefie pracownicy Światowego Programu Żywnościowego (agendy ONZ) donosili pod koniec lipca, że co trzecia osoba w Gazie nie jadła nic od kilku dni. Brytyjski Czerwony Krzyż ogłosił, że w Gazie z głodem mierzy się 470 tys. ludzi. Czy Gaza osiągnęła już stan głodu, czy jest dopiero na jego progu, to rzecz drugorzędna – ludzie masowo głodują, z głodu chorują i umierają; potwierdzonych jest 188 zgonów.

Jak zabija niedożywienie

– *Brak dostępu do żywności powoduje nie tylko uczucie głodu. Rozpoczyna też proces biologicznego wyniszczania organizmu* – mówi lekarka Małgorzata Piotrowska z zespołu pogotowia Polskiej Misji Medycznej, która pracowała na obszarach objętych głodem w Ugandzie i Tanzanii. – *Początkowo organizm* ▶

© AA/ABACA/FORUM, LILY FRANEY/GAMMA RAPHO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ *uruchamia mechanizmy obronne, lecz w dłuższej perspektywie niedożywienie prowadzi do nieodwracalnych uszkodzeń i śmierci.*

Co dzieje się z człowiekiem pozbawionym odpowiedniej liczby kalorii w dłuższym czasie? – *Organizm uruchamia wiele mechanizmów kompensacyjnych. Początkowo czerpie energię z zapasów glukozy, a następnie z glikogenu wątrobowego. Te wyczerpią się po 1–2 dniach.* W przypadku dodatkowego stresu fizycznego (np. urazy, zakażenia, choroby przewlekłe) mechanizmy kompensacyjne ulegają załamaniu. Organizm zaczyna intensywnie rozkładać białka – również z mięśni i narządów – co przyspiesza wyniszczenie.

Dr Piotrowska wylicza wczesne objawy niedożywienia (w okresie od kilku dni do dwóch tygodni): osłabienie, zawroty głowy, rozdrażnienie; spadek koncentracji i wydolności fizycznej; utrata masy ciała; obniżona temperatura organizmu, uczucie zimna. Po dwóch–czterech tygodniach dochodzi do utraty masy mięśniowej, zaburzeń hormonalnych. Pojawia się niedokrwistość, zanika tkanka tłuszczowa podskórna, zaburzeniu ulega praca serca – spada ciśnienie krwi. Spowalnia perystaltyka jelit, człowiek cierpi na zaparcia.

Zaawansowane niedożywienie – od kilku tygodni do kilku miesięcy – powoduje obrzęki niedoborowe (głównie kończyn dolnych) i zaburzenia odporności. Nawracają infekcje, może wdać się sepsa. Powstają też problemy skórne – suchość, pękanie naskórka, trudne gojenie ran; zaburzenia neurologiczne – apatia, depresja, upośledzenie funkcji poznawczych; zaburzenia elektrolitowe – hipokaliemia, hiponatremia. Stan skrajnego wyniszczenia wiąże się już z wysokim ryzykiem śmierci z powodu zakażeń, niewydolności wielonarządowej, arytmii i hipotermii.

„Poważne i długotrwałe niedożywienie powoduje ostre i dojmujące cierpienia fizyczne – pisze Jean Ziegler, były sprawozdawca ONZ ds. prawa do wyżywienia, w książce „Geopolityka głodu". – Wpędza człowieka w letargiczny stan i stopniowo upośledza jego zdolność do myślenia i poruszania się".

U głodujących dzieci wszystko postępuje dużo szybciej: zużycie zapasów cukrów, tłuszczów, utrata masy ciała, zniszczenie układu immunologicznego. Ziegler: „Dziecko staje się letargiczne. Agonię przyspiesza biegunka. Cierpienie zwielokrotniają pasożyty zagnieżdżające się w jamie ustnej oraz infekcje dróg oddechowych. Potem następuje zniszczenie masy mięśniowej. Dziecko nie jest już w stanie utrzymać się na nogach. (...) Twarzyczka staje się podobna do twarzy starego człowieka".

Żywność jako broń

Międzynarodowe prawo humanitarne zobowiązuje strony konfliktu do zapewnienia cywilom dostępu do żywności i wody w wystarczającej ilości. Tymczasem izraelskie organizacje praw człowieka – B'Tselem i Physicians for Human Rights-Israel – zaalarmowały pod koniec lipca, że „Izrael niszczy system żywnościowy Gazy i używa żywności jako broni przeciw narodowi palestyńskiemu. Przez miesiące trwania ataku Izrael zaprzeczał istnieniu niedoborów żywności lub deficytów pomocy humanitarnej w Strefie Gazy, twierdząc, że jeśli występują one w niektórych obszarach, to winę za to ponosi Hamas. Temu twierdzeniu zaprzeczają zaangażowane agencje pomocowe. Dwie amerykańskie agencje rządowe odpowiedzialne za koordynację pomocy humanitarnej stwierdziły, że Izrael celowo opóźniał i utrudniał dopływ pomocy do Strefy Gazy i że ponosi główną odpowiedzialność za panujący tam głód".

Od lewej: **Charków w czasach Hołodomoru (1932–33). Afrykańscy Hererowie odcięci**

Przez dwa miesiące – od marca do maja – armia Izraela zamknęła Gazę całkowicie. Nie wjechała ani jedna ciężarówka z pomocą humanitarną. Jeszcze raz B'Tselem: „Według szacunków z maja 2025 ok. 1,95 mln osób, czyli 93 proc. ludności Gazy, cierpiało z powodu poważnego braku bezpieczeństwa żywnościowego. Spośród nich 244 tys. żyło w warunkach »katastrofalnego głodu«, co jest najbardziej ekstremalną klasyfikacją stosowaną przez wskaźnik IPC". Głodzenie całej populacji to jedno z ludobójczych narzędzi – uważał Rafał Lemkin, polsko-żydowski prawnik, który po drugiej wojnie światowej stworzył pojęcie ludobójstwa. To broń zmierzająca do wyniszczenia zarówno fizycznego, jak i duchowego głodzonej społeczności.

Otwarte głodzenie ludności Strefy Gazy jest novum, ale utrzymywanie jej w warunkach zagrożenia niedożywieniem to strategia stosowana przez rządy Izraela od blisko dwóch dekad. „Chodzi o wysłanie Palestyńczyków [z Gazy] na dietę, a zarazem niedopuszczenie, by umierali z głodu" – wyjaśniał w 2006 r. Dov Weisglass, doradca premiera Ehuda Olmerta. Niedożywieni ludzie mieli – w myśl tej strategii – zwrócić się przeciw rządom Hamasu, wówczas dopiero co wybranego przez Gazańczyków do sprawowania władzy.

Kajzer i Hołodomor

Głodzenie całych populacji bywało już narzędziem prowadzenia wojen, podbojów czy społecznej inżynierii. Polityka Brytyjczyków wespół z suszą doprowadziły w latach 1876–79 do zagłodzenia milionów Indusów (szacunki wahają się od 5,5 do 12 mln). Głodnych można było nakarmić, ale akcję ratunkową uznano za sprzeczną z zasadami rynku oraz interesami imperium. „Idea, że w czasach głodu biedni mają prawo do pomocy, mogłaby dać początek przeświadczeniu, że należy im się ona w każdych okolicznościach" – stwierdzała brytyjska komisja ds. głodu. Ponadto urzędnicy kolonialni, podobnie jak Londyn, widzieli w głodzie „zbawienny lek na problem przeludnienia".

W czasie wojny o Filipiny na przełomie XIX i XX w. (początkowo między USA i Hiszpanią, potem USA przeciw lokalnej ludności) armia Stanów Zjednoczonych niszczyła zbiory ryżu, stada bydła i magazyny żywności, by pozbawić opierających się środków do przeżycia. Tragedię tę opisał amerykański historyk Mike Davis w książce „Późnowiktoriański holokaust. Głód, El Niño i tworzenie Trzeciego Świata". W czasie masowych śmierci z głodu, w roku 1900, wojskowi donosili w listach, że głodzenie miejscowych jest oficjalną strategią.

Głodem i pragnieniem posłużyła się przeciw zbuntowanym koloniom armia Cesarstwa Niemieckiego na początku XX w. na terenach dzisiejszej Namibii. Uciekające przed wojskiem ludy rdzenne – Herero i Nama – znalazły się w pułapce, jaką stała się pustynia Omaheke. Dowódca Lothar von Trotha rozkazał

eprasa.pl 3e11af7a1e

przez Niemców od wody i żywności (pocz. XX w.). Obóz uchodźców w Darfurze (1985 r.).

odcięcie uciekających od wodopojów. Jak piszą autorzy książki „Zbrodnia Kajzera", ludzie kopali dziury w wyschniętych korytach rzek, nawet 10-metrowe. Gdy ktoś dokopał się do odrobiny wody, spragnieni i głodni tratowali się bądź ginęli zasypani w prowizorycznych studniach. Najeźdźcy unicestwili, m.in. za pomocą głodzenia, 80 proc. populacji Herero i 50 proc. Nama.

Hołodomor w Ukrainie był narzędziem społecznej inżynierii. Jego główną przyczyną nie były susze, powodzie czy nieurodzaj. Zorganizowane przez państwo Stalina grupy uzbrojonej młodzieży najeżdżały wsie i konfiskowały zapasy żywności. „Chodziło o to – jak pisze Irena Grudzińska-Gross – by raz na zawsze zamknąć jej [tj. Ukrainie] powrót do poprzednich form życia. Było to zamierzone »rozwiązanie ostateczne« i – co za tym idzie – ludobójstwo".

Wojna na fotografie

Rząd Izraela, mając świadomość, że głodzenia ludności nie da się obronić, prowadzi wojnę propagandową, która ma przysłonić to, czego doświadczają zmysły, co widać na filmach wideo i fotografiach.

Oto np. ambasada Izraela w Polsce opłaciła reklamowy filmik na YouTube, na którym widać m.in. rzędy ciężarówek i rozrzucone na dużej przestrzeni pudła, a obrazom towarzyszy tekst: „Izrael wpuścił setki ciężarówek, które wjechały do Gazy. A ONZ odmawia rozdzielenia pomocy. Ciężarówki stoją bezczynnie w Gazie, a obok nich rosną góry niewykorzystanych towarów. To jest celowy sabotaż ONZ".

Brak wyjaśnienia, jaki motyw mógłby przyświecać ONZ. Nie wspomina się też, że od połowy maja to nie ONZ, lecz wspomniana Gaza Humanitarian Foundation – chaotycznie, narażając słabszych i pod ostrzałem armii Izraela – rozdziela pomoc. I tylko w czterech punktach, nie w 400, jak wtedy, gdy pomoc rozdzielały agendy ONZ.

Polem propagandowej wojny Izraela było też zdjęcie wygłodzonego dziecka, Muhammada Zakariyi, a argumentem na rzekomą manipulację miało być to, że już przed wojną poważnie chorował.

Głodu na świecie mogłoby dziś nie być. Ilość produkowanej żywności wykarmiłaby prawdopodobnie dwie planety takie jak Ziemia. Mimo to ludzie głodują – według aktualnych danych ONZ jest ich ok. 670–720 mln (ponad 8 proc. populacji świata).

Kraje, a dla ścisłości obszary w ich obrębie, dotknięte głodem znajdują się przeważnie w Afryce i Azji – to m.in. Etiopia, Erytrea, Somalia, Czad, Sudan i Sudan Płd., Indie, Timor Wschodni, Syria, ale też Haiti.

Na tym nie koniec – ok. 2,3 mld znajduje się w sytuacji, którą nazywa się brakiem bezpieczeństwa żywnościowego. A blisko miliard zmagał się ze skrajnym brakiem takiegoż bezpieczeństwa. Trzy miliardy ludzi nie może sobie pozwolić na zdrową dietę.

Jako przyczyny głodu i niedożywienia wskazuje się, bez głębszego namysłu, susze i powodzie czy pandemię. Ale to nieprawda. Wymienione zjawiska mogą zachwiać bezpieczeństwem żywnościowym na chwilę – żywności na świecie jest dość.

Martin Caparrós w monumentalnym dziele „Głód" twierdzi, że głód to zjawisko polityczne, bo jest konsekwencją decyzji ośrodków władzy. Jako narzędzia geopolityki głodu wskazuje deregulację produkcji rolnej, ekspansję biopaliw, grabież ziem uprawnych. Głodującymi są często drobni rolnicy wypchnięci z rynku przez wielkie korporacje rolnicze dotowane z publicznych pieniędzy. „Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc, że dzieją się takie rzeczy?" – pyta retorycznie Caparrós.

Głód jako mina

– *Człowiek może przetrwać bez jedzenia. Ale nie bez konsekwencji* – podsumowuje dr Piotrowska. – *Z dostępem do wody organizm potrafi funkcjonować nawet 30–60 dni bez pokarmu, stopniowo spowalniając wszystkie procesy życiowe. Jednak każdy dzień głodu to straty, których często nie da się już odwrócić.*

Po przekroczeniu pewnej granicy wyniszczenia organizmu nie ma ratunku. Nie da się zregenerować narządów. Dlatego w Gazie, nawet jeśli – hipotetycznie – armia Izraela zaczęłaby wpuszczać adekwatne ilości pożywienia, umrze jeszcze wielu ludzi. Skrajnie niedożywieni dorośli mieliby jeszcze szansę przeżyć – pod fachową opieką w szpitalu; tyle że tych w Gazie prawie już nie ma. To, co możliwe u dorosłych, nie jest szansą dla dzieci. Niedożywione od miesięcy nie mogą jeść wyłącznie pieczywa, makaronu, ryżu. Potrzebują specjalistycznej żywności i hospitalizacji na dobrym poziomie.

– *U dzieci w okresie intensywnego rozwoju* – wyjaśnia dr Piotrowska – *niedobory składników odżywczych prowadzą do zahamowania wzrostu i masy ciała; zaburzeń rozwoju mózgu – trudności w nauce, zapamiętywaniu, opóźnienie mowy; osłabienia odporności*. Ziegler dodaje, że głód upośledza dziecko do końca życia.

„Po zobaczeniu tej pustyni roztrzaskanych kamieni i grobów – co jeszcze można zniszczyć, skoro tak wiele już zostało utracone?" – pyta reporter oglądający ruiny Gazy z samolotu. Można i to się dzieje. Głód w takiej skali to nie tylko zjawisko biologiczne i indywidualne. To doświadczenie zbiorowe, społeczna trauma. Wstyd, utrata godności, naruszenie tabu, zerwanie więzi społecznych – jak twierdzą badacze społeczności dotkniętych głodem – ciążą bardziej w pamięci ocalałych niż jednostkowe cierpienie fizyczne. Trauma może przejść z rodziców na dzieci.

Dla Palestyńczyków doświadczenie bycia głodzonymi – a dla Izraelczyków: głodzenia sąsiadów – będzie bombą, a raczej milionami bomb, niewybuchów, min z odroczonym czasem eksplozji.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, SCHERL/SZ-PHOTO/FORUM, HUGUES DE LATUDE/SYGMA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

Globalna kariera tej zielonej herbaty przerodziła się w manię. Japończycy z rosnącą niechęcią patrzą na obcych, którzy profanują ich narodowy skarb.

Burza w szklance matchy

PAULINA WILK

W mieście Uji na wyspie Honsiu, gdzie matchę wytwarza się od pokoleń i gdzie dojrzewa jedna czwarta herbat Japonii, jest wiele zaniepokojonych twarzy. Tradycyjni producenci zielonej herbaty (jej uprawą zajmuje się w okolicy zaledwie 60 rodzin) martwią się o przyszłość. A turyści docierający tu o poranku z oddalonego o ledwie pół godziny jazdy koleją Kioto denerwują się, czy uda im się złowić choć jedną puszkę zielonego proszku, na którego punkcie oszalał świat.

Sklepy z matchą otwierają się o dziesiątej, a dzienne zasoby sproszkowanej herbaty znikają z półek w kilka minut. Ekspedienci nie zdążają nawet wyłożyć asortymentu, bo przyjezdni wyrywają puszki już z niesionych z magazynu. Zakupy robią często w ciemno, bez znajomości dyskretnych różnic w oznaczeniach odmian. Nie brakuje też klientów, którzy wynoszą ze sklepów po kilkadziesiąt puszek, płacąc setki dolarów. A takich zasobów matchy nie spożyłby żaden Japończyk przez wiele miesięcy.

Stąd strapienie lokalnych producentów – obawiają się, że jeden z najszlachetniejszych elementów ich kultury jest właśnie rozmieniany na drobne, bez zrozumienia i szacunku dla jego ceremonialnej wartości. Herbaciarniom w Kioto czy Tokio, organizującym tradycyjne ceremonie parzenia, coraz trudniej kupić matchę wysokiej jakości. Producenci starają się uświadamiać klientów, że nie ma sensu kupować najdroższych odmian do powolnego parzenia, by zmiksować je z koktajlem waniliowym. Matchamania sprawia jednak, że przybysze są głusi na argumenty. Dlatego sklepy w Uji wprowadzają limity i coraz więcej jest miejsc objętych regułą: jeden człowiek – jedna puszka.

W 2023 r. wyprodukowano w kraju 4176 ton sproszkowanej matchy – to trzykrotnie więcej niż w 2010 r. W 2024 r. eksport herbat z Japonii (w tym matchy) wzrósł o 25 proc. i osiągnął wartość 250 mln dol. W podobnym tempie rośnie liczba zagranicznych turystów. W minionym roku było ich 34 mln, w tym ma paść kolejny rekordy – 40 mln. To przyjezdni – i media społecznościowe – wypromowali matchę na międzynarodowy przebój. W nowojorskich hurtowniach średni miesięczny zapas sprzed roku teraz wystarcza na tydzień, w popularnych kawiarniach na Manhattanie zużywany jest nawet kilogram proszku dziennie. Także polskie miasta mają swoje zielone mekki, w których młodzi wyznawcy matchamody są skłonni płacić krocie.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Ceny rosną, a dostępność ma swoje granice. Bo matchy więcej i szybciej produkować się właściwie nie da. Najbardziej pożądane liście herbaty z gatunku tencha rozwijają się na krzewach rosnących w cieniu. Dzięki temu zbliżają się do smaku umami, ich aromat jest bogatszy i nieco bardziej gorzki. Bez słońca krzewy te rosną jednak wolniej i pozostają nieduże. Nie ma więc mowy o uprawach masowych. Można je stopniowo rozwijać, jednak posadzone teraz rośliny zrodzą odpowiednie liście dopiero za kilkanaście lat.

No i szybciej znaczy gorzej – tak działają farmy w regionie Kagoshima na wyspie Kiusiu, gdzie rośnie niższej jakości tencha, a liście zbierane są maszynowo nawet trzy razy w roku. Poza samą skalą upraw są jeszcze inne ograniczenia. Po zebraniu liście muszą zostać przesuszone i zmiażdżone. Później trafiają do tradycyjnych kamiennych młynów, które ucierają je na najdelikatniejszy i równo zmielony proszek. Każdy z takich młynów może dać najwyżej 400 g matchy dziennie.

Chińską roślinę *Camellia sinensis* przywieziono pod Kioto 800 lat temu. Łagodny górski klimat i wisząca w powietrzu wilgotna mgła stworzyły doskonałe warunki do jej uprawy. To tam odkryto, że drzewa ocieniające uprawy dają liściom intensywniejszy smak. Niektórzy plantatorzy z okolicy dają sobie radę bez drzew, używają zadaszeń z bambusa i traw. Kilkadziesiąt dni przed zbiorami zabierają krzewom część nasłonecznienia – to zegarmistrzowska robota. Choć producenci nie stosują jednego systemu rozróżniania matchy, zwykle dzieli się ją na trzy rodzaje: ceremonialną (najdoskonalszą, z pierwszych liści sezonu, niemal zupełnie pozbawioną goryczy), matchę premium o uniwersalnym zastosowaniu oraz tę spożywczą, bardziej cierpką i dlatego lepiej nadającą się do napojów i wypieków.

O dobrą matchę na rynku coraz trudniej także ze względu na zmiany klimatyczne i demograficzne. W regionie Kioto ubiegły sezon znów był upalny, dlatego zbiory są mniejsze. A i zbierać nie ma komu. W starzejącym się społeczeństwie trudniej o wykwalifikowanych pracowników, którzy ręcznie zrywają delikatne liście, i o młodych rolników, którzy chcieliby uprawom poświęcić życie.

To właśnie ograniczona dostępność i ekskluzywność najlepszych rodzajów matchy rozbudza międzynarodowe zainteresowanie. Ale są i inne czynniki. Matcha słynie z dobroczynnego wpływu na nasze zdrowie. Zawiera dużo antyoksydantów, zasila metabolizm, zwiększa spalanie kalorii w organizmie, pomaga oczyszczać go z toksyn, na nasze umysły działa uspokajająco. Poprawia też nastrój i zdolność koncentracji, a nad kawą ma tę przewagę, że zwiększając wydajność energetyczną, nie wywołuje jej nagłych spadków, które domagają się natychmiastowej dawki espresso. I właśnie to prozdrowotne działanie matchy zapewniło jej renomę i popularność w kręgach wellness, której propagatorzy zaczęli rekomendować jaskrawozielony napój w internecie.

Charakterystyczny kolor ma niebagatelne znaczenie rynkowe. Doskonale prezentuje się na filmach i zdjęciach w mediach społecznościowych. Wyrazista barwa i neutralny smak świetnie łączą się z mlekiem, lodami, owocowymi syropami, barwnymi dodatkami i zmieniają się w niezliczone, efektowne odmiany koktajli. Matcha latte, matcha z tonikiem, matcha z kremem pistacjowym, ze śmietankową pianką, z syropem lawendowym... Ma także zastosowanie w deserach lodowych i wypiekach, od brownie i serników po zielone tiramisu i panna cottę. Jest też curry z matchą i doprawione nią makarony.

Matchę można przyrządzać na tysiące sposobów, a internetowi influencerzy, nie tylko kulinarni, prześcigają się w pomysłowości i atrakcyjnych prezentacjach przepisów. Trend #matchatok na TikToku zapewnia filmom na ten temat nawet dziesiątki milionów wyświetleń. A to przekłada się na zyski. Tylko w Stanach Zjednoczonych od początku wieku import matchy wzrósł dziesięciokrotnie, sprzedaż produktów na bazie matchy w 2024 r. była tam warta 10 mld dol. Duża część tej sprzedaży bazuje na matchy spożywczej, tej o niższej jakości.

Ten trend zatacza już koło i powraca do Japonii, gdzie młodzi wolą fikuśne koktajle niż trzygodzinne parzenie wytrawnego napoju. A stowarzyszenie producentów matchy woła o opamiętanie. Niepohamowana żądza herbaty sprawia, że jej szlachetne rodzaje lądują w plastikowych kubkach z rurką zamiast w ceramicznych czajnikach, a im wyższe są ceny zielonego proszku, tym bardziej zagrożona jest jej wartość kulturowa. Wygląda jednak na to, że wkrótce gorączka zacznie spadać. Bo modę i potrzeby rynku coraz częściej zaspokajają tańsze odmiany, a to zapowiada koniec boomu. Eksperci ryku spożywczego dają matchy jeszcze dwa lata wysokich cen i popularności.

Co będzie z matchamanią? Wiele zależy od dalszego rozwoju turystyki w Japonii, a tu trendy pozostają wznoszące. Koniec pandemii był początkiem wybuchu – dziś wyspy odwiedza 3 mln turystów miesięcznie, czyli ponad 10 proc. więcej niż przed lockdownem. W 2024 r. turyści wydali w Japonii 53 mld dol., to o 16 proc. więcej niż przed pandemią. Według Światowej Rady Podróży i Turystyki ta gałąź gospodarki Japonii daje blisko 300 mld przychodu rocznie i tworzy 6 mln miejsc pracy. Japoński rząd chce tę szansę wykorzystać i wyznaczył na 2030 r. ambitny cel – liczba turystów ma wzrosnąć do 60 mln rocznie.

Bramy Japonii dla podróżnych z zagranicy otworzył słaby jen. Jego wartość w stosunku do dolara spadła w ostatnich pięciu latach o 44 proc., po części za sprawą utrzymywanych przez rząd niskich stóp procentowych. Dlatego dziś Big Mac w japońskim McDonaldzie jest o połowę tańszy niż w USA. A turystyka, wliczana do zysków z eksportu, prześcignęła już opłacalność wysyłania w świat japońskich półprzewodników i stali. To właśnie branża turystyczna jest teraz najbardziej dochodowa, tuż za produkcją samochodów.

Wcześniej kojarzona z technologiami przyszłości i elektroniką Japonia zredefiniowała swą atrakcyjność – teraz czerpie z tradycji i odmienności. Wśród wielu powodów, dla których szczególnie młodzi podróżni pokochali japońskie wyspy, są atrakcyjne zakupy, umiarkowanie i zrównoważenie zapisane w stylu życia i duchowości, skomplikowana i intrygująca odmiennością kultura. Ale też doprowadzone do cywilizacyjnego maksimum życie wielkich miast, gdzie niemal wszystko co dziwne, niszowe, odmienne zyskuje wysoki status. W rezultacie do Tokio przyjeżdża o 42 proc. więcej turystów niż przed pandemią. Systemy transportu i bazy hotelowe radzą sobie z trudem, lotnisko Haneda pęka w szwach. Mieszkańcy Kioto narzekają na gigantyczny wzrost cen i czynszów, a także skok cen biletów – trudniej im wybrać się w podróż służbową do Tokio, ciężko o miejsce w pociągu, a hotele podrożały. ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶Frustracji jest więcej. Powściągliwi i żyjący w ściśle regulowanej kulturze Japończycy są wstrząśnięci zachowaniami turystów – gejsze w Kioto są szarpane za kimona i proszone, by zapozowały do zdjęć, a miejscowości, z których dobrze widać górę Fudżi, narzekają na zaśmiecenie i blokowanie ulic przez robiących zdjęcia przyjezdnych (jedno z miast tymczasowo zasłoniło górę ogrodzeniem, by pozbyć się natrętnych wizyt). Na Fudżi już obowiązują limity – może tam wejść dziennie 4 tys. osób, a każda musi kupić bilet. Najpilniejszym zadaniem dla rządzących będzie opanowanie niezadowolenia z natłoku przyjezdnych. Bo ono właśnie okazało się doskonałym paliwem dla skrajnej prawicy.

Japoński Donald Trump. Sohei Kamiya (były sklepikarz i żołnierz rezerwy) i jego skrajnie prawicowa partia Sanseito wywołali trzęsienie ziemi na krajowej scenie politycznej.

„Po pierwsze, Japonia" – tak brzmiał wyborczy slogan partii Sanseito, wprost inspirowany retoryką Donalda Trumpa. W lipcowych wyborach do wyższej izby parlamentu Japonii marginalna dotąd partia zwiększyła liczbę mandatów z jednego (sprawował go barwny lider Sohei Kamiya, były sklepikarz i żołnierz rezerwy) aż do 15. Na ustabilizowanej od lat japońskiej scenie politycznej to trzęsienie ziemi. Jaki ma związek z matchą i turystyką?

Po pierwsze, cenowy. Japońska gospodarka boryka się z dotkliwą inflacją i ze wzrostem cen. W przeciwieństwie do turystyki w innych sektorach rozwój idzie mozolnie, a pensje nie rosną. Tylko w 2024 r. po słabych zbiorach – a także wskutek polityki rządu – ceny ryżu, podstawy codziennego jadłospisu, wzrosły dwukrotnie. Po drugie, Japończycy silnie odczuwają obecność obcych, nie tylko turystów, także nowych imigrantów. Chodzi o prawie 3,8 mln ludzi, w ciągu roku ich liczba wzrosła o 11 proc., to rekord. I choć starzejąca się Japonia musi sprowadzać pracowników spoza kraju, to ich obecność budzi kontrowersje. Panuje przekonanie, że przybysze nie szanują kultury, którą kraj się szczyci. Tak jak nie umieją porządnie zaparzyć matchy.

Kamiya szybko zbił kapitał na podgrzewaniu tych obaw i emocji. W kampanijnych przemówieniach przestrzegał przed cichą inwazją imigrantów. Obiecywał żelazne punkty programu skrajnej prawicy: obniżenie podatków, zwiększenie wydatków socjalnych. A że w internecie umiał być barwny i wzorować się na Trumpie, odniósł znaczny sukces. Rządząca krajem od 1955 r. (z krótkimi przerwami) liberalna partia LDP trzyma się nieźle, ale przechodzi poważny kryzys i sędziwi liderzy muszą pomyśleć o zmianach, nowej ofercie i innym stylu polityki. Bo Kamiya spodobał się głównie dzięki krytyce establishmentu. Przekonywał, że Japonią rządzi „głębokie państwo" – niewybierane, od lat zakorzenione elity biurokratyczne i wojskowe.

Na razie premier Shigeru Ishiba wypełnił kluczową misję – zakończył negocjacje celne z Trumpem i zapewnił, że do dymisji się nie poda. Taryfę na eksport japońskich towarów do USA udało się ostatecznie zbić do 15 proc., co jest nie najgorszą informacją dla Nissana, Toyoty czy Hondy, bo producentom aut groziła stawka 25 proc. Cieszą się też producenci matchy, choć nie brak głosów, że jako towar niemożliwy do uprawy w USA sproszkowana herbata powinna być z ceł zwolniona.

Dalszy los matchy to już w znacznej mierze sprawa popkultury. A w niej cena może nie być przeszkodą. Tak jak w bliźniaczym fenomenie czekolady dubajskiej, produkowanej z dodatkiem kremu pistacjowego i chrupiącego ciasta filo. Początkowo wytwarzana wyłącznie przez jedną cukiernię w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, dostępna w limitowanej liczbie każdego dnia, dziś ma rozmaite odmiany i wcielenia nawet w polskich dyskontach. Jej popularność wzięła się z TikToka – pomógł zielony kolor i wyraźny odgłos chrupnięcia przy łamaniu tabliczki. To produkt skrojony pod wymogi mediów społecznościowych.

Mediatyzacja rynku spożywczego potrafi oderwać wartość i popularność od jakichkolwiek rzeczywistych aspektów i składników produktu. Ale też internet szybko się nudzi. Co będzie następne? Może wywodzące się z Japonii trójkątne kanapki z owocami i bitą śmietaną? Znane jako furutsu sando są w Japonii dostępne w narożnych sklepach spożywczych, a wyglądają ślicznie. Stały się już przebojem lata na Wyspach Brytyjskich. Być może więc Japończycy przeczekają matchamanię, spokojnie sącząc swe codzienne filiżanki senchy. A najcenniejsze puszki z zielonym proszkiem odłożą do ceremonialnego parzenia, rytuału złożonego z dokładnie powtarzanych gestów powiązanego z ćwiczeniem koncentracji zen i świadomej obecności w chwili.

Na najstarszej plantacji w Uji rosną wciąż dwa 600-letnie krzewy, cała reszta to ich potomkowie. Są pod opieką 82-letniego rolnika i spadkobiercy tradycji. Tu herbata dojrzewa w ciszy, na przekór zgiełkowi globalnej manii. Większość entuzjastów matcha latte nigdy przecież nie skosztuje niczego o smaku równie doskonałym i ponadczasowym. W medialnej pętli każdy kolejny boom coraz szybciej prowadzi do krainy tańszych imitacji, a cykl konsumpcji pali się krótkim ogniem. Dlatego stawiając na turystykę, Japonia ryzykuje tak wiele. Żadna moda nie jest ze stali.

PAULINA WILK

© DAMON COULTER/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

Królestwo Labubu

Za modą na dziwaczne laleczki Labubu stoi trzydziestoparoletni Chińczyk. Wang Ning zarabia miliardy na handlu zabawkami, zdziecinnieniu dorosłych i współczesnej kondycji społeczeństw. Chce być też nowym Disneyem i globalnym opowiadaczem bajek. Według chińskich wzorów.

© EDWARD BERTHELOT/GETTY IMAGES, BANGKOK POST

JĘDRZEJ WINIECKI

W podstawowej wersji Labubu mieszczą się w dłoni. Przypominają trochę upiorne misiokróliki z poważną wadą zgryzu i sardonicznym uśmiechem. Taki grymas u ludzi bywa rezultatem zatrucia jadem kiełbasianym. Może też wyrażać cynizm lub pogardę. Labubu te emocje jak najbardziej wzbudzają. Bo nieładne, bo stały się popularną wakacyjną pamiątką wypierającą ze straganów w kurortach dotychczasowy asortyment, choć tu akurat trudno dostrzec estetyczną różnicę. Bo czasem bardzo drogie, a ceny potrafią pójść w równowartość dziesiątków tysięcy złotych. Bo są przypinane do luksusowych torebek. Bo mówią o nich w maglu i noszą je na czerwonym dywanie. Bo otacza je rozszerzające się jak pożar zauroczenie graniczące z ogólnoświatowym szaleństwem, dla wielu zupełnie niezrozumiałym.

Pluszowa maskotka ma ogromne i szybko rosnące grono miłośników. Niektórzy potrafią latać za granicę lub godzinami wystawać w słocie i spiekocie, by kupić nowy czy rzadki model. I chętnych musi być sporo, skoro pod sklepami firmy Pop Mart, producenta pluszaka, od Pekinu przez Mediolan po Los Angeles jeszcze przed świtem lub od wieczora poprzedniego dnia ustawiają się długie kolejki niczym w PRL. Reporterzy rozmawiający ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ z rozemocjonowanymi desperatami wyposażonymi w prowiant i składane krzesełka, słyszą wszędzie te same historie o wielkiej radości wynikającej z kupowania towaru, który właśnie rzucono na półki.

Uwodzi ich Wang Ning, jeden z najmłodszych chińskich miliarderów. Jego kariera self-made mana potoczyła się w sposób dość nieoczywisty. Urodził się w 1987 r. w rodzinie drobnych przedsiębiorców w Henanie w środkowych Chinach. Region szczyci się 90 mln mieszkańców i wielką historią, stamtąd pochodzi kung-fu. Niemniej dla mieszkańców metropolii z wybrzeży pozostaje raczej synonimem nienowoczesnej, rolniczej prowincji niż miejscem, gdzie wychował się twórca globalnego hitu.

Marzył o rozkręceniu jakiegoś interesu. Podczas wakacji po ukończeniu liceum zorganizował szkółkę piłkarską. Dzieciaki rekrutował, stojąc z ulotkami przed szkolnymi drzwiami. W stolicy Henanu studiował reklamę i z kolegami z uczelni (jeden z nich został później dyrektorem wykonawczym w Pop Marcie) kręcili filmy, które sprzedawali jako pamiątki z okresu studiów. W sąsiedztwie kampusu i też z kumplami założył pierwszy sklep. Wykorzystali model, w którym stoiska wynajmuje się różnym sprzedawcom. Po studiach przez rok pracował u giganta technologicznego Sina Corporation. Wyjechał do Pekinu, sklep sprzedał i tak uzyskał niewielki kapitał, który zainwestował w rozkręcenie Pop Martu.

Na wycieczce w Hongkongu zwrócił uwagę na sklepy sieci LOG-ON handlującej mydłem i powidłem. W tym zabawkami, materiałami dekoracyjnymi, notesikami, kosmetykami, ubraniami, tzw. akcesoriami albo dodatkami, czy wreszcie sprzętami kuchennymi – z wielkim wyborem, na który składają się artykuły nie pierwszej potrzeby, za to lokujące się w aktualnym modowym trendzie. Ponadto wiele z nich daje się zbierać i układać w kolekcje. Są wyznacznikiem statusu zwłaszcza wśród najmłodszych lub młodych dorosłych, ale przeważnie nie bywają drogie.

Zauważył, że w Chinach kontynentalnych tego brakowało. Swój pierwszy butik uruchomił w 2010 r. w Zhongguancun. Pod tą trudną do przeczytania nazwą (coś jak czun-głan-cun) kryje się park technologiczny na północy Pekinu, który w latach 80. przeznaczono na kolebkę chińskiego przemysłu wysokich technologii, miejscową wersję amerykańskiej Doliny Krzemowej. Debiutując w tej roli, dzielnica była znana głównie z bazarów z tanią elektroniką i pirackimi programami komputerowymi. Swoje pierwsze adresy miały tam też potężne dziś firmy, w tym globalnie rozpoznawalne Lenovo. W czasie, gdy trafił tam Wang, Zhongguancun interesowało się zwłaszcza rozwojem handlu internetowego.

Sklep prosperował niespecjalnie. Wang dostudiował jeszcze zarządzanie na Uniwersytecie Pekińskim, najlepszej uczelni w kraju. Znów połączył siły z kolegami z sal wykładowych. Szeroka oferta skurczyła się jedynie do zabawek kolekcjonerskich i do wykorzystania tzw. blind boksów (ślepych pudełek), czyli metody, w której klienci nie wiedzą, który model zabawki im się trafi. Pop Mart handlował z dużym powodzeniem m.in. japońskimi figurkami Sonny Angel – małymi cherubinkami sprzedawanymi właśnie takim losowym trybem.

Tak Wang zorientował się, że istnieją klienci pragnący zbierać przedmioty tworzone przez projektantów. Pewną przeszkodą było to, że prawa do cherubinków miała firma japońska, a Wang – teraz już spory przedsiębiorca – z coraz większą niecierpliwością zwracał się do Japończyków o kolejne zgody na otwarcie nowych sklepów. Porównywał się do Phila Knighta, który sprowadzał do Stanów Zjednoczonych japońskie buty sportowe, też odkryte przypadkiem. Knight miał jednak kłopot z dostawcą i założył własną firmę, obecnie znaną jako Nike.

Pop Mart intensywnie rozglądał się po rynku. Wprost pytał Chińczyków, które figurki im się najbardziej podobają. W odpowiedziach przewijała się Molly, elegancka dziewczynka z kapryśną minką stworzona przez hongkońskiego projektanta Kenny'ego Wonga. Pop Mart kupił prawa do Molly i po jej sukcesie nastawił się na obsługę kolekcjonerów, oferując im kolejnych bohaterów, w tym melancholijnego Dimoo i mroczno-depresyjną Skullpandę. W 2015 r. spod ręki innego artysty z Hongkongu Kasinga Lunga wyszły Labubu. Projektant mieszkał w Europie, nawiązał m.in. do nordyckiej mitologii, celował w pozornie psotne, puszyste elfy albo leśne chochliki. Narysował je jako postaci z książek dla dzieci, a w ofercie Pop Martu pojawiły się w październiku 2019 r.

Wang dostał się na radary międzynarodowej prasy ekonomicznej u progu obecnej dekady. Pisała o młodym

Labubu przy torebce Louis Vuitton.
Po prawej: **sklep Pop Martu w Szanghaju.**

przedsiębiorcy, który pierwszy miliard zarobił na sprzedaży lalek. Pop Mart określano jako największą firmę zabawek w Chinach. Obecnie to ponad pół tysiąca sklepów i 2,5 tys. automatów rozstawionych w centrach handlowych. Własnymi kanałami sprzedaży i przez pośredników Pop Mart dociera do klientów z około stu krajów. Zysk w zeszłym roku: 1,8 mld dol. Wartość: na razie ponad 40 mld dol. – i pomyślne perspektywy dalszego wzrostu. Skoro ktoś nieźle zarabia na sprzedaży mało przydatnych przedmiotów rozprowadzanych jak koty w worku, to może chodzi o głębszą zmianę cywilizacyjną niż tylko usprawnienie handlu detalicznego?

Same durnostojki nie są wymysłem naszych czasów. Zachód zaczął ćwiczyć to na dużą skalę jakieś 200 lat temu, gdy rewolucja przemysłowa dała nadwyżki finansowe, a fabryki zyskały moce pozwalające wytwarzać na dużą skalę drobne produkty pozbawione praktycznej funkcji i imitujące dzieła sztuki. Teraz ta produkcja wypełnia sklepy ze starociami. Wtedy miętę pierwszych klientów odkrył przemysł porcelanowy i ceramiczny, świetnie szły kompozycje z kwiatów i piór albo rozmaite obrazeczki. Prawie każde gospodarstwo domowe było stać na coś, co dało się przyczepić do ściany, postawić na półeczce czy kominku, by udekorować wnętrze i skomponować autorski odpowiednik gabinetu osobliwości.

W zasadzie Pop Mart niczego nowego nie wymyślił, wykorzystał jedynie istniejące zjawiska. Jak *guzi*, prężny chiński rynek zabawek i figurek kolekcjonerskich. Krążące w jego obiegu miliardowe kwoty przyprawiają o zawrót głowy. W 2029 r. to już może być równowartość 171 mld zł. W Europie i Stanach Zjednoczonych kolekcjonowanie zabawek

eprasa.pl 3e11af7a1e

jest mniej intensywne, w dalszym ciągu uchodzi głównie za hobby, a nie – jak w Chinach albo Japonii – część kultury masowej i codzienności. Ale coraz częściej także na Zachodzie zakup figurki wiąże się z podkreśleniem własnej indywidualności i jednocześnie przystąpieniem do nowego plemienia. Wszędzie na świecie towary *guzi* traktowane są jak plemienne totemy albo osobiste amulety właścicieli.

No i często w opowiastkach osób noszących Labubu w widocznych miejscach maskotka powraca jako obiekt dający wsparcie, emocjonalny towarzysz bądź pretekst do rozmowy z nieznajomymi. Podobną rolę odgrywają młodziutkie psy wyprowadzane na spacer albo małe dzieci – można się nimi zachwycić i tak zainicjować dialog z przechodniami. Zresztą to też nie jest przypadek, że Labubu, Myszka Miki i inne bajkowe postaci miewają wielkie głowy z dużymi oczami upodobniającymi je do szczeniąt, kociąt czy cieląt. Ludzie to lubią, bo mają atawistyczną, ewolucyjnie uwarunkowaną skłonność do otaczania troskliwą opieką stworzeń o budowie ciała niemowląt.

Guzi napędzane jest też starannie zaprojektowanymi metodami sprzedaży, zwłaszcza wzbudzaniem mikrotrendów, w tym pragnienia nowości i uchwycenia jej ulotności. Dziś nie kupisz, to jutro już nie będzie, trzeba będzie odkupić od innych i za znacznie większe pieniądze. A dodatkowo „ślepe" pudełka uruchamiają hazardowe emocje. W relacjach klientów wyciąganie kota z worka to moment małej przyjemności, drobnej ekscytacji i zarazem plemiennego misterium przesyconego nadzieją na zdobycie czegoś bardzo rzadkiego. Sieć zalana jest relacjami z otwierania pudełek. Tylko na TikToku jest co najmniej 1,4 mln filmów związanych z rozpakowywaniem Labubu.

Zbadano, jak sprzedaż Pop Martu miała się w pandemii. Było oczywiście fantastycznie. W ten sposób klienci starali się przełamać monotonię lockdownów, w Chinach bardzo dotkliwych. Zakupy zabawek kolekcjonerskich pomagały im pokonać samotność, nudę, lęk czy depresję oraz nawiązać kontakt z innymi. Opublikowanie filmu z otwarcia pudełka poprawiało samopoczucie, autorki i autorzy liczyli na wzmocnienie wizerunku. Z drugiej strony losowość wzmacniała pragnienie kontynuowania impulsywnych zakupów. I dla zbieractwa, i z tęsknoty za zdobyciem rzadkiego trofeum, które mogłoby się stać przedmiotem podziwu wspólnoty skupionej wokół zabawki. Ustalono także, że więcej kupowały kobiety i przedstawiciele pokoleń najbardziej przyzwyczajonych do zakupów online oraz silnie osadzonych w popkulturze.

Pop Mart zanotował pierwsze duże sukcesy dekadę temu. W tym samym okresie psychologia społeczna z ciekawością przyglądała się „kidultom", dorosłym zachowującym się jak dzieci. Ich figura jest aktywnie promowana przez rynek, akceptowana przez media i politykę. Niepokojąco brzmią analizy wpływu infantylnych postaw na życie społeczne i polityczne. Ich reprezentanci z trudem przyjmują odpowiedzialność, nie zaciągają trwałych zobowiązań, mają mniej szans na osiągnięcie stabilizacji, uciekają w „estetykę młodości", nostalgię i indywidualizm, a jednocześnie dostosowują się do masowych gustów, chodząc na pasku reklam i propagandy, stając się antytezą obywateli. Są łatwą ofiarą dla populistów i raczej nie bywają głosem w dojrzałym dyskursie.

Tymi niepokojami zupełnie nie przejmuje się część gospodarki nastawiona na obsługę zdziecinniałych dorosłych – przecież to oni stoją w nocnych kolejkach i kupują dla siebie. Stąd biorą się zabawki dla osób, które już dawno przestały być dziećmi, przynajmniej metrykalnie. Są zestawy Lego, ale są też klocki firmy Jekca z Hongkongu, która otwarcie deklaruje, że produkuje wyłącznie dla kidultów. Z jej zestawów można zbudować dużego kota lub psa, nowego przyjaciela budujących.

Zaskakujące, że pierwszym prawdziwie udanym przejawem chińskiej soft power, powabu państwa i atrakcyjności jego kultury, także użytkowej, stało się coś pluszowego. Jeszcze niedawno wyrażenie „Made in China" było przecież synonimem kiczowatej tandety. Owszem, zdarzały się przebłyski, ale dopiero teraz Chińczykom udaje się wejść do globalnego obiegu kulturalnego z popularnymi narracjami.

Do Labubu dołączyła właśnie najbardziej kasowa animacja wszech czasów, film „Ne Zha 2. W krainie potworów" (w polskich kinach od 29 sierpnia). To przesycona patosem i eksplodująca efektami wizualnymi opowieść o mitycznym chłopcu-bogu walczącym z demonami i smokami, mającym pierwowzór w klasycznym dziele literatury. Ne Zha (czyt. no-dża) też ma zęby na wierzchu, co ma mu dodać łobuzerskości i niepokornego rysu. Dla Komunistycznej Partii Chin nie jest jednak żadnym buntownikiem, stał się powodem do dumy. „Dziennik Ludowy", tuba chińskiej propagandy, objaśnia czytelnikom, że za sprawą sukcesu filmu Chiny wzmocnią swoją pozycję na arenie międzynarodowej.

Miliarder Wang Ning zapowiada, że też będzie szedł w filmowym kierunku, a nawet jeszcze dalej, by stać się chińskim odpowiednikiem Disneya. Amerykańskie studio swoją potęgę zbudowało na historyjkach o rozpoznawalnych postaciach. Pop Mart ma ambicję pójścia w odwrotną stronę, chce się wkraść do globalnej dziecięcej wyobraźni, w której rozmarzoną Myszkę Miki i Goofy'ego zastąpią groteskowe i złośliwe potworki. Na razie Pop Mart ma park rozrywki Pop Land, choć w porównaniu z Disneylandami maleńki: tylko 4 ha. Pytanie, czy Labubu z przyległościami stanie się wehikułem jedynie chińskiej nowoczesnej estetyki, czy też zostanie apostołem innych chińskich wartości. W tym pomysłu na totalitarnie zorganizowane, posłuszne społeczeństwo, w którym trzeba słuchać przywódców i samemu absolutnie nie wolno złośliwie się uśmiechać i pokazywać łobuzerskich zębów.

JĘDRZEJ WINIECKI

© EDWARD BERTHELOT/GETTY IMAGES, VCG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

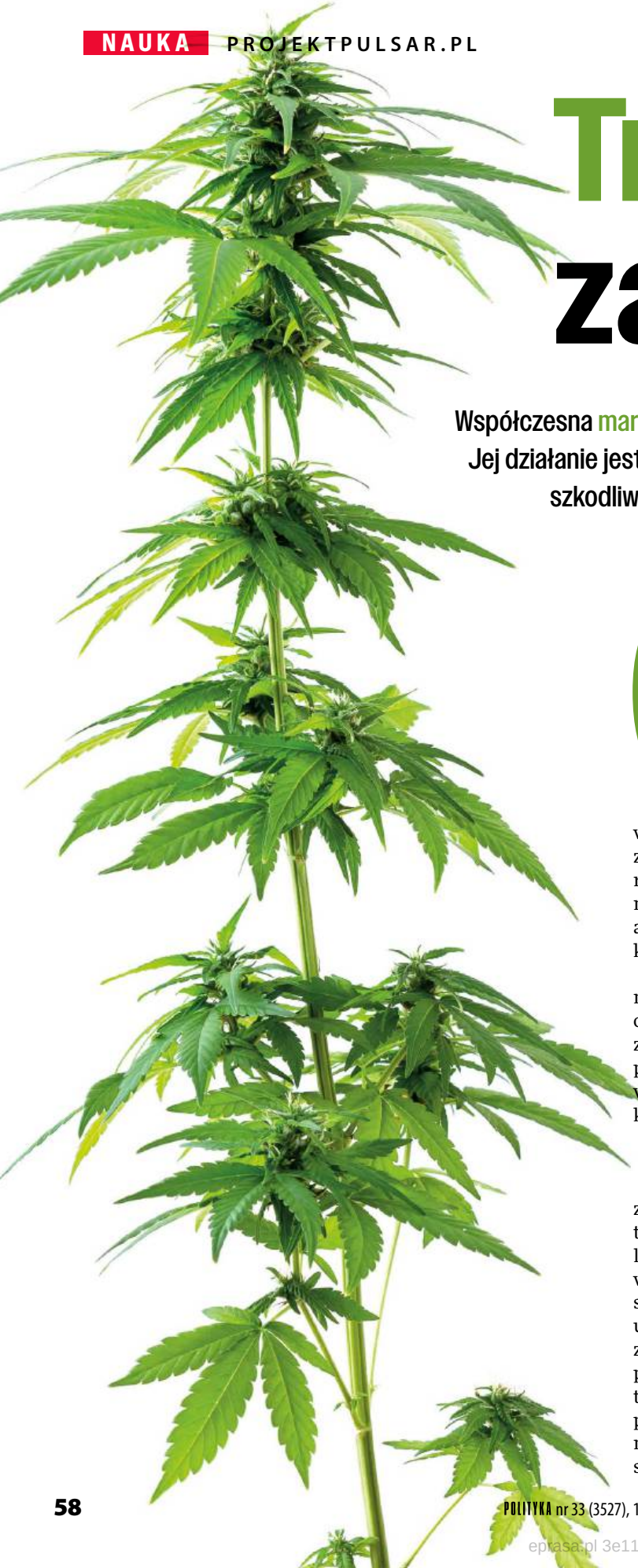

Trawka się zazieleniła

Współczesna marihuana nie jest tą samą używką co 10–20 lat temu. Jej działanie jest znacznie silniejsze, a wpływ na zdrowie – bardziej szkodliwy. Wraz ze wzrostem konsumpcji produktów z THC wzrosła również naukowa wiedza na ich temat.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Gdyby ten tekst powstawał przed dekadą, zacząłby się od omówienia dwóch wykresów. Pierwszy pochodzi z 2007 r. z czasopisma „The Lancet", w którym eksperci analizowali używki, oceniając, z jakim ryzykiem uzależnienia się wiążą. Konopie zajmowały w tych klasyfikacjach pozycje relatywnie niskie. Drugi wykres zamieszczono w publikacji „Drugs and Society" z 2006 r. Zestawia różne substancje, pokazując indeks bezpieczeństwa, czyli stosunek dawki aktywnej do śmiertelnej. W czołówce są tu heroina, alkohol, kokaina i morfina, a marihuana znajduje się na szarym końcu – razem z LSD i psylocybiną.

Wniosek byłby więc następujący: lepiej wypić szklankę wody, niż zapalić jointa, ale konopie to mniejsze zło, którego można od czasu do czasu popróbować. Jednak w tej kwestii wiele się zmieniło. Po pierwsze, dzisiejsza marihuana to zupełnie inny produkt. Po drugie, zmienił się profil jej użytkowania. Po trzecie, współczesne badania są lepiej i skrupulatniej prowadzone niż te, które robiono w przeszłości.

Mniejsze zło

Według Światowej Organizacji Zdrowia alkohol odpowiada za 2,6 mln zgonów rocznie. Nie może się mierzyć z wyrobami tytoniowymi, które w tym samym czasie uśmiercają ponad 7 mln ludzi. Chociaż w odniesieniu do marihuany brakuje równie wiarygodnych danych (dlaczego – o tym za chwilę), należy się spodziewać, że jest znacznie mniej szkodliwa niż te dwie legalne używki. Co nie znaczy, że konopie wywołują efekty jedynie pozytywne. Wystarczy spojrzeć na ulotkę dowolnego leku, by się przekonać, że nie ma substancji, która ma tylko korzystne lub tylko szkodliwe działanie. Zapominają o tym nie tylko ci, którzy przez lata w absurdalny sposób oczerniali marihuanę, lecz również ci, którzy ją idealizują i traktują jak panaceum pozbawione skutków ubocznych.

© SHUTTERSTOCK, TAYLER DERDEN/SHUTTERSTOCK, THICHAA/SHUTTERSTOCK, BUKHTA YURII/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Ten obustronny brak obiektywizmu utrudniał rzetelne badanie wpływu rekreacyjnej marihuany na zdrowie. Na proste projekty naukowe nakładano paraliżujące obostrzenia, a nawet gdy startowały, trudno było zgromadzić grupę regularnych i długoterminowych użytkowników, bo bali się ujawnienia i kryminalizacji. W rezultacie analiz było niewiele, a te, które powstały, bazowały zwykle na niewielkich próbach badawczych ocenianych krótkoterminowo i z użyciem mało wiarygodnych narzędzi. Na przykład – zamiast mierzyć u badanych konkretne parametry kliniczne, dawano im do wypełnienia ankiety, w których pytano, jak oceniają swoje zdrowie.

Luki w wiedzy dotyczącej wpływu marihuany na zdrowie są największe w odniesieniu do użytkowników rekreacyjnych także dlatego, że korzystają oni z surowców o nieznanych, nienormowanych stężeniach lub porcjują i dawkują produkty na oko.

Zawartość THC w konopiach nieustannie rośnie. W ciastkach czy żelkach z marihuaną może osiągać nawet 60 proc.

Większy haj

Marihuana zawiera ponad sto różnych kanabinoidów, ale jej najważniejszą substancją czynną jest tetrahydrokannabinol (THC). Występuje w postaci wielu izomerów, ale jeśli chodzi o efekt psychoaktywny, największe znaczenie ma delta-9-THC. Wiąże się z receptorami w mózgu i wpływa na działanie ośrodkowego układu nerwowego, wywołując stan odurzenia. A ten jest tym intensywniejszy, im wyższa zawartość THC w surowcu. Wbrew obiegowej opinii efekt mocniejszy to nie to samo co efekt przyjemniejszy. Użytkownicy okazjonalni, którzy chcą tylko raz na jakiś czas zapalić jointa lub zwapować trochę suszu, nie mają lekko na współczesnym rynku (niemedycznej) marihuany.

Od jakiegoś czasu ilość THC w konopiach nieustannie rośnie. Z „World Drug Report", wydawanego co roku przez ONZ, wynika, że 30 lat temu zawartość tej substancji w marihuanie wynosiła – w zależności od rynku i odmiany – od ok. 2 do 6 proc. W kolejnej dekadzie było to 11–16 proc. A obecnie europejska średnia dla suszu z nielegalnych źródeł (próbki policyjne) to ok. 17 proc. Autorzy raportu alarmują więc, że w ciągu zaledwie kilkunastu lat doszło do ok. 85-procentowego wzrostu „mocy" konopi stosowanych w celach rozrywkowych. A mowa tu tylko o suszu. W innych produktach, np. koncentratach (tzw. dabach czy shatterach), stężenie THC przekracza 30 proc. Nie mówiąc o niektórych żelkach czy ciastkach, w których jego zawartość może sięgać nawet 60 proc.

Z czego wynikają te zmiany? Po pierwsze, z konkurencji rynkowej – sprzedawcy mocniejszego produktu są częściej wybierani przez użytkowników. Po drugie, z genetycznej selekcji odmian konopi – ponieważ zapotrzebowanie na wysokie stężenia jest coraz większe, w dzisiejszych uprawach nie ma już roślin o niskiej zawartości THC. Po trzecie, z samego sposobu kultywacji, gdy starannie reguluje się ilość światła i dwutlenku węgla czy skład gleby.

W ostatnich latach wzrosła także liczba przyjmowanych dawek. Z pracy opublikowanej w 2024 r. na łamach „Addiction" wynika, że w latach 90. konsumentów alkoholu było 10 razy więcej niż użytkowników marihuany (badanych pytano, czy w ciągu ostatniego miesiąca choć raz przyjęli którąś z tych substancji). Ok. 2020 r. doszło do wyrównania, a w 2022 r. – do odwrócenia proporcji. I nie wynikało to ze spadku spożycia etanolu. Od ponad 20 lat spożycie obu substancji sukcesywnie rośnie, ale konsumentów marihuany przybywa znacznie szybciej.

Silniejszy efekt

Kiedy „obóz oczerniania" bił na alarm, że marihuana jest wstępem do twardych narkotyków, „stronnictwo idealizowania" do znudzenia powtarzało, że konopie nie mają działania uzależniającego. I rzeczywiście, wiele badań sprzed kilkunastu lat, bazujących na surowcach o niskim stężeniu THC i na niezbyt rzetelnej metodologii, wykazywało, że palenie jointów nie prowadzi do zależności fizycznej. Ten pogląd pokutuje do dziś, np. w polskiej Wikipedii.

Dawniej, aby rozpoznać u kogoś uzależnienie od marihuany, trzeba było potwierdzić konkretne objawy. Teraz jest podobnie, tyle że w publikacjach poświęconych kryteriom diagnostycznym (DSM-5) nie ma już mowy o „uzależnieniu" ani „zależności" od marihuany, lecz o „zaburzeniu używania konopi" (*Cannabis Use Disorder*, CUD). Aby rozpoznać u kogoś ten stan, osoba ta musi spełniać przynajmniej 2 z 11 warunków. Należą do nich np. stosowanie używki w ilościach większych, niż się zamierzało, lub przez dłuższy czas, kontynuacja używania mimo spowodowanych konopiami problemów społecznych albo interpersonalnych, rozwój tolerancji (potrzeba stosowania większych ilości, by uzyskać pożądany efekt lub osłabienie działania przy używaniu tej samej ilości) ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ czy objawy odstawienia: drażliwość, niepokój, zaburzenia snu, depresyjny nastrój, objawy fizyczne.

Z metaanalizy opublikowanej w 2020 r. w „Addictive Behaviors" wynika, że CUD rozwija się u 18–26 proc. osób używających marihuany. A odsetek konsumentów, u których dochodzi do problematycznego wzorca korzystania z tej używki, cały czas wzrasta. W maju w „Substance Use & Misuse" ukazała się podobna praca. Przeanalizowano w niej, jak na przestrzeni ostatnich 16 lat zmieniały się diagnozy oraz terapia uzależnienia od marihuany. Zwrócono uwagę, że coraz więcej osób spełnia kryteria CUD (35-procentowy wzrost rozpoznań od 2011 do 2019 r.), ale też coraz mniej potrzebujących pomocy w zerwaniu z nałogiem rzeczywiście ją otrzymuje. Odsetek osób, które po diagnozie poddały się terapii, spadł z 19,3 proc. w 2003 r. do 13,3 proc. w 2019 r. Autorzy uważają, że najważniejszą przyczyną jest tu coraz częstszy brak gotowości do rezygnacji z marihuany.

Dlaczego coś, co kiedyś słynęło z wysokiego profilu bezpieczeństwa, wywołuje „zaburzenie używania" u coraz większej grupy użytkowników? Z niedawno opublikowanych prac wynika, że przyczyny są dwie: wysoka zawartość THC w produktach i duża częstotliwość ich stosowania. Pierwszy czynnik działa jak inicjator, a drugi podtrzymuje błędne koło.

Inny wzorzec

Czy narastający problem jest skutkiem legalizacji marihuany? Nie ma pewności, bo badania często dają rozbieżne wyniki. Z „World Drug Report" wynika, że w USA wzrost konsumpcji poprzedził wejście w życie aktów prawnych, które dopuściły użycie w poszczególnych stanach. Jednak autorzy pracy z „The Lancet Regional Health" oceniają, że legalizacja powoduje nie tylko wzrost użycia, lecz także coraz częstsze problemy zdrowotne. Powołują się tu przede wszystkim na przykład Niemiec, gdzie od 2024 r. można posiadać, uprawiać i palić susz.

Autorzy badań zamieszczonych w czerwcu w „American Journal of Preventive Medicine" zwracają uwagę, że zarówno legalizacja, jak i dostępność produktu na rynku wpływają na obniżenie subiektywnie postrzeganego ryzyka. Używka może mieć ten sam skład i działanie, ale kiedy jej stosowanie jest dopuszczone przez prawo, traktowana jest jako bezpieczniejsza. Czy jednak przekłada się to na bardziej szkodliwe wzorce używania?

Na to pytanie próbował odpowiedzieć szwajcarski projekt „Weed Care". Wzięło w nim udział 370 osób regularnie nabywających marihuanę na czarnym rynku. Zostały losowo podzielone na dwie grupy. Pierwszej wręczono pilotażowe zezwolenia na kupowanie dowolnych ilości suszu z konopi w jednej z dziewięciu aptek. Druga mogła kontynuować nielegalne zakupy, ale miała raportować konsumpcję. Obie przechodziły regularne oceny zdrowia psychicznego.

Po dwóch latach zauważono, że otwarty legalny dostęp do marihuany nie pogorszył „wzorca jej użytkowania". Okazało się nawet, że u osób, które stosowały naraz wiele różnych substancji psychoaktywnych (także nielegalnych), dostęp do marihuany z apteki sprawił, że rzadziej korzystały z innych używek w sposób zagrażający ich zdrowiu, życiu czy choćby samopoczuciu.

Straszenie szkodliwością marihuany jest silnie ugruntowaną taktyką wychowawczą w Polsce. Skupia się jednak zwykle na jednym aspekcie zdrowotnym. Tymczasem badania z ostatnich lat, a nawet miesięcy, pokazują, że regularni użytkownicy konopi powinni się martwić nie tylko o swój mózg. Badacze z University of California donoszą, że THC może znacząco pogarszać pracę układu krążenia, i to zarówno przyjmowane wziewnie (palenie, wapowanie), jak i doustnie (w formie jadalnych produktów). Przy regularnym używaniu produktów z konopi (co najmniej trzy razy w tygodniu) występuje spadek sprawności krążenia – nawet o 50 proc. w porównaniu z osobami, które nie mają doświadczenia z THC. U palących konopie zanotowano też objawy uszkodzenia naczyń krwionośnych – podobne jak u palaczy tytoniu o takim samym stażu.

Naukowcy z George Washington University przeanalizowali działanie marihuany na układ pokarmowy. Wykazali, że osoby, które regularnie ją stosują, są coraz bardziej narażone na tzw. zespół hiperemezy kannabinoidowej (CHS) – niepowściągliwe wymioty wywołane kannabinoidami. To stan objawiający się silnymi nudnościami, uporczywymi torsjami i dotkliwym bólem brzucha. Niegdyś występował bardzo rzadko, dziś coraz częściej staje się przyczyną hospitalizacji.

A przecież susz z konopi znany jest raczej z właściwości przeciwwymiotnych. To działanie kannabinoidów jest tak dobrze udokumentowane, że przepisuje się je niektórym pacjentom w czasie chemioterapii, łagodzą bowiem ich dolegliwości. Dlaczego więc u niektórych osób – i to coraz częściej – dochodzi do tzw. reakcji paradoksalnej? Przyczyną znowu może być zbyt wysokie stężenie THC i za duża sumaryczna dawka tej substancji. Autorzy badań podkreślają, że jedynym znanym sposobem zatrzymania objawów hiperemezy jest całkowite zaprzestanie użytkowania konopi. Pacjenci, którzy o tym nie wiedzą, mogą na swoje symptomy reagować odwrotnie, niż trzeba, i wpaść w błędne koło.

Poprawiona narracja

W ostatnich latach zmienił się nie tylko skład samej marihuany, lecz także profil jej użytkowników. Coraz więcej palą, wapują, spożywają osoby z najmłodszych (poniżej 20 lat) i najstarszych (powyżej 50–60 lat) grup wiekowych. A właśnie te dwie grupy są najbardziej wrażliwe na negatywne konsekwencje wysokich stężeń THC.

Pojawiają się doniesienia, że młody wiek znacząco zwiększa ryzyko CUD oraz problemów psychicznych, w tym stanów lękowych i psychozy. W tym roku odnotowano, że podobne zagrożenia zdrowotne występują u konsumentów powyżej 60. roku życia. A to właśnie oni mają skłonność do bagatelizowania marihuany jako potencjalnie szkodliwej używki. Przede wszystkim dlatego, że produkty, z którymi stykali się kilka dekad temu, miały znacznie słabsze działanie.

Autorzy niemal wszystkich przytoczonych tu badań apelują o te same rozwiązania problemów związanych z „nową" marihuaną. Po pierwsze, trzeba zacząć traktować konopie z naukową uczciwością. Gromadzić i weryfikować dane dotyczące zarówno korzyści, jak i zagrożeń związanych z jej stosowaniem. Po drugie, potrzebna jest zmiana narracji – informowanie o działaniu konkretnych dawek THC. Po trzecie, konieczne jest ograniczenie szkód, zwłaszcza we wrażliwych grupach wiekowych. Jeśli ktoś chce spróbować, niech to zrobi, ale wyposażony w odpowiednią wiedzę, by umieć oszacować stężenie, bezpieczną dawkę i częstotliwość. W przeciwnym razie sporo ryzykuje.

MARTA ALICJA TRZECIAK

eprasa.pl 3e11af7a1e

© SŁAWOSZ UZNAŃSKI-WIŚNIEWSKI/ESA/AXIOM SPACE/NASA

Kasa w kosmos?

OLAF SZEWCZYK

Czy misja Ignis była wyrzucaniem gigantycznych pieniędzy? I czy Sławosz Uznański-Wiśniewski staje się pierogowym memem?

Gdyby Tycho Brahe żył w świecie dzisiejszych mediów, prawdopodobnie nie przedstawiano by go jako wybitnego astronoma i akuszera rewolucji naukowej. Byłby wspominany głównie jako hulaka, który stracił nos w pojedynku na miecze sprowokowanym sporem o to, który z antagonistów jest lepszym matematykiem, a później ciskał mosiężną protezą w irytujących go rozmówców. ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ Albo jako pan na zamku Uraniborg, wówczas największym w historii obserwatorium astronomicznym, gdzie podczas libacji gustujący w piwie udomowiony łoś zginął tragicznie, gdy spadał pijany ze schodów.

Owszem, komunikowanie rzeczywistego znaczenia misji Ignis (łac. ogień) powinno być przygotowane lepiej. I nie ma w tym winy naszego astronauty – czuwać nad tym powinien sztab ekspertów. Zamiast jednak załamywać ręce nad degustowaniem przez pana Sławosza pierogów na orbicie i w telewizji śniadaniowej oraz punktować inne wizerunkowe potknięcia, warto spojrzeć na pełny obraz. I pozbyć się złudzeń, że publicznej awantury można było uniknąć.

Sprzyjające PiS media atakowały misję Ignis jeszcze na długo przed startem rakiety. Jako że małżonką polskiego astronauty jest posłanka Koalicji Obywatelskiej Aleksandra Wiśniewska-Uznańska (którą poznał już po decyzji, że Polak poleci ponownie w kosmos), przedstawiano to przedsięwzięcie jako opłacony suto z kieszeni podatników zabieg piarowy obliczony na wsparcie Rafała Trzaskowskiego w kampanii prezydenckiej (lot rakiety Falcon 9 z kapsułą załogową Dragon planowo miał się odbyć jeszcze w maju). Do białości rozwścieczyło „dziennikarzy niezłomnych" zaprezentowanie przez dr. Uznańskiego-Wiśniewskiego lewitującego w mikrograwitacji złotego serduszka, które trafiło na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. O astronaucie zaczęto mówić per Słabosz.

Skwapliwie przemilczano, że o misji zadecydował jeszcze rząd PiS. Niestety, z tego właśnie powodu doszło do ataków – choć znacznie mniej licznych – także z drugiej strony, kwestionujących bilans tak wielkich wydatków.

Polsko-fińska firma ICEYE zawiaduje bodaj największą na świecie konstelacją 44 **satelitów SAR**. Przed rokiem pierwsza polska rakieta wspięła się na pułap ponad 100 km. Mamy spore sukcesy, ale brakuje im promocji.

Pierogi, czyli zbędny deser

Zacznijmy od pieniędzy, bo wielkość poniesionych kosztów to największy mit tej awantury. Padały oskarżenia, że za „wycieczkę na orbitę" zapłaciliśmy nawet do 1,6 mld zł. Skromniejsze obliczenia celowały w wydatek ok. 300 mln zł. Co z tego jest prawdą?

Owe 1,6 mld zł to w przeliczeniu 360 mln euro. Tyle wynosi suma inwestycji Polski w sektor kosmiczny w latach 2023–25. Koszt samej pierwszej polskiej misji technologiczno-naukowej na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) wyniósł 65 mln euro (dziś to 256,4 mln zł). Za przygotowania do podróży i badań naukowych, kosmiczną taksówkę w obie strony, 13 eksperymentów przeprowadzonych na ISS i działania edukacyjne. Pozostała kwota została przeznaczona na zwiększenie polskiego wkładu w opcjonalne programy Europejskiej Agencji Kosmicznej (ok. 200 mln euro), budowę polskiej sieci satelitów obserwacyjnych w ramach projektu CAMILA (52 mln euro), składki obowiązkowe Polski jako członka Europejskiej Agencji Kosmicznej (do 40 mln euro rocznie), a reszta – na inne działania wspierające rodzimy przemysł kosmiczny.

Wydatek na satelity obserwacyjne da się łatwo usprawiedliwić, zwłaszcza w czasach eskalacji wojny z Rosją – dziś hybrydowej, jutro być może z użyciem dronów i rakiet. Ktoś mógłby jednak dodać, że zwłaszcza w perspektywie bezpośredniego zderzenia z Rosją pozostałe pieniądze można by wydać lepiej, chociażby na zbrojenia. Frakcja prof. Joanny Senyszyn z kolei wolałaby zapewne przeznaczyć te środki na ochronę zdrowia. Na pierwszy rzut oka brzmi to sensownie. Czy stać nas dzisiaj na taką rozrzutność, gdy kołdra jest tak krótka, a wiele potrzeb znacznie pilniejszych?

To błędna perspektywa. Kosmos staje się właśnie biznesowym eldorado. Z obliczeń ESA wynika, że każde euro zainwestowane w inicjatywy kosmiczne zwraca się w gospodarce europejskiej czterokrotnie. Także najmniej udane finansowo inwestycje przynoszą solidny zysk, minimum 1,60 euro za każde euro wydane. Przyjrzyjmy się bliżej.

Polski astronauta przeprowadził na ISS 13 eksperymentów naukowych. W mediach złośliwcy ironizowali, że polegały na jedzeniu pierogów i grzebaniu w swoich odchodach. Można było zniwelować ten czarny piar, szerzej prezentując najciekawsze z badań przygotowanych przez polskich naukowców i przeprowadzonych przez Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w warunkach mikrograwitacji.

Eksperci z firmy Axiom Space z Houston, która była współorganizatorem misji, komentując na żywo lot powrotny Dragona na Ziemię, zwrócili szczególną uwagę na przeprowadzone przez Polaka pomiary poziomów promieniowania w kosmosie i sprawdzenie, jak ta radiacja wpływa na układy scalone. To wiedza kluczowa dla producentów urządzeń elektronicznych, którymi przecież będą naszpikowane wszelkie kosmiczne obiekty stworzone przez człowieka: orbitalne hotele i laboratoria, bazy księżycowe, łaziki i kombajny zbierające z powierzchni naszego satelity przywiany przez wiatr słoneczny izotop Hel-3 czy wydobywające regolit z uwięzioną w nim wodą.

Zamiast stawiać akcent na eksperyment z badaniem kału (zmian mikrobioty w układzie trawiennym podczas krótkiej misji kosmicznej), można było mocniej rozreklamować bardziej nośne medialnie badania. Na przykład – eksperyment pozwalający ocenić przeżywalność w kosmosie drożdży wzbogaconych białkiem największych twardzieli na naszej planecie – niesporczaków. Te małe żyjątka są w stanie przetrwać w niemal każdych warunkach, także w bardzo wysokich i bardzo niskich temperaturach. Kiedyś kolonię niesporczaków zostawiono w kosmicznej próżni na 10 dni. Po powrocie na Ziemię udało się przywrócić do życia

© ICEYE

eprasa.pl 3e11af7a1e

70 proc. z nich. Pomyślmy, jakie perspektywy stwarzają takie trudne do ubicia drożdże – można by produkować w kosmosie piwo (i nazwać je „Łoś", ku pamięci towarzysza libacji Tychona Brahe). A także chleb.

Skoro mowa o ekstremofilach, jak niesporczaki, przybliżmy eksperyment z również zdolnymi przetrwać w trudnych warunkach glonami wulkanicznymi. Czy w kosmosie mogłyby produkować tlen, absorbować dwutlenek węgla, trafić do spiżarki rakietowego szefa kuchni? Pomyślmy, co to może oznaczać dla systemów podtrzymywania życia w bazach kosmicznych.

A przecież fascynujących eksperymentów polski astronauta przeprowadził więcej. Czy można będzie sterować komputerami w kosmosie bez udziału rąk, kontrolując je tylko za sprawą aktywności mózgu odczytywanej dzięki spektroskopii w podczerwieni? Czy wykonana z zaawansowanego nanomateriału MXene, mająca zaledwie kilka nanometrów grubości opaska na nadgarstek z czujnikiem monitorującym tętno, sprawdzi się w kosmosie? Czy MXene, wystawiony na promieniowanie kosmiczne, nie traci swoich fizycznych właściwości? Jak przydatna może być sztuczna inteligencja w kosmosie, np. analizując dane bez konieczności przesyłania ich na Ziemię czy skanując w 3D powierzchnie księżyców i planet? Polski astronauta naprawdę nie spędził tych 14 dni, podczas których każda minuta kosztowała ok. 14 tys. zł, wyłącznie na wcinaniu pierogów.

Rozwój, czyli pierwsze danie

Oprócz bezpośrednich korzyści z eksperymentów należy do zysków doliczyć znaczące wsparcie dla polskiego przemysłu kosmicznego. Tak krytykowane jako rozrzutność zwiększenie przez Polskę składki w Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) przekłada się na większą liczbę kontraktów dla naszych firm z sektora kosmicznego. Dzięki temu ponad 90 proc. wpłaconych przez Polskę pieniędzy – a bywa, że więcej – wraca w postaci inwestycji.

Od 2015 r. polskie firmy i instytucje badawcze otrzymały od ESA 595 kontraktów o wartości 270 mln euro. Dzięki zwiększeniu składki w latach 2023–25 polski przemysł kosmiczny dostał/dostanie od ESA prawie 500 mln euro. Z agencją współpracuje na co dzień ponad 200 polskich firm. W projekty kosmiczne zaangażowanych jest ponad 400 rodzimych podmiotów zatrudniających 15 tys. osób. Warto w to brnąć? Nie warto? Nie jest to gałąź przemysłu, którą moglibyśmy ignorować.

Wśród komentarzy dotyczących misji Ignis nierzadko dało się słyszeć powątpiewania, jeśli nie kpiny, na temat poziomu polskiego przemysłu kosmicznego. To krzywdzące, bo rozwija się on ostatnimi laty dynamicznie. Mamy na tym polu spore sukcesy, brakuje im jednak należytej promocji. Ilu Polaków wie, że Sieć Badawcza Łukasiewicz pracuje z powodzeniem nad rakietą Bursztyn zdolną wynosić na orbitę małe satelity? 3 lipca 2024 r., wystrzelona z bazy Andøya Space Sub-Orbital w Norwegii, jako pierwsza polska rakieta wspięła się na pułap 101 km. Co oznacza, że o kilometr przekroczyła linię Kármána – umowną granicę oddzielającą atmosferę od przestrzeni kosmicznej. Co więcej, Łukasiewicz na zlecenie ESA pracuje nad eksperymentalnym silnikiem rakietowym, który ma napędzać europejską rakietę firmy MaiaSpace.

16 sierpnia 2024 r. rakieta firmy Elona Muska SpaceX wyniosła na orbitę najbardziej zaawansowanego polskiego satelitę obserwacyjnego EagleEye, stworzonego przez konsorcjum reprezentowane przez Creotech Instruments – dziś głównego beneficjenta inwestycji w polskie technologie kosmiczne. W grudniu 2024 r. Creotech podpisał największy kontrakt w historii polskiego sektora kosmicznego. W ramach projektu Mikroglob zbuduje dla Polski, we współpracy z ESA, Satelitarny System Obserwacji Ziemi. Do 2027 r. ma trafić na niską orbitę heliosynchroniczną konstelacja satelitów zbierających dla MON dane rozpoznawcze za pomocą optoelektronicznych systemów obserwacyjnych.

Siły zbrojne, nie tylko polskie, intensywnie inwestują w satelitarne technologie szpiegowskie. Założona i kierowana przez Rafała Modrzewskiego polsko-fińska firma ICEYE zawiaduje bodaj największą na świecie konstelacją 44 satelitów SAR, pomagającą m.in. w rozpoznaniu siłom zbrojnym Ukrainy. W maju tego roku ICEYE podpisał umowę z MON na dostarczenie trzech satelitów z naziemnym modułem analizy danych, a więc i my będziemy mogli wkrótce monitorować z dużą precyzją aktywność na terytorium wroga.

To niejedyne powody, dla których inwestycja w misję Ignis i współpracę z ESA miała sens. Bardzo liczymy na to, że kosmiczna przygoda Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego będzie inspiracją dla polskiej młodzieży, zwiększając zainteresowanie kosmosem i naukami ścisłymi. Pod względem liczby zgłaszanych patentów jesteśmy dziś bowiem w ogonie państw Europy (na 26. miejscu). W 2024 r. zgłosiliśmy do Europejskiego Urzędu Patentowego 692 patenty, co daje 18 patentów na 1 mln obywateli RP. W otwierającej peleton Szwajcarii liczba ta wynosi 1085. Na badania i rozwój co prawda przeznaczamy co roku coraz więcej pieniędzy, ale w 2023 r. było to jeszcze zaledwie 1,56 proc. PKB, znacznie poniżej średniej unijnej (2,22 proc. PKB). To musimy jak najszybciej zmienić.

Zainteresowanie, czyli drugie danie

Malkontentom wytykającym, że misja Ignis to co najwyżej płatna wycieczka, a nie pionierskie przedsięwzięcie na miarę misji Apollo, można przypomnieć przypadek Tima Peake'a. Po misji brytyjskiego astronauty, który w 2016 r. także pomieszkiwał na ISS, wyraźnie wzrosło na Wyspach zainteresowanie astronomią i astronautyką, a także innymi naukami ścisłymi. W latach 2016–20 liczba aplikacji na kierunki STEM wzrosła o 10–15 proc., a znaczenie misji Peaka'a jest tu niepodważalne.

Owszem, po powrocie polskiego astronauty na Ziemię popełniono wiele błędów komunikacyjnych i wizerunkowych, co wytyka teraz część popularyzatorów nauki i piarowców. Tak, przykuwająca uwagę karminowa suknia pięknej egzotyczną urodą Aleksandry Wiśniewskiej-Uznańskiej musiała podziałać na wielu jak płachta na byka. Zgoda, rozdawanie autografów na scenie podczas koncertu, z wystawianiem się na uszczypliwość zazdrosnej Dody, nie było najlepszym pomysłem. A biorąc pod uwagę ogrom poniesionych kosztów oraz liczbę zaangażowanych oficjalnie osób, wydaje się niepojęte, że najlepsze podsumowanie misji Ignis przygotowała pro bono garstka pasjonatów z serwisu Rakietomania. Podliczając jednak wszystkie argumenty za i przeciw, bilans misji Ignis trzeba uznać za dodatni. Na kosmiczne eldorado szykuje się wielu, nie możemy stać z boku.

OLAF SZEWCZYK

eprasa.pl 3e11af7a1e

© ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS (2)

Kto i w co ubierał Polki po drugiej wojnie, opowiada Katarzyna Jasiołek, autorka książki „Dom Mody Telimena".

Sukienki

JOANNA SOLSKA: **– Kto dyktował modę w Polsce tuż po drugiej wojnie? Trendy lansowane przez pismo „Kobieta Radziecka" nie przyjęły się, Polki nie chciały ubierać się tak jak Rosjanki, którym na wyglądzie nie zależało.**

KATARZYNA JASIOŁEK: – Ich zadaniem było pracować, rodzić dzieci i budować socjalizm. Wyróżnianie się mogło być niebezpieczne. Polki lubiły zwracać na siebie uwagę. W pierwszych powojennych latach chodziło wprawdzie o to, żeby w ogóle mieć w co się ubrać, ale kobiety chciały też być modne. Na to pragnienie szybko, bo już w 1946 r., odpowiedziało pismo „Moda i Życie Praktyczne". Nie usiłowało nas mundurować, jak robiła to „Kobieta Radziecka", nie lansowało też bezmyślnie mody paryskiej. Jego największą zaletą było przystawanie do trudnej, powojennej rzeczywistości, stało się więc popularne.

eprasa.pl 3e11af7a1e

z rozdzielnika

Kreacje Domu Mody Telimena, kolekcja jesień/zima 1989 r.

Obok: **sukienka tej firmy prezentowana przez Barbarę Ekersdorf, 1960 r.**

Dlatego pojawiły się baskinki i watowane ramiona?

Baskinki, czyli marszczenia na biodrach, miały ukryć chudość wynikającą z niedożywienia. W tym samym celu watowano ramiona. Podkreślano natomiast szczupłą talię. Jedną z pierwszych propozycji, jakie pojawiły się w piśmie, był płaszcz zrobiony z wojskowego koca, wycięty tak sprytnie, aby starczyło jeszcze na mufkę. Rękawiczek też przecież brakowało.

Nie dałyśmy się mundurować, ale z mody amerykańskiej Polki się naśmiewały. Nie była w ich guście, oburzały je falbanki, które traktowały jako marnotrawstwo tkaniny. Uważały, że te modele są dla kobiet niepracujących, pijących drinki i chodzących na koktajle, czyli nie dla nich.

Amerykańską modę poznawały dzięki paczkom UNRRA, amerykańskiej pomocy dla zniszczonej przez wojnę Europy. Była ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ w nich głównie żywność, ale także odzież, a często również tkaniny i to one były najbardziej atrakcyjne. Falbanki istotnie nie trafiły w nasze gusta, w jednym z artykułów sugerowano, że przydadzą się do ozdobienia abażuru.

Trudno było taką paczkę podzielić.

Obowiązywał system punktowy, ale objęto nim tylko osoby pracujące, „bumelanci" pomocy nie otrzymywali. Każdy uprawniony otrzymywał tę samą liczbę punktów. Punktowano buty, pończochy, sukienki i kurtki. Nie patrzono, czy komuś pasuje sukienka albo że mężczyzna dostaje pończochy, sprawiedliwie dzielono tylko punkty. Później obywatele wymieniali się rzeczami między sobą.

Moda nie jest apolityczna, polityka ciągle jest w niej obecna. Na pierwszym powojennym pokazie mody w 1951 r. dużo było jeszcze dodatków: torebek, apaszek i innych drobiazgów. Potem nagle zniknęły.

Zaczęła się bitwa o handel, której ofiarą stali się rzemieślnicy wykańczani tzw. domiarami. Swój interes musiała zamknąć także Jadwiga Grabowska, znana warszawska modystka, późniejsza szefowa państwowej Mody Polskiej. Torebek, pasków i innych drobiazgów nie miał już kto produkować, zniknąć miały także krawcowe, prywatni szewcy. Partia postanowiła, że masową produkcją odzieży dla narodu zajmą się wielkie państwowe fabryki. Wzory do produkcji powstaną w Centralnym Laboratorium Przemysłu Odzieżowego, a potem nieodpłatnie będą przekazywane fabrykom. O prawie własności intelektualnej nie mieliśmy jeszcze pojęcia. Centrum mody w Polsce stała się Łódź, tam były fabryki tkanin, a w Akademii Sztuk Pięknych zaczęto kształcić projektantów, którzy chcieli być artystami, ale mieli także pojęcie o możliwościach technicznych fabryk odzieży. Tam zresztą mieszkali również warszawiacy, którzy opuścili zburzone miasto.

Modele projektowane w centralnym laboratorium nie miały szansy trafić do uspołecznionych sklepów szybciej niż półtora roku, dwa lata później, gdy obowiązywała już inna moda.

Najpierw zatwierdzała je centralna komisja. W jej składzie musiał być ktoś z partii, ze związków zawodowych, przedstawiciel Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, zwykle także plastyk, choć już niekoniecznie od odzieży, ale np. od ceramiki. Komisja decydowała, które modele powinien nosić naród. Dopiero potem inna centralna komisja wyliczała, jaką ustalić cenę, a czas płynął. Podczas gdy zachodni mali producenci odzieży szyli w kilku rozmiarach, łatwo było ją dopasować do niemal każdej figury, w krajach socjalistycznych opracowano – oczywiście centralnie – tzw. rozmiarowzrosty, których było mnóstwo. Sporo czasu minęło, zanim wskazana fabryka w ogóle zaczęła szyć modele.

Z centralnego rozdzielnika musiała najpierw otrzymać tkaniny…

…które najczęściej nie były takie, z jakich uszyto modele. Zakład musiał szyć z tego, co dostał, więc efekt był raczej kiepski. Najgorszy, gdy sukienka uszyta była z dwóch rodzajów tkanin. Wtedy po pierwszym praniu czasem nie nadawała się do noszenia. Producenci materiałów zobowiązani byli do ich dekatyzacji, czyli wstępnego prania, przed rozpoczęciem produkcji. Ale tego nie robili, bo w praniu materiał się kurczył, zamiast 100 m wychodziło 90 m i zakład nie wykonał planu. W rezultacie sukienka kurczyła się u klienta, a w przypadku żakietu, gdy podszewka zbiegała się bardziej niż wierzch, całość nie nadawała się już do noszenia. Ubranie okazywało się bublem.

Kolekcja Telimeny, jesień/zima 1986 r.

W dodatku nawet nowe ubrania na sklepowych wieszakach były niepodobne do tych, które stworzono w centralnym laboratorium. Najczęściej występowały w kolorach brudnoszarych. Nie było winnych, nikt nie wiedział, kto je zaprojektował.

Projektanci się ich wstydzili, nie bili się o to, aby ich nazwiska widniały na metkach. Żywe kolory można było oglądać tylko na pokazach i w centralnym laboratorium, kiedy modele szyto z tkanin importowanych. W kraju nie było dobrych barwników, trzeba je było sprowadzać za dewizy, których brakowało.

Kolejny problem spróbujmy zilustrować majtkami. Chronicznie brakowało dużych rozmiarów.

Powstawały z dzianin przed dekatyzacją, o czym już mówiłyśmy. Poza tym plan narzucany fabryce zwykle był wyśrubowany. Z otrzymanego z rozdzielnika surowca należało wykonać jak największą ilość towaru. Małych majtek można było zrobić więcej niż dużych. Problem dotyczył zresztą nie tylko majtek.

Bubli było dużo. W końcu ktoś musiał za to beknąć?

Do więzienia ku przestrodze trafiło kilku zakładowych kontrolerów jakości. Za to, że dopuścili buble do sprzedaży. Gdyby tego nie zrobili, wcześniej z roboty wyrzuciłby ich sam zakład pracy na żądanie załogi. Uniemożliwialiby mu wykonanie planu, ludzie nie mogliby zarobić.

Po odwilży w 1956 r. władze partyjne zdały sobie sprawę, że nie uporają się z bublami bez wprowadzenia choćby odrobiny zasad wolnego rynku w przemyśle odzieżowym. W Łodzi powstała Telimena, która otrzymała uprawnienia, jakich wcześniej nie miał żaden zakład. Miała szyć odzież modną.

Telimena, pierwotnie Łódzkie Zakłady Odzieży Luksusowej, nie była skazana na tkaniny otrzymane z centralnego rozdzielnika, mogła zamawiać materiały na własne potrzeby u krajowych producentów. W takich ilościach, jakie będą jej potrzebne. Producenci tkanin nie byli zachwyceni, przeciwko krótkim seriom protestowały ich załogi. Ludzie pracowali na akord, im więcej wyprodukowali, tym lepsze mieli zarobki. Krótkie serie oznaczały częstą zmianę asortymentu, a więc gorszą wydajność.

Rewolucyjnych uprawnień, którymi obdarzono Telimenę, było więcej.

© ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3e11af7a1e

Nie musiała korzystać z modeli zaprojektowanych w centralnym laboratorium, zatrudniała własnych projektantów. Centralna komisja nie decydowała, które z nich mogą wejść do produkcji ani nawet, ile mają kosztować, o tym wszystkim decydowała sama firma. Modelki w czasie licznych pokazów niekiedy używały własnych dodatków, ale Telimena mogła także zamawiać je u chałupników, czyli prywaciarzy. Pokazy stawały się wydarzeniami kulturalnymi, sprzedawano na nie bilety.

Przywileje, jakimi obdarzono Telimenę, stały się powodem licznych kontroli NIK, ale także prokuratury.

Zarzucano jej zwłaszcza nieoszczędną gospodarkę materiałową. Kontrolerów oburzało też, że o wielkości zużycia cennego surowca decydowała w firmie jedna osoba – projektant norm. Interpretowano to jako brak troski o obniżkę kosztów produkcji.

Telimenie, a potem powstałej rok później Modzie Polskiej wolno było więcej.

Przedsiębiorstwo od początku miało być maskotką Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego, pokazywać, jak modną i poszukiwaną odzież możemy produkować w kraju z własnych tkanin. Moda Polska, która powstała rok później, pomyślana była jako maskotka Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, jej przywileje były jeszcze większe – dostawała od państwa dewizy na zakup tkanin, dodatków, a nawet sprowadzanie gotowych towarów, np. perfum, które sprzedawała w swoich salonach.

Obie konkurowały ze sobą. Łączyło je to, że modeli zaprezentowanych na pokazach w salonach obu firm nie sposób było uświadczyć. Ówczesny „Dziennik Łódzki" z goryczą zauważał, że szwaczki, które je szyją, nie ubierają się w nie.

Telimena od początku pomyślana była jako dom mody dla kobiet dojrzałych. Na przykład żon polityków, dyplomatów, które chciały być modne. W magazynie, do którego trafiały ciuchy z pokazów nieprzeznaczone do produkcji, buszowali też celebryci. Częstymi gośćmi w Telimenie byli Czesław Niemen interesujący się futrami, Grażyna Szapołowska, Krystyna Loska, a także Stanisława Gierek, która przed modą się broniła.

Byli świetnymi nośnikami reklamowymi. Nieprzeznaczone do produkcji wzory uszyte były ze świetnych bielskich wełen, ręcznie malowanego jedwabiu z Milanówka…

Ich potencjału reklamowego nikt jednak wtedy nie wykorzystywał. Moda Polska jeździła z pokazami za granicę, ale niczego nie eksportowała. Telimena też nie, choć w pewnym momencie zastanawiano się nad eksportem do NRD. Obie ograniczały się do demonstrowania swoich możliwości. Polskie fabryki odzieży też wtedy nie lubiły produkcji na eksport, protestowali przeciwko niej pracownicy. Klienci zachodni zamawiali krótkie serie, a ludzie opłacani na akord zarabiali przy długich. Szwaczki najbardziej lubiły sukienki produkowane w seriach nie krótszych niż 50 tys. sztuk. Za to klienci uganiali się za „odrzutami z eksportu", czyli modelami szytymi dla odbiorcy zagranicznego, które nie spełniały jego wymagań jakościowych, ale i tak były o niebo lepsze od tych produkowanych „na kraj".

Kto decydował, które modele trafią do produkcji?

Organizowano wiele pokazów, na które zapraszano kierowników firmowych sklepów Telimeny oraz sklepów współpracujących z nią. Od ich gustu i uznania, co się sprzeda, zależały losy projektów. Ceny ustalała sama Telimena.

Nie wszystkie nadzieje spełniła. Klientki licznie oglądające pokazy narzekały, że więcej widzą na nich sukien balowych niż propozycji do pracy i na co dzień.

Ubrania Telimeny nie były tanie. Nauczycielki czy urzędniczki było na nie stać, jeśli odkładały na nowy kostium czy płaszcz przez kilka miesięcy. Więc to nie mógł być ostatni krzyk mody, która w następnym sezonie się zmieni, raczej coś klasycznego. Albo kreacja na wielkie wyjście, do założenia przez kilka sezonów. Wydaje mi się, że Telimena dobrze oceniała ówczesne możliwości rynku.

Dekada Gierka to nie był dobry czas dla Telimeny. Partia kazała rządowi wziąć kurs na młodych, w dorosłość wchodził wyż powojenny. Firma kierująca swoją produkcję do starszych i tęższych pań nie potrafiła się odnaleźć.

Jej klientki były w stanie dobrze zapłacić za luksusowe modele z doskonałych tkanin wełnianych. Młodzi tak dużą siłą nabywczą nie dysponowali. Media uświadamiały decydentom, że młodzi nie będą zainteresowani odzieżą z drogich wełen, które można prać tylko chemicznie.

Kreatorką mody dla młodego pokolenia stała się Barbara Hoff, która nigdy by się w „pańciowate" kreacje Telimeny nie ubrała.

Przeciwko szaroburej odzieży z wielkich fabryk odzieżowych buntował się też państwowy handel. Na rynku było wprawdzie więcej pieniędzy, ale klienci nie chcieli wydawać ich na niemodne, źle uszyte ubrania. Na wieszakach w Domach Towarowych Centrum wisiały smętne ciuchy, na które nikt nie zwracał uwagi. Firmy takie jak Telimena czy Moda Polska nie były w stanie odpowiedzieć na wyzwania nowych czasów.

Propozycją dla młodych stał się Hoffland, przed warszawskim DT Junior kłębiły się tłumy.

Władza znów zrobiła krok do tyłu, usiłując rozwiązać problemy, które sama stworzyła. Pozwolono handlowi na współpracę ze spółdzielniami pracy, które zdołały przetrwać bitwę o handel.

Kiedy jednak nadszedł burzliwy okres lat 90. i granice zostały otwarte, salony Telimeny nie wytrzymały zagranicznej konkurencji, zaczęły znikać. Transformacji nie przeżyły DT Centrum ani Moda Polska.

Ale Telimena przetrwała, chociaż z rynku zniknęła. Jej mocną stroną zawsze byli projektanci, świetni konstruktorzy odzieży. Niewiele znanych firm odzieżowych potrafi zrobić kostium, garnitur czy płaszcz, które dobrze leżą, a Telimena to potrafi. Tylko że taka odzież musi kosztować, jej producent nie wytrzyma konkurencji cenowej z szybką modą czy, jak na początku lat 90., turecką tandetą.

Jaką niszę znalazła sobie Telimena?

Znalazła klientów, dla których dobra konstrukcja odzieży jest bardzo ważna, a szybko zmieniające się trendy mniej istotne. Zaczęła szyć mundury dla załóg latających i obsługi naziemnej PLL LOT, potem doszły zamówienia z PKP, z sieci hotelowych. Metki Telimeny znajdziemy na prawniczych togach. Może zatem przetrwa także szybką modę?

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

© MP

Katarzyna Jasiołek (ur. 1982 r.) – absolwentka filologii polskiej, autorka książek o wzornictwie, m.in. „Asteroid i półkotapczan. O polskim wzornictwie powojennym", „Opakowania, czyli perfumowanie śledzia. O grafice, reklamie i handlu w PRL-u", (Marginesy 2021), „Tkanina. Sztuka i rzemiosło". W swoich publikacjach popularyzuje rodzime wzornictwo.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Zła krew

Panujące rody Anglii, Niemiec, Rosji i Hiszpanii chorowały na hemofilię. Wadliwy gen pochodził od królowej Wiktorii, która przekazała go swoim potomkom.

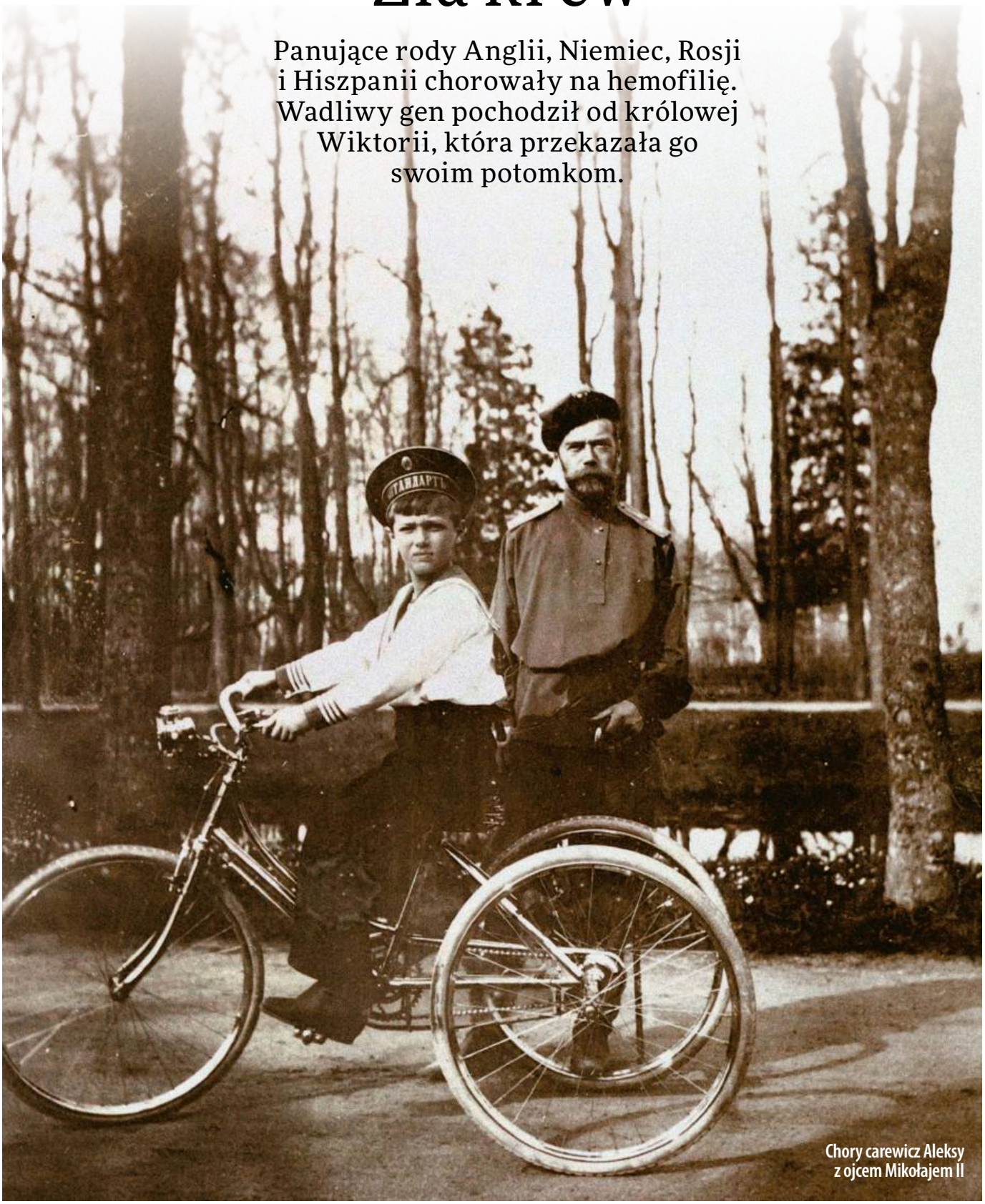

Chory carewicz Aleksy z ojcem Mikołajem II

© UIG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3e11af7a1e

VIOLETTA WIERNICKA

Cesarz Rosji Mikołaj II i jego żona Aleksandra powitali na świecie następcę tronu, syna Aleksego, który urodził się po czterech córkach 12 sierpnia (wg kalendarza juliańskiego 30 lipca) 1904 r. Radość przyćmił jednak dwudniowy krwotok po przecięciu pępowiny. Sześć tygodni później wystąpił kolejny. Aleksandra musiała przyznać, że dziecko cierpi na hemofilię, niewydolność krzepnięcia krwi. Zmarli na nią jej brat, siostrzeniec i wuj, a kilku krewnych chorowało. Aleksandra odziedziczyła ją po matce Alicji, a ona po swojej matce – królowej Wiktorii.

Coburgowie

Najczęstszymi objawami tej przypadłości były obfite krwotoki nawet po drobnych skaleczeniach. Największe zagrożenie stanowiły samoistne krwawienia wewnętrzne oraz wylewy do stawów i mięśni kończyn prowadzące do ich zwyrodnienia. Schorzenie miało tak gwałtowny przebieg, że każde uszkodzenie ciała mogło zakończyć się śmiercią, dlatego w okresie wiktoriańskim przeciętna długość życia chorych na hemofilię wynosiła 13 lat. Cierpieli na nią tylko mężczyźni. Kobiety były bezobjawowymi nosicielkami. Jedną z nich okazała się królowa Wiktoria. Choroby nie odnotowano wśród jej przodków, zdrowy był ojciec – Edward, książę Kentu, nosicielką nie była też matka, z domu księżniczka Wiktoria Saxe-Coburg-Gotha. Hemofilia Wiktorii była skutkiem dosyć rzadkiego zjawiska – samoczynnej mutacji genu.

Królowa urodziła pięć córek i czterech synów, wśród nich dwie nosicielki i jednego hemofilityka – księcia Leopolda, jej ósme dziecko. Choroba się ujawniła, gdy na ciele raczkującego chłopca zaczęły pojawiać się sińce i wybroczyny. Medycy szybko postawili diagnozę, bo 50 lat wcześniej lekarz z Filadelfii John C. Otto opisał jej kliniczne objawy. Chorobę przypisywano kruchości naczyń krwionośnych. W rzeczywistości wynikała z niedoboru białka niezbędnego do prawidłowego krzepnięcia krwi. Nie było na nią leku.

Leopoldowi ciasno bandażowano skaleczenia, a w przypadku krwotoków wewnętrznych kazano leżeć i czekać na absorpcję krwi. Mimo choroby książę chciał prowadzić normalne życie i w 1882 r. ożenił się z księżniczką Heleną Waldeck-Pyrmont (prababką obecnego króla Szwecji Karola XVI Gustawa). Zmarł w 1884 r. z powodu krwawienia śródczaszkowego po niefortunnym upadku w hotelu w Cannes. Pozostawił zdrowego syna Karola Edwarda i córkę nosicielkę Alicję, żonę hrabiego Athlone (najdłużej żyjąca wnuczka królowej Wiktorii zmarła w 1981 r.). Hemofilitykiem był jej syn Rupert, który odszedł bezpotomnie w 1928 r. po niegroźnym wypadku samochodowym.

Wadliwy gen odziedziczyły dwie córki królowej Wiktorii, w tym Beatrycze, która wyszła za mąż za księcia Henryka Battenberga i urodziła mu czworo dzieci: nosicielkę Wiktorię Eugenię (przyszłą królową Hiszpanii, o której niżej) i trzech synów. Jeden z nich, Leopold, cierpiał na hemofilię i zmarł bezdzietnie w 1922 r. po wycięciu wyrostka robaczkowego. Chorzy synowie królowej Wiktorii i Beatrycze Battenberg nie byli następcami tronu, więc hemofilia pozostawała prywatną tragedią rodziny.

Burbonowie

Inaczej stało się w przypadku księżniczki Wiktorii Eugenii Battenberg. Za sprawą jej małżeństwa z królem Hiszpanii Alfonsem XIII choroba przedostała się do dynastii Burbonów. Para poznała się we wrześniu 1905 r. podczas wizyty 19-letniego monarchy w Londynie. Jako król i jedyny syn Alfons XIII czuł presję, by zagwarantować ciągłość rodu. Uczucie hiszpańskiego króla i Wiktorii Eugenii, którą rodzina i przyjaciele nazywali Ena, okazało się tak intensywne, że w styczniu 1906 r. postanowili się zaręczyć. Księżniczka stanowiła świetną partię: była wnuczką królowej Wiktorii, siostrzenicą jej następcy Edwarda VII oraz cioteczną siostrą kajzera Wilhelma II i rosyjskiej cesarzowej Aleksandry. Mimo to przyszła teściowa Maria Krystyna i królewscy doradcy odwodzili króla od tego związku z powodu hemofilii brata Eny, Leopolda. Jednak Alfons był gotów zaryzykować.

31 maja 1906 r. w Madrycie odbył się huczny ślub. 12 maja 1907 r. Wiktoria Eugenia urodziła syna, który otrzymał imię Alfons. Podczas zabiegu obrzezania wystąpił długotrwały krwotok. Gdy zdiagnozowano hemofilię, w relację między małżonkami wkradł się chłód, a król zaczął zdradzać żonę. Mimo to urodziły im się kolejne dzieci: Jaime (był zdrowy, lecz stracił mowę i słuch po nieudanej operacji ucha), Beatrycze, Maria Krystyna, Juan i hemofilityk Gonzalo. Po pojawieniu się ostatniego potomka Wiktoria Eugenia i jej mąż zaczęli prowadzić osobne życie.

Na domiar złego Hiszpania borykała się z kryzysem gospodarczym, a do głosu dochodziły ruchy antymonarchistyczne. W kwietniu 1931 r. doprowadziło to do wygranej republikanów w wyborach samorządowych i rodzina królewska musiała opuścić kraj. Na emigracji małżonkowie się rozstali: król zamieszkał we Włoszech (zmarł w 1940 r.), a Wiktoria Eugenia osiadła w Szwajcarii (zmarła w 1969 r.). Ich synowie kursowali pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi.

Cierpiącym na hemofilię Alfonsowi i Gonzalowi lata 30. przyniosły nie tylko wygnanie, ale także rozwój medycyny. Podczas krwotoków wewnętrznych zaczęto przetaczać im krew. Jednak ta metoda nie uratowała ich przed śmiercią po pozornie niegroźnych wypadkach samochodowych: Gonzala w 1934 r., Alfonsa w 1938 r. Odpowiedzialność za przyszłość dynastii spoczęła na barkach jedynego zdrowego księcia – Juana, który ożenił się i miał dwóch synów: Juana Carlosa i Alfonsa.

Tymczasem w 1936 r. władzę w Madrycie objął gen. Francisco Franco. 11 lat później niespodziewanie ogłosił zamiar przywrócenia monarchii. Na przyszłego króla wytypowano 10-letniego Juana Carlosa, który wkrótce rozpoczął naukę w Hiszpanii w ramach przygotowań do objęcia tronu. Tron objął jednak dopiero po śmierci Franco w 1975 r. i panował do 2014 r., gdy skandale obyczajowe i finansowe zmusiły go do abdykacji na rzecz syna, Filipa VI.

Romanowowie

Najtragiczniejsze okazały się skutki choroby w Rosji. Nic nie zapowiadało tragedii, gdy w 1894 r. zakochany Mikołaj II ożenił się z Alix Heską, która przed ślubem przeszła na prawosławie i przyjęła imię Aleksandra Fiodorowna. Na idyllicznym życiu małżonków kładł się cieniem jedynie brak następcy – w ciągu siedmiu lat cesarzowa powiła cztery córki: Olgę, Tatianę, Marię i Anastazję. Narodziny Aleksego stanowiły dla Aleksandry źródło radości – i największego cierpienia. Odtąd spędzała czas na wielogodzinnych modlitwach o ratunek dla syna. ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶Jej zaufanie pozyskał Grigorij Rasputin, którego para carska spotkała – jak wynika z dziennika Mikołaja II – w 1905 r. Był to rosyjski chłop, który w wieku 14 lat usłyszał tajemnicze głosy, doznał olśnienia duchowego i stał się bardzo pobożny, lecz po pewnym czasie wrócił do normalności, ożenił się i zaczął gospodarzyć. Po 20 latach „głosy" nawiedziły go ponownie, więc porzucił dotychczasowe życie i stał się pątnikiem. Odwiedzał święte miejsca i wygłaszał kazania, w których zapewniał, że każdy dostąpi zbawienia po wyrażeniu skruchy za grzechy. Rosnąca popularność doprowadziła go do Petersburga, gdzie jego odmienność – skołtuniona broda, przeszywające spojrzenie i obcesowe maniery – zafascynowały stołeczne arystokratki. Zrobił ogromne wrażenie na prawosławnych biskupach, dzięki czemu trafił do salonu księżniczek Milicy i Stany z rodziny Romanowów. One z kolei przedstawiły go Mikołajowi i Aleksandrze, którzy zaczęli regularnie zapraszać Grigorija.

Rasputin w niewytłumaczalny sposób tamował krwotoki następcy tronu. Olga, najmłodsza siostra Mikołaja II, twierdziła, że wystarczała modlitwa tego syberyjskiego chłopa przy łóżku dziecka, aby nastąpiła szybka poprawa (Ian Vorres, „The Last Grand Duchess"). Jako że hemofilia następcy tronu była pilnie strzeżoną tajemnicą, obecność Rasputina na carskim dworze wzbudzała niepokój w kręgach rządowych.

Latem 1912 r. cesarz ugiął się pod presją rodziny i odesłał Rasputina do jego rodzinnej wsi. W październiku, gdy Romanowowie przebywali w swojej polskiej rezydencji w Spale, ośmioletni Aleksy doznał krwotoku w pachwinie i nodze. Stan chłopca pogarszał się z godziny na godzinę, a lekarze bezradnie rozkładali ręce. Gdy stało się jasne, że dziecku pozostało niewiele życia, przygotowano biuletyn o jego śmierci. Aleksandra zignorowała opinię medyków i wysłała telegram z prośbą o modlitwę do przebywającego na Syberii Rasputina. Ten odpowiedział telegramem: „Bóg usłyszał Twoje modlitwy i ujrzał Twoje łzy. Nie bój się. Twój syn będzie żył". Uradowana cesarzowa oznajmiła członkom świty: „Lekarze jeszcze nie widzą poprawy, ale ja wcale się nie martwię. W nocy dostałam telegram od ojca Grigorija i teraz czuję się spokojna". I rzeczywiście stan chłopca się poprawił. W rozmowie z siostrą Mikołaja II Olgą lekarze przyznali, że z medycznego punktu widzenia wyzdrowienie było niewytłumaczalne.

Wydarzenia z 1912 r. dużo później zainteresowały uczonych z Ośrodka Psychoneuroimmunologii na Uniwersytecie Kalifornijskim. Ich wywody przytacza Douglas Smith w książce „Rasputin. Wiara, władza i zmierzch dynastii Romanowów": „To nie modlitwy Rasputina się liczyły, a jedynie jego słowa – kategoryczne, wyrażające pewność siebie i przekonanie. I to właśnie w jego słowach, a raczej w reakcji na nie Aleksandry można znaleźć wskazówkę co do dziwnego wpływu Rasputina na małego chorego chłopca". Cud w Spale ugruntował pozycję Grigorija na dworze, Aleksandra obdarzyła go zaś bezgranicznym zaufaniem.

Wpływ Rasputina na parę cesarską okazał się zgubny podczas pierwszej wojny światowej, gdy Mikołaj II przebywał w Stawce na terenie obecnej Białorusi. Pod jego nieobecność władzę w stolicy przejęła cesarzowa i uczyniła swoim głównym doradcą Grigorija, który czerpał przyjemność ze swojej pozycji na dworze, mawiając: „Pamiętaj, że nie potrzebuję ani Ciebie, ani cesarza (...). Jeśli zdradzicie mnie, dam sobie radę, ale Twojemu synowi stanie się krzywda". Tajemnicza zależność carycy od Rasputina nadszarpnęła zaufanie poddanych do panującej dynastii. Aleksandra pozbywała się najbardziej kompetentnych urzędników z powodu ich niechęci do syberyjskiego chłopa: w czasie wojny w kraju było czterech premierów, pięciu ministrów spraw wewnętrznych, trzech ministrów spraw zagranicznych. Mikołaj II zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz nie potrafił pożegnać się z Rasputinem, bo dla jego żony zniknięcie Grigorija równało się wyrokowi śmierci dla syna.

Pod koniec 1916 r., gdy niezadowolenie z rządów Aleksandry i Mikołaja sięgnęło zenitu, wrogowie Rasputina uznali, że jedynym sposobem na ocalenie dynastii jest zabójstwo syberyjskiego chłopa. W spisku na jego życie wzięli udział m.in. kuzyn Mikołaja II wielki książę Dymitr Pawłowicz, książę Feliks Jusupow (prywatnie zięć młodszej siostry cesarza Kseni), prawicowy deputowany Dumy Władimir Puryszkiewicz. Rasputin zginął w grudniu 1916 r. Jednak jego śmierć nie zdołała naprawić strat, jakie przyniosło Romanowom przywiązanie Aleksandry do Rasputina. Jak wiadomo, Mikołaja zmuszono do abdykacji, a ostatecznie rodzinę panującą zgładzono w 1918 r.

Gdy w 1991 r. znaleziono szczątki zamordowanych Romanowów, naukowcy z Rosji, Austrii i USA poddali je szczegółowym badaniom i odkryli, że oprócz Aleksego jedyną nosicielką wadliwego genu była Anastazja, najmłodsza córka Mikołaja i Aleksandry.

Hohenzollernowie

Córka królowej Wiktorii Alicja przekazała ów gen nie tylko córce Aleksandrze. Urodziła siedmioro dzieci. Hemofilitykiem był jej syn Fryderyk, który w wieku trzech lat spadł z pierwszego piętra i się wykrwawił. Nosicielką wadliwego genu była też kolejna córka Alicji, Irena, która poślubiła księcia Henryka Hohenzollerna, młodszego brata króla Prus i cesarza Niemiec Wilhelma II. Dwóch z trzech synów tej pary zmarło na hemofilię.

Jedynym żyjącym mężczyzną hemofilitykiem pozostawał ich syn Waldemar Hohenzollern. W 1919 r. ożenił się z księżniczką Calixtą Lippe, nie miał dzieci. Podobnie jak jego hiszpańscy kuzyni Alfonso i Gonzalo korzystał z dobrodziejstw przetaczania krwi.

W czasie drugiej wojny światowej wraz z żoną mieszkał w pałacu w Kamieńcu Ząbkowickim, który opuścił w kwietniu 1945 r. w obawie przed Armią Czerwoną. Trafił do Bawarii znajdującej się w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Z powodu ciężkiego krwotoku wewnętrznego zwrócił się do lekarzy z USA z prośbą o przetoczenie krwi. Usłyszał negatywną odpowiedź, bo krew była potrzebna dla zwolnionych z obozów więźniów. Zmarł nazajutrz po odmowie. Był ostatnim hemofilitykiem w europejskich rodzinach panujących.

VIOLETTA WIERNICKA

KUP TERAZ

O barwnych dziejach 44 największych dynastii królewskich przeczytasz także w Pomocniku Historycznym **„WIELKIE DYNASTIE EUROPY"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 3e11af7a1e

© PAP/CTK, ULSTEIN BILD/BE&W

Kościół garnizonowy w Poczdamie, dziś i w 1935 r.

Odpryski Prus

Tego landu nie ma na mapie dzisiejszych Niemiec. Ale pamięć o nim, tuż za polską granicą, wciąż jest żywa. Coraz żywsza.

ADAM KRZEMIŃSKI Z POCZDAMU I BERLINA

Z dystansu wieża poczdamskiego kościoła garnizonowego może się kojarzyć z kuchennym tłuczkiem. Nie ma 30-metrowego kołpaka, nie ma też głównej nawy – i nie wiadomo, czy zostanie odbudowana. Nie ma w tle przedwojennego parku. Nie ma oddechu. Żadnego porównania z odbudowanym 20 lat temu drezdeńskim kościołem Marii Panny świetnie wpasowanym w otoczenie, powitanym bez zastrzeżeń, z radością i sentymentem, bo oto udało się przywrócić kolejny okruch pięknego miasta bezsensownie zniszczonego przez alianckie bombardowanie 13 lutego 1945 r. Nic takiego w Poczdamie. Kościół garnizonowy spłonął pod alianckimi bombami jeszcze później, bo w kwietniu 1945 r. Ale budzi zupełnie inne emocje. Zbudowany na początku XVIII w., był niby jedną z pereł północnoniemieckiego baroku, bardziej surową i skromną niż drezdeński, ale przy tym dość złowrogą – jako symbol militaryzmu Prus. Tu groby pruskich królów Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II odwiedzali zarówno Napoleon, jak i car Aleksander. I tu 21 marca 1933 r. w „Dniu Poczdamu" Hitler bratał się z pruską elitą. Ale także tutaj grywał na organach Bach, a do miejscowej gminy ▶

eprasa.pl 3e11af7a1e

Odbudowany zamek królewski w Berlinie

▶ ewangelickiej należało kilku czołowych spiskowców przeciwko Hitlerowi.

W 1968 r. władze NRD usunęły wypalone mury, a okoliczny teren i część fundamentów zabudowano pudłami ośrodka obliczeniowego. Za rządów Waltera Ulbrichta, saskiego stalinowca, odcinano pruskie korzenie. Choć w 1950 r. symboliczne topienie w Haweli „dawnego ducha Poczdamu" nie bardzo się udało: gruz wyrwał spód trumny i poszedł na dno, ale wieko szyderczo spłynęło z prądem. Po śmierci Ulbrichta ruszyła pruska fala w historiografii, literaturze, teatrze, kinie. W 1980 r. Erich Honecker polecił bez rozgłosu przywrócić konny pomnik Fryderyka II na berlińskiej promenadzie Unter den Linden, czyli alei Pod Lipami.

Fryc i więcej nic?

W 1945 r. na konferencji poczdamskiej większość fryderycjańskich terenów Prus przyznano Polsce, a Królewiec – ZSRR, a w 1947 r. alianci dekretem zlikwidowali Prusy jako podmiot administracyjny. Jednak po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. wrócił zew Prus. A spór wokół poczdamskiego kościoła był odpryskiem tęsknot do ich restytucji.

Już 17 sierpnia 1991 r. w obecności kanclerza Helmuta Kohla pochowano szczątki Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II z honorami wojskowymi w – jak tego kiedyś sobie życzył „Stary Fryc" – parku poczdamskiego pałacu Sanssouci. I apetyty na wskrzeszenie Prus rosły. Skoro pod koniec NRD przywrócono tradycyjne nazwy nowych landów (Saksonia, Turyngia, Meklemburgia), to może połączyć Berlin z Brandenburgią i przywrócić wyklętą nazwę... Nic z tego. W referendum z 5 maja 1996 r. 67 proc. wypowiedziało się przeciwko fuzji. Prusy to nie Saksonia – na mapę Niemiec nie wróciły.

Przeznaczeniem kościoła garnizonowego ma być krytyczne, a nie sentymentalne spojrzenie na niemiecką historię, co sygnalizuje napis „Zwróć nasze kroki w kierunku pokoju" wyryty w pięciu językach – także po polsku – w cokole wieży. A prezydent Frank-Walter Steinmeier, otwierając wieżę, przyznał, że jej odbudowie towarzyszyły i nadal towarzyszą „próby historycznego rewizjonizmu". Po czym stwierdził z naciskiem, że „przypomina nam, jakie nieszczęście ściągnęło na Niemcy i Europę narodowe jątrzenie, szaleństwo rasy i polityka podbojów. Zdecydowanie przeciwstawiamy się zaprzeczaniu niemieckiej odpowiedzialności oraz dyskredytowaniu naszej kultury pamięci jako »kultu winy«". To pod adresem ideologów AfD oburzonych na niemiecką pedagogikę wstydu...

Kościół garnizonowy nadal ma zagorzałych przeciwników, czego dowodem były plakaty w dniu konsekracji: „Żadnego błogosławieństwa dla tej namiastki kościoła". Ale poczdamska wieża jest miejscem kameralnych koncertów i dyskusji, jak ta o wojnie i pokoju dziś. Temat jest gorący – także ze względu na „manifest" grupy socjaldemokratów przeciwnych wojskowej pomocy dla Ukrainy. Przewodnicząca Rady Kościołów Ewangelickich Kirsten Fehrs, pani biskup Hamburga, przyznała, że wprawdzie niegdysiejszy ruch pokojowy pobudził jej zainteresowanie teologią, to jednak teraz uważa, że dla obrony sprawiedliwego i trwałego pokoju konieczne są także siły zbrojne. Zwłaszcza gdy w jest w Europie agresor „niemający żadnych zahamowań przed grożeniem użyciem broni jądrowej". Odwiedzając Poczdam, warto sprawdzić, co akurat odbywa się w wieży kościoła.

Na rogu Marksa i Engelsa

Szczególne spotkanie z historią oferuje też niedawno odbudowany zamek królewski w Berlinie. Wprawdzie w 1950 r. usunięto jego częściowo zniszczoną bryłę, a miejsce po nim częściowo przydeptano enerdowskim Pałacem Republiki, ale przecież historię można przesiać przez sito. Po zjednoczeniu Niemiec padł argument, że skoro w Warszawie z dobrym skutkiem odbudowano Zamek Królewski, to czemu nie zrobić tego w Berlinie. Był nie tylko siedzibą Hohenzollernów, ale także architektonicznym zwieńczeniem Unter den Linden. Jednym z miejsc Wiosny Ludów 1848 r. A w listopadzie 1918 r. – proklamacji przez Karla Liebknechta socjalistycznej republiki niemieckiej.

Pałac Republiki można było usunąć (bo był zatruty azbestem), a przy okazji także nowy budynek enerdowskiego MSZ. I tak się stało. Już od 1994 r. berlińczycy przyzwyczajali się do widoku zamku dzięki plastikowej atrapie jego fasady. Co prawda korowody wokół formy i sensu odbudowy trwały latami, ale w 2007 r.

© ELXENEIZE/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Bundestag zadecydował: budujemy. I od czterech lat zamek jest berlińską atrakcją.

W odróżnieniu od warszawskiego już samą fasadą sygnalizuje wyraźne zdystansowanie kopii wobec oryginału. Chłodna postnowoczesna fasada od strony Forum Marksa-Engelsa (z przyziemnym pomnikiem obu klasyków) pasuje do postenerdowskiego otoczenia. Trzy pozostałe fasady, niemal kopie poprzednich, wpisują się w klimat „wyspy muzeów". Z kolei starannie odtworzony wystrój obu wewnętrznych dziedzińców jest przełamany modernistycznymi wstawkami. Niejednego berlińczyka to razi. Woleliby złudzenie, że nic się nie stało.

Ale się stało. I zamek to pokazuje. Nie ma w nim – jak w Warszawie – starannie odtworzonych barokowych sal. Jest jedynie „mapa śladów" – z 35 odpryskami 800-letniej historii pałacu ulokowanymi w korytarzach, salach wystawowych, a także w zamkowym barze. W Sali Rzeźb – resztki zachowane z dawnego pałacu. Nie wydaje się, żeby w przyszłości zamierzano krok po kroku wypełniać wnętrza kopiami zniszczonego wystroju, bo berliński zamek królewski to nie sanktuarium glorii Prus i Hohenzollernów, lecz – jeśli już – to braci Humboldtów, XIX-wiecznych pruskich reformatorów nauki i oświaty.

Kamień milowy

Zamek jest siedzibą Forum Humboldtów oraz stałych i czasowych ekspozycji dwóch Muzeów: Etnologicznego i Sztuki Azjatyckiej. Dokumentacja otwartości, dialogu, wielokulturowości – widocznych na co dzień na berlińskich ulicach. Kojarzy się także z mroczną historią niemieckiego kolonializmu na przełomie XIX i XX w., ludobójstwem na plemionach Hererów i rabunkiem dzieł sztuki. W naszych sprawach – z pogardliwymi uwagami w czasach Starego Fryca o Polakach jako „Irokezach Europy". Podobnie obecne dyskusje wokół deportacji z Niemiec do Polski nielegalnych imigrantów – z nakazaną w październiku 1938 r. przez szefa służby bezpieczeństwa SS „Polenaktion", czyli wypędzeniem do Polski 17 tys. polskich Żydów, którzy tygodniami koczowali na granicy, bo Warszawa nie akceptowała tych deportacji...

Obecnie w berlińskim Zamku można – do 26 stycznia – oglądać w ramach „przestrzeni otwartej" prezentację siedmiu „polskich stanowisk" w Berlinie: od więzienia w Moabicie, skąd w czasie rewolucji 1848 r. berlińczycy uwolnili Ludwika Mierosławskiego, takiego ówczesnego Che Guevarę, po dzielnicę Friedrichshain (z „polskimi ulicami", jak Warschauer Strasse) i park z pomnikiem „polskiego żołnierza i niemieckiego antyfaszysty" odsłoniętym w 1972 r. na fali gierkowsko-honeckerowskiego otwarcia granicy. Są oczywiście poglądowe wstawki o Starym Frycu, wojennej martyrologii i zrywie Solidarności, a także drobiazgi codzienności berlińskich Polaków, od XIX w. jednej z najliczniejszych tu grup etnicznych.

Polskich akcentów jest więcej. Tego samego dnia, gdy w poczdamskiej wieży ewangelicy spierali się o Ukrainę, w Berlinie na miejscu nieistniejącej już Opery Krolla, gdzie Hitler 1 września 1939 r. ogłaszał rozpoczęcie wojny z Polską, odsłonięto kamień upamiętniający polskie ofiary Trzeciej Rzeszy. To wstępny krok do utworzenia „miejsca pamięci i spotkań" ustanowionego w 2020 r. przez Bundestag. Sprawa upamiętnienia w Berlinie polskich ofiar wojny ciągnie się od lat. Dziś chadecki koordynator rządu federalnego ds. współpracy polsko-niemieckiej przyznaje, że jest wstrząśnięty stopniem nieznajomości polskiej historii w Niemczech. Odsłaniając „polski kamień", była wieloletnia przewodnicząca Bundestagu Rita Süssmuth powiedziała, że już ostrożniej używa słów „nigdy więcej", ale „możemy to osiągnąć, jeśli będziemy trzymać się razem".

Między dwoma narodami

Zjednoczone w 1990 r. Niemcy nie są kontynuacją pruskiej koncepcji państwa i miejsca Niemiec w Europie – wywodzą znani niemieccy historycy Hans-Jürgen Bömmelburg i Matthias Barelkowski, autorzy właśnie przetłumaczonej na polski nowatorskiej książki „Fryderyk II Wielki. Król Prus, zaborca Polski, przedmiot sporu i kultu". Podkreślają, że Republika Federalna nawiązuje do starszych tradycji zachodnich i południowych Niemiec, a także Związku Reńskiego z czasów Napoleona, symbolicznie odnowionego w 1963 r. przez Adenauera i de Gaulle'a. Można by przypomnieć, że ćwierć wieku temu prezydent Aleksander Kwaśniewski i minister Bronisław Geremek mówili o polsko-niemieckim „związku odrzańskim".

Dzisiejsze Niemcy są zakotwiczone na Zachodzie, ale także – poprzez wchłonięcie dawnej NRD i jej problemów oraz przeniesienie stolicy do Berlina – „bardziej wschodnie" niż dawna „republika bońska". Na ten „wschodni" koloryt składa się restytucja pruskiego dziedzictwa kulturalnego – odbudowa zamków, kościołów i parków, ale także komercyjny kicz: od pensjonatu w Rheinsbergu „Pod Młodym Frycem" po poczdamskie piwo „Stary Fryc", podróbki laski króla, filiżanki z jego podobizną czy jego ulubioną „kawę z pieprzem". Gorzej, gdy kicz wkrada się w teksty audioprzewodników po pałacach Fryderyka w Sanssouci czy Rheinsbergu. Te rozwodzą się o architektonicznych i artystycznych precjozach wystroju, a pomijają sprawy kontrowersyjne.

Autorów „Fryderyka II Wielkiego" irytuje zbywanie przez niemieckich historyków pierwszego rozbioru Polski w 1772 r. uwagami, że wprawdzie był moralnie naganny, ale ze względu na sojusze i mocarstwową politykę Prus – „absolutnie konieczny". Przyznają, że niemieckie podejście do Fryderyka II nie sprzyja polskiemu otwarciu się, ponieważ z niemieckich fascynacji Prusami przebłyskują elementy „nacjonalistycznej tożsamości niemieckiej". Przyszłą polsko-niemiecką wspólnotę pamięci widzą w europeizacji historii Prus jako państwa „między dwoma narodami", którego niepodobna wpasować jedynie w niemiecką czy polską historię. Dziś w Niemczech łatwo się zapomina, że większość terenów fryderycjańskich Prus jest w Polsce, a nie w Niemczech. Z kolei w Polsce można dodać, że większość dzisiejszej Polski – od Szczecina i Jeleniej Góry do Bydgoszczy, Olsztyna i Ełku – to teraz nasze pruskie dziedzictwo, o którego materialny dorobek także warto dbać. A wciąż nie dopracowaliśmy się systematycznej opieki nad fryderycjańskimi zabytkami.

ADAM KRZEMIŃSKI

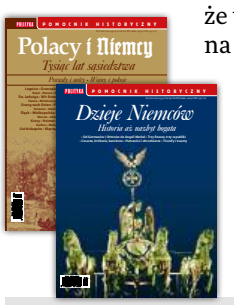

KUP TERAZ

Zainteresowanym historią Niemiec polecamy pakiet naszych Pomocników Historycznych **„DZIEJE NIEMCÓW"** oraz **„POLACY I NIEMCY"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 3e11af7a1e

serial

Potwory w Nibylandii 5/6

Obcy: Ziemia (Alien: Earth), twórca serii: Noah Hawley, 8 odc., Disney+

Czy można jeszcze opowiedzieć świeżą historię w uniwersum „Obcych"? Na pewno warto próbować: kinowy „Romulus" z 2024 r. tchnął w cykl nowe życie (nawet jeśli był powtórką ze sprawdzonych wcześniej pomysłów), „Ziemia" do znanego już z poprzednich produkcji świata dokłada więcej technologii, więcej zagrożeń i więcej obcych gatunków. Ksenomorfy z filmu Ridleya Scotta już dawno nie są dla widzów tajemnicą, trzeba publiczność straszyć na inne sposoby. Twórca serialu Noah Hawley na szczęście wie, jak budować nową jakość na starym fundamencie. Jego telewizyjna wersja „Fargo" okazała się bardzo udaną wariacją na temat filmu braci Coen, wcale nieustępującą oryginałowi. Ma też na koncie bardzo ciekawy serial superbohaterski „Legion". Teraz musiał zmierzyć się z jedną z najpopularniejszych franczyz science fiction. I wiele wskazuje na to, że odniósł sukces.
Wracający z misji okręt kosmiczny „Maginot" rozbija się na Ziemi, przywożąc wyjątkowo niebezpieczne osobniki obcych ras (w tym ksenomorfy). Neutralizacji zagrożenia podejmuje się grupa hybryd (m.in. Wendy, grana przez **Sydney Chandler**): istot o syntetycznych ciałach, w które została wszczepiona ludzka jaźń, w tym osobliwym przypadku – świadomość nieuleczalnie chorych dzieci. A wszystko jest częścią eksperymentu korporacji Prodigy prowadzonej przez młodocianego geniusza, który marzy o globalnej dominacji. Hawley czerpie z filmów Scotta i Jamesa Camerona (fani powinni być zadowoleni), lecz stawia jednocześnie na rozbudowywanie świata i pogłębianie postaci. Jest tu niezbędne napięcie i krwawy horror, lecz jest również czas na to, by przyjrzeć się turbokapitalistycznej rywalizacji korporacyjnych potęg, nakreślić relacje między bohaterami, zostawić nieco miejsca na oddech, refleksję oraz liczne odniesienia do „Piotrusia Pana", w tym kontekście może zaskakujące, ale sensowne. Jak serialowa fabuła wpisuje się w narrację znaną z filmów, będzie można ocenić dopiero po premierze całości, ale udostępniony do recenzji fragment jest bardzo obiecujący.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Ognisty kryminał 4/6

Dym (Smoke), twórca serii: Dennis Lehane, 9 odc., Apple TV+

Nowy kryminał twórcy „Czarnego ptaka" to rozrywka na poziomie, do jakiego przyzwyczaił nas serwis streamingowy Apple: nawet jeśli wątki nie zawsze są oryginalne, to układają się we wciągającą fabułę, z niejednoznacznymi bohaterami, ze świetną obsadą i realizacją, której nie można nic zarzucić. Akcja „Dymu", opartego na prawdziwej historii podpalacza grasującego w Kalifornii w latach 80. opowiedzianej w podkaście „Firebug" w 2021 r., toczy się wokół dochodzenia w sprawie dwóch seryjnych podpalaczy terroryzujących fikcyjne miasto. Jako że brakuje przełomu, prowadzący je śledczy do spraw pożarów Dave Gudsen (Taron Egerton) otrzymuje wsparcie w postaci policjantki, detektyw Michelle Calderone (Jurnee Smollett). Dla obu porażka oznacza degradację, co powinno działać motywująco, a jednak nie są zachwyceni tą narzuconą współpracą i w kolejnych odcinkach okaże się dlaczego. Poza historiami śledczych, z których każde sporo ukrywa (także przed sobą samym), poznajemy też życie i motywacje podpalaczy. „Dym" to kryminał z ambicjami thrillera psychologicznego w stylu filmów Davida Finchera, w dużej mierze – choć czasem na skróty – spełnionymi. W centrum stawia ogień trawiący bohaterów: obsesje, ambicje, kompleksy. Nikt tu nie jest jednowymiarowy, nawet postacie drugoplanowe, a świetna obsada (m.in. Ntare Mwine, John Leguizamo, Rafe Spall) wykorzystuje w pełni dane przez scenarzystów szanse.

ANETA KYZIOŁ

© PATRICK BROWN/FX/DISNEY+, APPLE TV, GALAPAGOS FILMS, MARVEL/DISNEY+, MNKD

eprasa.pl 3e11af7a1e

serial

W świecie Czarnej Pantery 4/6

Oczy Wakandy, twórca serii: Todd Harris, 4 odc., Disney+

Kolejna po dwóch fabularnych filmach o Czarnej Panterze opowieść o Wakandzie, afrykańskim mocarstwie z komiksów Marvela. Tym razem jednak zamiast standardowej akcji w superbohaterskim stylu widzowie dostają cztery odrębne historie z różnych epok – od starożytności (jest tu nawet odcinek rozgrywający się podczas wojny trojańskiej) po schyłek XIX w., a nawet odległą przyszłość – i różnych kontynentów. Każdy epizod skupia się na losach innej postaci – z reguły wakandyjskiego tajnego agenta lub agentki – oraz na próbach odzyskania rozrzuconych po świecie bezcennych artefaktów. „Oczy Wakandy" przeznaczone są oczywiście przede wszystkim dla tych, którzy z uwagą śledzą każdą produkcję opatrzoną szyldem Marvel Cinematic Universe. Jednak zasługują na uwagę także dlatego, że skutecznie próbują przełamywać komiksowe schematy, a przy tym zostały bardzo starannie zrealizowane. Oprawa graficzna, jak przyznają twórcy, inspirowana pełnymi życia błyskotliwymi dziełami afroamerykańskiego artysty Erniego Barnesa, podkreśla unikatowy charakter opowieści o Wakandzie i roli, jaką odgrywa w całym marvelowskim uniwersum. Być może na tle streamingowej nadprodukcji łatwo przegapić jeszcze jedną animację, jednak o „Oczach Wakandy" warto pamiętać. JD

film

Pożegnania 4/6

Opętani, reż. Samuel Van Grinsven, prod. Australia, Nowa Zelandia, 100 min, w kinach od 15 sierpnia

Jack (Dacre Montgomery), młody mężczyzna, wraca do Nowej Zelandii na pogrzeb swojej biologicznej matki. Nie miał z nią kontaktu przez lata, odkąd został oddany do rodziny zastępczej. Podczas ceremonii poznaje Jill (**Vicky Krieps**), wdowę po zmarłej. Para obcych sobie ludzi jednoczy się w żałobie i nawiązuje bliską relację, gdy się okazuje, że duch matki na zmianę wciela się w każde z nich. Wbrew pozorom nie jest to spirytystyczny horror, lecz raczej przejmująco smutna, zimna opowieść o nieprzepracowanych traumach przeszłości i obezwładniającym poczuciu straty. Samuel Van Grinsven odwołuje się do klasycznych narracji o duchach, lecz po estetykę kina grozy sięga dość oszczędnie. Wyciszoną fabułę prowadzi w spokojnym tempie, budując atmosferę niepokojącym dźwiękiem i minimalistyczną scenografią, a przede wszystkim ufając aktorom. Może tylko czasami zbyt łatwo ulega pokusie nadmiernej symboliki: imiona głównych bohaterów i oryginalny tytuł („Went Up the Hill") zostały zaczerpnięte z klasycznej dziecięcej rymowanki, która bywa interpretowana jako metafora lęku przed śmiercią. Jest to także kolejna, po niedawnych „Nieumarłych", „Domu nocnym" czy wciąż pokazywanym w kinach „Oddaj ją", produkcja z pogranicza horroru mierząca się z tematem żałoby i cierpienia. Równie dużo mówi to o twórcach, co o potrzebach publiczności w trudnych czasach. JD

galeria

Prostokątny banan 4/6

How far can you see – 100% abstrakcji, Muzeum Nadwiślańskie – Kamienica Celejowska, Kazimierz Dolny, do 15 listopada

Dzieje abstrakcji geometrycznej w Polsce przypominają narodowe losy banana: od owocu egzotycznego, poprzez niechętnie przyjmowany („bananowa młodzież"), aż po spowszedniały. Tytuł wystawy nawiązuje do tego środkowego okresu, gdy przez pewien czas w PRL obowiązywała dyrektywa pozwalająca pokazywać na wystawach co najwyżej 15 proc. dzieł abstrakcyjnych. Dziś można i 100 proc., ale czy to jeszcze kogoś ekscytuje? Kuratorzy wystawy są przekonani, że powinno, i z wielkim zaangażowaniem prowadzą widzów niełatwą ścieżką malowanych brył, figur geometrycznych, kresek i kropek. Od czasu do czasu zbaczając w stronę jeszcze trudniejszej sztuki konceptualnej (m.in. Józef Robakowski, Stanisław Dróżdż, Maria Stangret). Mamy tu spory przegląd rodzimych osiągnięć tego nurtu sztuki, od jej prekursora Wacława Szpakowskiego, przez klasyków, jak Henryk Stażewski, Stefan Gierowski czy Koji Kamoji. Jednak o szerokiej panoramie zjawiska trudno mówić. Nie ma dzieł zasłużonych postaci, jak Jerzy Grabowski, Andrzej Gieraga czy Ryszard Winiarski, lecz przede wszystkim dotkliwie zabrakło tych, którzy dziś próbują podtrzymać tradycję abstrakcji geometrycznej. Na 31 artystów jest tylko dwójka urodzonych po 1945 r.

PIOTR SARZYŃSKI

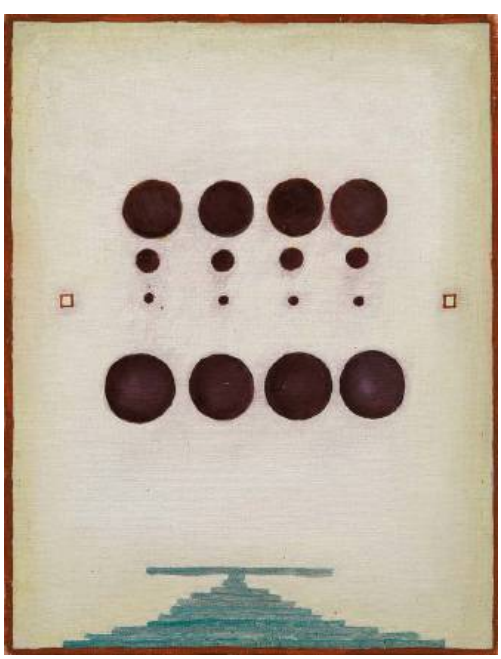

Stanisław Fijałkowski, „24 X 64", 1964 r.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Samo jest 5/6

Krystyna Miłobędzka, **więcej nic**, Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2025, s. 80

Ostatnią, pośmiertnie wydaną książkę poetycką „więcej nic" Krystyna Miłobędzka przygotowywała przez ostatnie lata, zbierając zapiski ze znikania. To znikanie na różne sposoby poetce towarzyszyło. W ostatnich latach milczała, ale jej poezja żyła w projektach innych poetek i artystów: Hani Rani czy Wacława Zimpla. Najnowszy, pięknie wydany tom warto czytać razem z wyborem sprzed pięciu lat „jest/jestem". Wtedy zobaczymy powracające wątki – jak obraz ojca, który zginął w górach. Czy samo zanikanie (jak na okładce), czy przechodzenie na stronę milczenia, to jest poezja, która w swoim minimalizmie staje się oddechem. Powraca też proces gubienia ja, które traci granice, obejmuje wszystkie role życia i rozszerza się na inne stworzenia. W tym wszystkim jest też poczucie zagubienia: „wypadłam sobie z rąk/nie mam się czego chwycić". Niezwykłe są też zapiski przed snem, jakby z granicy dwóch światów, zaludnionego przeszłością i postaciami ze snu czy z innego świata: „dla mnie co dla mnie/małe cieniutkie osoby – skądeś/małe cieniutkie zwierzęta złotka – /skądeś skądeś". W tych wierszach jest nie tyle żegnanie się z życiem, ile pragnienie przejścia. Bardzo poruszająca wydaje się też niepewność słów: wypowiada się je i pisze z trudem, pewny jest za to piasek i wiatr, które zostają. W tym znikaniu ze środka snu, kartki, domu jest też coś jasnego, to „będę". Nawet „nic" jest tutaj pełne. Bliskie, być może, jakiejś pustce mistycznej? Miłobędzka wymaga ostrożności wobec słów. „Żeby beze mnie/żeby samo jest" – zostawia nam autorka do kontemplacji. Wspaniale, że „więcej nic" jest.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Kulisy i smaczki 4/6

Stanley Tucci, **Co zjadłem przez rok (i o czym wtedy myślałem)**, przeł. Piotr Królak, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025, s. 416

Catering na planach filmowych jest zwykle nędzny, nawet we Włoszech. Tak to widzi Stanley Tucci, a z niejednego pieca jadł chleb, skoro uprawia swój zawód – aktora, czasem reżysera – od lat 80. Fenomenalnie zagrał w „Konklawe" kardynała Belliniego – twarz Kościoła progresywnego, kandydata na papieża. W kuchni jest chyba twardszym tradycjonalistą, półśrodków i błędów nie wybacza, jada rzeczy i proste, i wyrafinowane (sos z jelit cielęcia zabitego, gdy jeszcze jest w nim mleko matki – to zapada w pamięć). Książka powstawała m.in. w Rzymie, więc kulisy i smaczki z planu głośnego filmu Edwarda Bergera występują gęsto. „Edward przyszedł na kolację. Cóż za sympatyczny, mądry facet. Proszę, pozwólcie mu obsadzać mnie we wszystkim, co nakręci" – kusi Tucci. To nie jest książka kulinarna, raczej rodzaj dziennika, w którym jedzenie zajmuje centralne miejsce. Nawet gdy Tucci zachorował na raka jamy ustnej, notował, jak zmienił mu się smak. A przy tym to rodzinny typ, który poprzez jedzenie wyraża miłość. Bywa arogancki, gdy utyskuje na jakość („gluty i gnojówka" serwowane pasażerom samolotów). Jego uwagi mogą się zresztą przydać w podróży we Włoszech czy w Londynie. Tucci poza wszystkim jest szarmancki, nigdy protekcjonalny, a bywa też wzruszający. Nie dokarmia pisaniem ego, bo chyba nie musi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Kryminał antropologiczny 4/6

Tony Hillerman, **Tam, gdzie tańczą umarli**, przeł. Olga i Wojciech Kubińscy, Wydawnictwo Oddechy, Katowice 2025, s. 240

Tony Hillerman zdobył popularność tworzonymi od początku lat 70. kryminałami o Joe Leaphornie, policjancie z plemienia Nawahów. Napisał 18 tomów (po jego śmierci serię kontynuuje córka, Anne Hillerman). I choć perspektywa białego autora piszącego o rdzennych Amerykanach może wydawać się wątpliwa, sami Nawahowie zazwyczaj doceniali wysiłek włożony przez pisarza w zgłębienie obyczajów i tradycji Indian. Powieści Hillermana łączą zresztą kryminalną intrygę z antropologiczną wnikliwością i sumiennością. Nawet ich bohater studiował antropologię, co pozwoliło pisarzowi na przemycanie sporej dawki wiedzy bez natrętnego dydaktyzmu narratora. „Tam, gdzie tańczą umarli", druga część cyklu, zaczyna się od podwójnego morderstwa: młodego chłopaka z narodu Zuni oraz ojca jego nawaskiego przyjaciela. Oba plemiona nie żyją ze sobą w zgodzie, więc śledztwo co chwila potyka się o wrogość ze strony Zunich, także władze federalne niechętnie patrzą na udział indiańskiego policjanta w dochodzeniu. Jednak szybko się okazuje, że zbrodnia, która mogła mieć rytualne podłoże, jest częścią znacznie większego problemu. Hillerman opiera fabułę przede wszystkim na obserwacjach i dialogach, dopiero bliżej końca akcja nieco przyspiesza. Dziś pisze się inaczej – zresztą w późniejszych tomach Leaphorn dostaje partnera Jima Chee, co zmienia dynamikę narracji – ale to bez wątpienia cykl, który pozostaje ważnym elementem amerykańskiej popkultury.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, CANAL+, KIERAN FROST/REDFERNS/GETTY IMAGES, NARODOWE MUZEUM SZTUKI UKRAINY, MP (6)

eprasa.pl 3e11af7a1e

Zagubiony w tańcu 4/6

Tyler, the Creator, **Don't Tap the Glass**, Columbia

Na zeszłorocznej, wychwalanej przez krytyków (również na łamach POLITYKI) „Chromakopii" Tyler, the Creator dzielił się rozterkami rapera przekraczającego trzydziestkę. Nowa dekada życia nie wyhamowała twórczego impetu – dziewiąty album „Don't Tap the Glass" opublikował w trakcie trasy promującej poprzednie wydawnictwo. „Pierwsza zasada: ruszamy ciałem. Nikt nie stoi w miejscu" – wita słuchaczy przetworzony vocoderem głos gospodarza, automatycznie kierujący nas do złotej ery disco. Przewrotnie, bo na przestrzeni ledwie 28 minut upchnięto cały przekrój tanecznych stylistyk, od nowoczesnych klubowych brzmień, poprzez disco i funk, po soul. „Spytałem znajomych, dlaczego nie chcą tańczyć publicznie. Odpowiedzieli, że boją się, że ktoś to sfilmuje. Uderzyło mnie, jak bardzo zatraciliśmy naszego ducha w obawie przed staniem się memem" – pisał Taylor w zapowiedziach albumu. Ta potrzeba zatracenia się w tańcu mówi o nim więcej niż większość linijek na płycie zdominowanych przez rapowy humor („Nie ufam białasom w dredach"). I choć album nie ma ciężaru poprzednich wydawnictw, wciąż lepiej się z Tylerem zgubić, niż z innym odnaleźć. Choćby i na parkiecie.

MICHAŁ KLIMKO

Polskie tango 4/6

Warszawskie Combo Taneczne, **Pamiętam twoje oczy**, Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Jeśli napiszemy, że „Pamiętam twoje oczy" ma jakość trzeszczącej płyty gramofonowej, powinno to zabrzmieć jak komplement. Jest bowiem w wielu wymiarach rekonstrukcją atmosfery starej Warszawy, oferuje zanurzenie w przeszłości. Warszawskie Combo Taneczne świętuje swoje 15-lecie, publikując 15 polskich tang. Czyli utworów z nurtu, który – jak przypomina lider grupy Jan Emil Młynarski w towarzyszącym płycie eseju – zmieszał melodykę „romansu cygańskiego, rosyjskiego, dumki, muzyki klezmerskiej i pieśni romantycznej", nadając tej mieszance osobną formę: „liryczną, wolniejszą, duchową". W tych nowych wersjach szlagiery Jerzego Petersburskiego czy Zygmunta Karasińskiego to wciąż rzewne utwory śpiewane historyczną manierą, a zbiór ich interpretacji przygotowanych przez ten (jak się nazywają) retrooktet przenosi w przeszłość, ale też wprowadza w swoisty trans. Nie jest to żaden przełom, ale zgrabne ukoronowanie poszukiwań: muzycznych, historycznych i osobistych, związanych z miłością do miasta, dla którego cały ten arcywarszawski zespół powstał – symbolicznie – 1 sierpnia 2010 r., w rocznicę powstania.

BARTEK CHACIŃSKI

Nie ma strachu 3/6

Alice Cooper, **The Revenge of Alice Cooper**, earMusic

Na okładce 77-letni Alice Cooper i jego koledzy z zespołu zapowiadają „powrót, którego świat się bał". I coś w tym jest, choć niekoniecznie to, co chcieli w tym zawrzeć dawni mistrzowie shock rocka, którzy nagrali pierwszą od ponad 50 lat wspólną płytę (Alice Cooper po 1973 r. to tylko pseudonim solisty, wcześniej także nazwa zespołu). Jakość ma tu gwarantować legendarny producent Bob Ezrin, który współpracował też przy pisaniu piosenek. I całość spełnia oczekiwania – pod warunkiem że były niewielkie, a trudno się było spodziewać czegoś więcej niż miłego gestu po adresem fanów grupy. Gest z wykorzystaniem partii gitarowych nieżyjącego od prawie 30 lat gitarzysty Glena Buxtona (w blues-rockowym „What Happened To You") też wydaje się ryzykowny. Broni się nieźle początek albumu, później mamy momenty ewidentnego muzycznego recyklingu: „Crap That Gets in the Way of Your Dreams" wydaje się tylko echem „All Day and All of the Night" grupy The Kinks, a „What a Syd" – zagubionym utworem The Doors (co ciekawe, gitarzystę tej formacji Robbiego Kriegera słyszymy gościnnie w innym utworze). Można więc zapomnieć o obawach, ale o zachwycie też. BCH

nie przegap

BitterSweet Festival, Poznań, Park Cytadela, 14–16 sierpnia

Najbardziej wyczekiwany debiut roku wśród letnich festiwali. Na poznański BitterSweet Festival zerka branża, ale spoglądają też na program imprezy słuchacze w różnym wieku. Bo rzecz idzie w stronę dwukierunkowości Open'era: coś dla starszych (w tym wypadku wielka gwiazda początku wieku **Nelly Furtado**) i coś dla młodszych (Taco Hemingway z jedynym w tym roku koncertem, Bedoes ze specjalnym programem, Post Malone). Jaka ta widownia będzie, dopiero się dowiemy. BCH

Oddział dla zuchwałych 2 (SAS: Rogue Heroes 2), twórca serii: Steven Knight, 6 odc., Canal+

Zrealizowana w charakterystycznym dla Stevena Knighta („Peaky Blinders") rockowym stylu, oparta na faktach opowieść o początkach formacji SAS – brytyjskich komandosów – podczas drugiej wojny światowej. W pierwszym sezonie oddział wyrzutków operował w Afryce Północnej, w drugim pod wodzą Paddy'ego Mayne'a (Jack O'Connell) sieje postrach wśród nazistów we Włoszech. Bohaterstwo miesza się z brawurą, wojna odciska piętno na psychice żołnierzy, gra aktorska porywa, podobnie jak plenery. AK

W oku cyklonu. Modernizm w Ukrainie, ms2, Łódź, do 1 lutego 2026 r.

Wcześniej wystawa była pokazywana z dużymi sukcesami w Wiedniu, Madrycie i Londynie. To wielowątkowa opowieść o nowoczesnej sztuce rozwijającej się przed drugą wojną światową. Ukraińscy artyści nie wyważali może drzwi do awangardy, ale przechodzili przez nie na własnych warunkach, w których mieszały się wpływy rosyjskie (radzieckie) i polskie, ludowe i żydowskie. Ciekawy obraz sztuki uwikłanej w nieciekawe czasy. P.SA

Ołeksandr Bohomazow, „Ostrzenie pił", 1927 r.

eprasa.pl 3e11af7a1e

Leslie Nielsen w „Nagiej broni" z 1988 r. w reż. Davida Zuckera

Wolne żarty

JAKUB DEMIAŃCZUK

Liam Neeson w nowej „Nagiej broni"

Sukces nowej wersji „Nagiej broni" dowodzi, że publiczność potrzebuje czystej komedii: opartej na nonsensie, brawurze, a czasem ostentacyjnej głupocie. A być może zwiastuje również powrót parodii jako osobnego gatunku filmowego.

eprasa.pl 3e11af7a1e

„Żywot Briana" z 1979 r. brytyjskiej grupy komików Monty Python

Po premierze nowej „Nagiej broni" amerykańscy krytycy rozpływali się w zachwytach. „To obiektywnie najśmieszniejszy film roku. W innych produkcjach są pojedyncze żarty, ta jest serią żartów i większość z nich jest naprawdę, naprawdę, naprawdę cholernie zabawna" – pisał David Ehrlich na łamach „Indiewire". „Oglądajcie ją z największą możliwą publicznością. Może was uleczyć. Może uleczyć świat" – entuzjazmował się na łamach „New York Magazine" Bilge Ebiri, wspinając się na poziom absurdu, jaki nawet w komediach rzadko się spotyka. Głosów krytycznych było niewiele, a i te w większości stonowane, jak gdyby film Akivy Schaffera był największym osiągnięciem komercyjnego kina ostatnich lat. Choć więc „Naga broń" w najlepszym przypadku próbuje naśladować tempo i stylistykę oryginału sprzed 37 lat, komedia z Liamem Neesonem w roli Franka Drebina Jr. okazała się zaskakująco popularna.

Nowa „Naga broń" była tematem rozmów od kilku dekad, plany nakręcenia czwartej części cyklu pojawiły się jeszcze za życia Lesliego Nielsena. Zarzucono je po śmierci aktora, lecz co jakiś czas koncepcja reaktywacji serii wracała przynajmniej w doniesieniach branżowej prasy. Wreszcie, po długich przymiarkach, powstał film, który jest zarówno rebootem (czyli odświeżeniem) cyklu, jak i luźną kontynuacją poprzednich części. A wielu krytyków dostrzegło w filmie zmartwychwstanie komedii, a przynajmniej jej parodystycznej odmiany.

Komedia to najstarszy z gatunków filmowych – „Polewacz polany" znalazł się w pierwszym zestawie filmów pokazywanych przez braci Lumière. Ale pomijając okres kina niemego, gdy rządził slapstick i humor oparty często na fizycznych gagach – od wyrafinowanych akrobacji w wykonaniu Charliego Chaplina i Bustera Keatona, po banalne obrzucanie się kremowymi ciastami – zaskakująco rzadko występuje w stanie czystym. Komedia doskonale sprawdza się jako materiał do przyglądania się relacjom międzyludzkim (tak w filmach Woody'ego Allena, jak i w komediach romantycznych), a jeszcze lepiej jako krzywe zwierciadło podstawione społeczeństwu. Świetnie łączy się z innymi gatunkami filmowymi, od kryminału i horroru po widowiska o superbohaterach. Lecz coraz trudniej w kinach czy w streamingu natknąć się na komedię zrobioną z czystej potrzeby rozbawiania widzów. Być może najczęściej po absurdalny, oderwany od rzeczywistości humor sięga w ostatnich latach francuski reżyser i muzyk Quentin Dupieux.

Pythoni i inni

Wśród licznych odmian komedii parodia należy do najwcześniejszych. Już w 1905 r. Edwin S. Porter nakręcił film „Mały napad na pociąg", parodię wcześniejszego o dwa lata własnego „Wielkiego napadu na pociąg", z całkowicie dziecięcą obsadą. Gdy jakiś gatunek filmowy zyskiwał wielką popularność, niemal automatycznie pojawiali się twórcy, którzy wywracali jego reguły na lewą stronę: Buster Keaton kpił z wielkich historycznych widowisk, bracia Marx – z musicali, a Abbott i Costello – z horrorów wytwórni Universal. W późniejszych latach komicy reagowali jeszcze szybciej: parodia filmów o Bondzie „Casino Royale" (nie mylić z późniejszą wersją, w której agenta 007 grał Daniel Craig) pojawiła się w kinach ledwo pięć lat po sukcesie „Doktora No".

W latach 70. parodia stała się właściwie odrębnym gatunkiem filmowym. Sygnał do startu dali już wcześniej Brytyjczycy nierówną serią „...do dzieła" („Carry On") i telewizyjnymi serialami „Do Not Adjust Your Set" i „At Last the 1948 Show", prowadzącymi bezpośrednio do „Latającego cyrku Monty Pythona". Pythoni zdekonstruowali telewizyjne (i filmowe – wystarczy przypomnieć sobie ich wyborną parodię kina Sama Peckinpaha) schematy, rozebrali je na czynniki pierwsze, odarli z patosu i powagi. W Stanach Zjednoczonych parodystyczną szarżę przypuścił na pełną skalę Mel Brooks: tylko w 1974 r. premierę miały dwie wybitne ▶

© EAST NEWS, BE&W (2)

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ komedie: „Płonące siodła” i „Młody Frankenstein”, kilka lat później dołożył „Nieme kino”, fenomenalnie wyśmiewający dzieła Hitchcocka „Lęk wysokości”, a w latach 80. jeszcze „Kosmiczne jaja”, parodię „Gwiezdnych wojen”, swoją drogą nakręconą z błogosławieństwem George’a Lucasa. Także na początku lat 70. Pythoni przenieśli się z telewizji na kinowe ekrany, rozbawiając – a w przypadku drugiego filmu także szokując – widownię „Świętym Graalem” i „Żywotem Briana”.

Zarówno Brooks, jak i brytyjska trupa komików odwoływali się do doskonale znanych wzorców kulturowych: ten pierwszy do westernów, klasycznych horrorów i kina epoki niemej, ci drudzy do eposów historycznych i religijnych, przy czym zachowywali znaną z telewizji skeczową, epizodyczną strukturę. Na przygotowany przez nich grunt pod koniec lat 70. wkroczyło trio ZAZ: bracia Jerry i David Zuckerowie oraz ich przyjaciel z dzieciństwa Jim Abrahams. Trzej komicy już na początku dekady zaczęli pracować nad scenariuszem filmu złożonego z absurdalnych skeczy, lecz nie byli w stanie namówić na finansowanie żadnego producenta. „The Kentucky Fried Movie” – tytuł nawiązywał oczywiście do znanej sieci fast foodów – napisany przez ZAZ i wyreżyserowany przez Johna Landisa, powstał w końcu w 1977 r., zebrał umiarkowane recenzje, ale publiczności się spodobał. Oglądany po latach wydaje się nierówny, miejscami błyskotliwy, kiedy indziej infantylny i ryzykowny (już w pierwszej minucie seansu pojawia się fałszywa reklama firmy zbierającej olej z pryszczy, grzebieni Włochów oraz hamburgerów), otworzył jednak Abrahamsowi i Zuckerom drogę do kariery.

Jej kolejnym etapem była histerycznie zabawna parodia kina katastroficznego, które w latach 70. było w amerykańskich kinach wszechobecne. „Airplane!” – polskie tłumaczenie „Czy leci z nami pilot” gubi, niestety, absurdalną prostotę tytułu – poświęca logikę fabuły (cierpiący na PTSD pasażer musi zastąpić pilotów samolotu, którzy ulegli zatruciu pokarmowemu) na rzecz sypanych gęsto żartów: mądrych i głupich, prostackich i złożonych, ale podawanych w tempie, za którym nawet dziś trudno nadążyć. Mieszała się tu komedia fizyczna i sytuacyjna ze slapstickiem i grami słownymi. I znów sukces zapewniło umiejętne rozpracowanie i ośmieszenie gatunkowych klisz.

Komik z kamienną miną

„Tempo, w jakim rozgrywa się akcja, narodziło się w teatrze – wspominał po latach Jerry Zucker w wywiadzie dla „Guardiana”. – Nie byliśmy prawdziwymi aktorami, tylko performerami. Nie potrafiliśmy kreować postaci. Umieliśmy tylko pisać żarty i je odgrywać. Wielu ludzi mówiło, że po spektaklu od śmiechu bolały ich szczęki – i chcieliśmy osiągnąć ten sam efekt w filmie”. Swoją drogą spektakle Zuckerów i Abrahamsa były jedną z inspiracji dla Lorne’a Michaelsa, twórcy „Saturday Night Live”, programu, który nie tylko okazał się gigantycznym sukcesem (nadawany jest do dziś), lecz przede wszystkim był wylęgarnią największych komicznych talentów amerykańskiej rozrywki. Na planie „Czy leci z nami pilot” ZAZ po raz pierwszy współpracowali też z Lesliem Nielsenem, wywracając jego karierę do góry nogami: ceniony aktor dramatyczny z bogatym dorobkiem okazał się fenomenalnym komikiem, który nawet największe bzdury wygłaszał na ekranie z kamienną miną.

Współpraca Zuckerów i Abrahamsa trwała niewiele ponad dekadę: wspólnie zrealizowali serial „Brygada specjalna” i pierwszą część „Nagiej broni”, jego filmowej kontynuacji, parodię filmów szpiegowskich „Ściśle tajne”, a także obyczajową komedię „Bezlitośni ludzie”. Później ich drogi artystyczne się rozeszły, lecz zarówno Zuckerowie, jak i Abrahams dokładali swoje trzy grosze do rozmaitych parodii: kolejnych części „Nagiej broni”, „Strasznego filmu” i „Hot Shots!”, lecz niestety także do coraz słabszych produkcji w stylu „Zagniewanych młodocianych”. ZAZ odcisnęli swoje piętno na filmowej komedii na długie lata, doczekali się również licznych naśladowców, z reguły jednak pozbawionych ich błyskotliwości i wyczucia komizmu.

Zresztą w drugiej połowie lat 90. parodystyczny nurt zaczął zjadać własny ogon, filmów wciąż powstawało sporo, ale rzadko kiedy wartych zapamiętania. Nawet mistrz Brooks potykał się o coraz mniej zabawne scenariusze, a „Dracula – wampiry bez zębów” (oczywiście z Lesliem Nielsenem w roli głównej) okazał się przykrym zakończeniem jego reżyserskiej kariery. Gatunek całkowicie stracił popularność za sprawą Jasona Friedberga i Aarona Seltzera, którzy seryjnie kręcili gnioty w stylu „Poznaj moich Spartan”, „Wampirów i świrów” czy „Totalnego kataklizmu”. „Oglądanie ich filmów to jak patrzenie na dzieci próbujące narysować własne »Zwariowane melodie« lub odgrywać skecze z »Saturday Night Live«: niby wiedzą, jak powinno to wyglądać, ale brak jakiegokolwiek rzemiosła sprawia, że efekt nie jest nawet zadowalająco amatorski” – pisał krytyk na łamach „Guardiana”.

Naga komedia

Nowa „Naga broń” – niezależnie od ostatecznej oceny filmu – jest próbą przywrócenia filmowym parodiom dawnej świetności. Porównania z oryginalnymi dokonaniami tria ZAZ nie ma szans wytrzymać, raczej składa im hołd, świadomie powtarzając nawet część gagów z wcześniejszych filmów. Bawi przede wszystkim dlatego, że uruchamia w widzach pokłady nostalgii, choć Liam Neeson ze swoją przytłaczająco poważną ekranową prezencją okazał się dobrym następcą Lesliego Nielsena. „Naga broń” sprawia wrażenie dzieła zrobionego przez fanów dla fanów, chyba w samym założeniu nieszukającego sposobu na odświeżenie sprawdzonej przed laty formuły.

Oczywiście problem w tym, że komedia jako gatunek się radykalnie przez lata zmieniła. Humor starzeje się bardzo szybko, to, co wydawało się zabawne jeszcze kilkanaście lat temu, dziś może być uważane za niestosowne. Część widzów pewnie zechciałaby zrzucić winę na polityczną poprawność i ideologię „woke”, wymyślone przez konserwatywną prawicę, by mogła narzekać na społeczny progres, lecz przecież nie chodzi tu o zmieniającą się wrażliwość kolejnych pokoleń widzów. Przeciwnie: występy stand-uperów, „South Park”, komediowe projekty Sachy Barona Cohena, a nawet popularne przeboje w stylu „Kac Vegas” czy „Jaj w tropikach” – nie mówiąc już o całej internetowej memosferze – niemal całkowicie zlikwidowały tematy tabu. Przesunęły granice tego, co dopuszczalne, tam, gdzie Brooksowi i trójce ZAZ się przed laty nie śniło.

Na ich tle żarty w „Nagiej broni” wydają się dziś łagodne i przewidywalne. To humor wielokrotnie przetestowany, nawet w swoim najbardziej pikantnym czy absurdalnym wydaniu bezpieczny, trochę jak piosenki „Weird Ala” Yankovica, który tradycyjnie pojawia się w „Nagiej broni” w epizodycznej roli. W czasach swojej największej popularności słynny parodysta szydził z największych przebojów (jeden z nich, „Amish Paradise”, kpiarska wersja „Gangsta’s Paradise” rapera Coolio, zostaje nawet w nowym filmie

eprasa.pl 3e11af7a1e

Komedia „Lęk wysokości" Mela Brooksa (na fot. z prawej) **z 1977 r.**
Poniżej: **„Kosmiczne jaja" z 1987 r. – jego parodia „Gwiezdnych wojen".**

przywołany wprost), ale nigdy nie przekraczał granicy, za którą emisji klipu odmówiłaby MTV.

Tymczasem subwersywna komedia wymaga przekroczeń, nieustannego szturchania mózgu. Nie musi być wcale obraźliwa ani agresywna, zresztą trudno pójść dalej niż „South Park" czy „Borat". „Gdy coś parodiujesz, odsuwasz prawdę na bok. Przy »Płonących siodłach« wywaliliśmy prawdę na ulicę. Mówiłem scenarzystom: »Piszcie, co chcecie. I tak nikt już o nas nie usłyszy. Za zrobienie tego filmu skończymy w więzieniu«" – wspominał Mel Brooks w swojej autobiografii „All About Me!".

Wychwalając „Nagą broń", amerykańscy krytycy nie mylą się na pewno w jednym: od dawna nie było w mainstreamowym (przynajmniej hollywoodzkim) kinie czystej gatunkowo komedii, zbudowanej niemal wyłącznie z niekończącej się serii gagów. Sam gatunek ma się nieźle: ma swoje ikony, utalentowane (jak Seth Rogen, Awkwafina czy Will Ferrell) lub przynajmniej charyzmatyczne (Ryan Reynolds, Adam Sandler). Lepiej sobie radzi w streamingu niż w kinach – wystarczy obejrzeć serial „Hacks" czy „Studio", żeby się o tym przekonać – choć bywa konfundujący. Fakt, że serial „The Bear" rywalizuje o Złote Globy w kategoriach komediowych, świadczy, że nawet krytycy nie zawsze wiedzą, czym dziś komedia jest lub być powinna.

Z „Nagą bronią" jest łatwiej i bezpieczniej. Tu nie ma mowy o zacieraniu gatunkowych granic i skomplikowanej grze z widzami. Śmieszna czy nie (rzecz gustu), bez wątpienia jest komedią, i to taką wyjętą żywcem z lat 90. Jej sukces, na razie mierzony pozytywnymi recenzjami, bo w kinach film jeszcze nie zwrócił kosztów produkcji, może się jednak okazać początkiem renesansu filmowej parodii. 99-letni Mel Brooks pracuje nad drugą częścią „Kosmicznych jaj" (choć nie będzie jej reżyserował), która ma trafić do kin w 2027 r. Wcześniej zobaczymy drugą część rockowego mockumentu „Oto Spinal Tap" i szóstą odsłonę „Strasznego filmu", a niektóre media donosiły nawet o pracach nad czwartą częścią „Austina Powersa". Materiału do wyśmiewania nie brakuje. Pytanie tylko, czy zagubione w pętli nieustannych sequeli, rebootów i remake'ów Hollywood samo już dostatecznie nie skompromitowało gatunkowych schematów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© BE&W (2)

eprasa.pl 3e11af7a1e

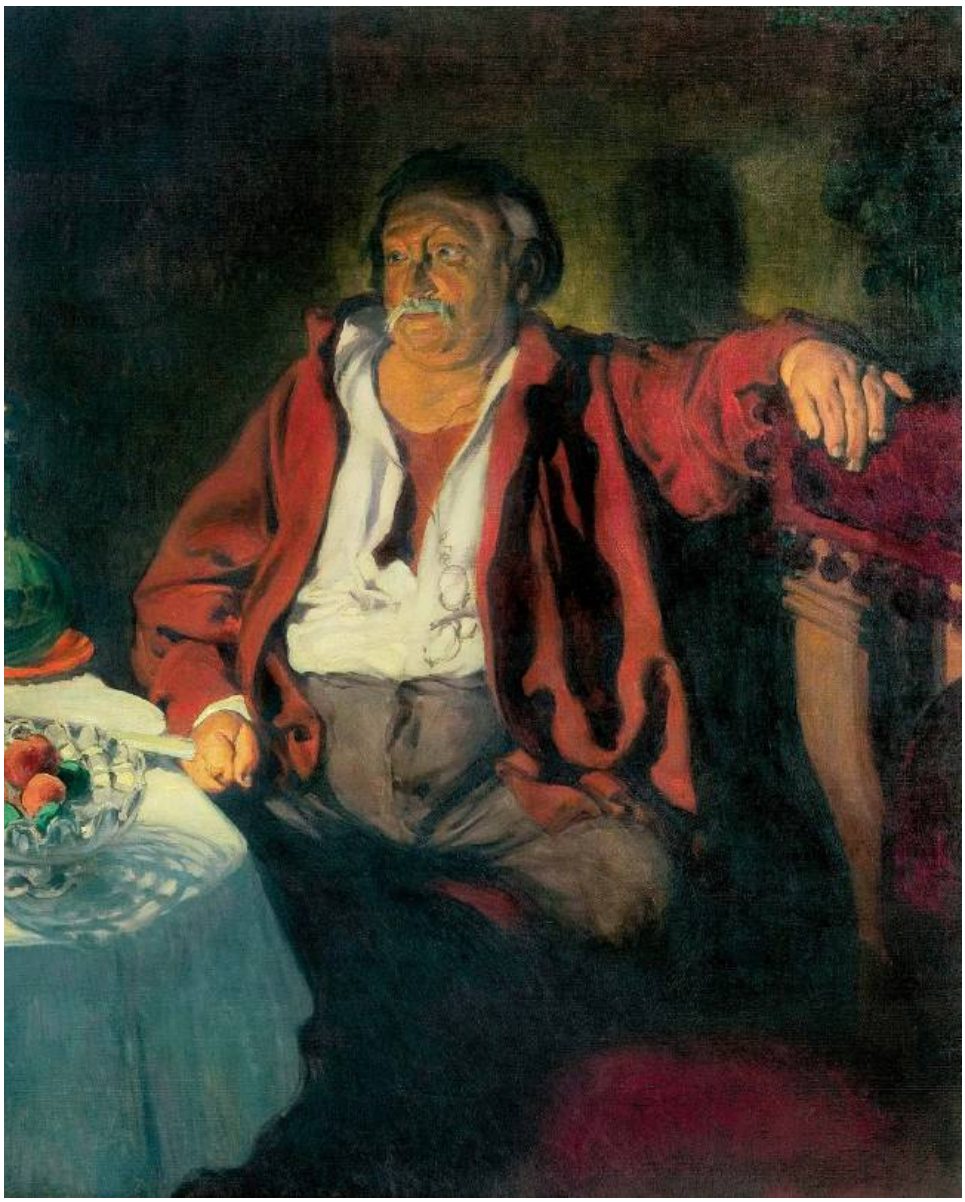

Kompozycja z depozytem

ZBIGNIEW BOREK

Fakt, że dzieło sztuki jest eksponowane w Muzeum Narodowym, nie oznacza, że należy do narodu. Przypomina o tym przypadek Domu Józefa Mehoffera. Spieszmy się oglądać zgromadzone tam obrazy, bo szybko znikają.

Obraz „Chrystus Król" pędzla Józefa Mehoffera zniknął z domu artysty w 2018 r. Cztery lata później został sprzedany na aukcji za 2 mln 460 tys. zł (z opłatą aukcyjną). W 2021 r. za 2 mln 760 tys. zł sprzedano na aukcji „Portret Aleksandra Dejeana", który był eksponowany w Domu Józefa Mehoffera do 2019 r. Od początku funkcjonowania domu jako placówki muzealnej (jest oddziałem Muzeum Narodowego w Krakowie) podobny los spotkał 27 dzieł, aż 16 z nich w ostatniej dekadzie – nie tylko obrazów, ale też szkiców do obrazów, witraży i kartonów (szablonów) do witraży. Na ścianach pozostają po nich odbarwienia. – *Dyrekcja się denerwuje, bo muzeum traci bezcenne dzieła sztuki, wielbiciele malarstwa Mehoffera też załamują ręce, bo pamiętają, że nie takie były intencje spadkobierców malarza, gdy zabiegali o przekształcenie jego domu w muzeum* – twierdzi nasz rozmówca, który zna sprawę od podszewki.

W przypadku Domu Józefa Mehoffera mamy do czynienia z całkowicie legalnym wycofywaniem depozytów. Zwykle stanowią niewielki odsetek muzealnych zbiorów. Według danych GUS za 2023 r. w polskich muzeach na 21,4 mln muzealiów (obiektów będących ich własnością) przypada 1,3 mln depozytów. W Domu Józefa Mehoffera depozytem jest jednak aż co piąty (106 spośród 497) obiekt znajdujący się na ekspozycji, bo taki jest charakter i historia tego miejsca, taka też była wola rodziny artysty.

© MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 3e11af7a1e

Licytacja obrazu Józefa Mehoffera „W oranżerii" w warszawskim domu aukcyjnym.
Na sąsiedniej stronie: **„Portret Aleksandra Dejeana" sprzedany w 2021 r. za 2 mln 760 tys. zł.**

Prywatna rzeczywistość

Józef Mehoffer (1869–1946) to jeden z najważniejszych artystów Młodej Polski. Absolwent krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych (później jej profesor i rektor), uczeń Jana Matejki, szeroką sławę zdobył, gdy jako 26-latek pokonał ok. 50 renomowanych rywali w konkursie na projekt witraży w katedrze św. Mikołaja we Fryburgu (realizacja wpłynęła na odrodzenie sztuki sakralnej Szwajcarii). Był twórcą autoportretów, obrazów portretowych, kompozycji inspirowanych płótnami impresjonistycznymi i secesyjnymi. Współcześni znali go też z projektu słynnego stuzłotowego banknotu z 1932 r. W tym też roku Mehoffer kupił w Krakowie dom przy ul. Krupniczej 26. Tak się złożyło, że dzieciństwo spędził w nim Stanisław Wyspiański, jego rówieśnik, szkolny kolega, potem współpracownik.

Dom z pięknym półdzikim ogrodem był spełnieniem marzeń Mehoffera. Przeprowadził w nim generalny remont, nadając mu cechy rodzinnej siedziby nazwanej „Pałacykiem pod szyszkami" (od piniowych szyszek dekorujących hol i klatkę schodową). Po śmierci artysty w domu pełnym dzieł sztuki, archiwaliów i pamiątek pozostała rodzina. Na co dzień „czuć było atmosferę kultu i ukochania pradziadka", jak mówiła jedna z jego prawnuczek w dokumencie TVP „Junio. Magiczny świat Józefa Mehoffera" autorstwa Marty Węgiel. W 1963 r. syn malarza Zbigniew zaczął zabiegi o utworzenie muzeum. W 1986 r. zgodnie z wolą rodziny dom z parcelą przekazano Muzeum Narodowemu w Krakowie, a dekadę później po pracach remontowych i konserwatorskich otwarto muzeum Józefa Mehoffera. Ekspozycja zajmuje 16 pomieszczeń, w których jest autentyczne wyposażenie, meble, biblioteka, rzemiosło, lampy, japońskie drzeworyty, rzeźby, tkaniny, materiały ikonograficzne, fotografie, pamiątki rodzinne, ale przede wszystkim prace Józefa Mehoffera. Odtworzono też zaprojektowany przez Mehoffera ogród.

– *Chodziło o to, żeby jego spuścizna zachowała się w miejscu, gdzie artysta żył i tworzył. W ramach umowy spadkobiercy otrzymali dwa mieszkania w Krakowie. Dzieła zaś oddali w depozyt tylko dlatego, żeby zachować nad nimi kontrolę, gdyby np. dyrekcja zechciała podzielić kolekcję* – mówi nasz rozmówca. I dodaje: – *Nikomu do głowy nie przyszło, że zagrożenie dla kolekcji i placówki może przyjść ze strony potomków malarza.*

Muzeum Narodowe w Krakowie odmawia podania danych o tym, kto personalnie wycofał depozyty, ale z naszych ustaleń wynika, że prawo własności do dzieł artysty i decydowania o depozytach odziedziczyły jego dwie prawnuczki. Z jedną z nich – Anną Mehoffer-Lewandowską z Krakowa – udało nam się skontaktować. Odmówiła rozmowy, stwierdzając, że dla spuścizny pradziadka wraz z rodziną zrobiła wystarczająco dużo, ma też prawo do dysponowania swoją własnością w sposób, jaki uznaje za właściwy.

– *I dokładnie tak to wygląda od strony prawnej, ale w Polsce panuje przekonanie, że dzieła sztuki są własnością narodu i powinny wisieć w muzeach. A jak należą do osoby prywatnej, to muzeum powinno je natychmiast odkupić albo ta osoba powinna oddać je do muzeum za darmo, bo inaczej jest „podejrzana"* – mówi Konrad Szukalski, prokurent Agra-Art, jednego z najstarszych i największych domów aukcyjnych w Polsce.

Jako przykład podaje sprawę obrazu Jacka Malczewskiego „Rzeczywistość". Przez prawie 100 lat był uznany za zaginiony. Wzbudził ogromne emocje, gdy na przełomie lat 2021 i 2022 pojawił się na austriackiej wersji portalu eBay. Trafił do Polski i został sprzedany na aukcji pod koniec 2022 r. za rekordowe 20,4 mln zł, po czym został „aresztowany" (bo po wojnie miał opuścić ojczyznę nielegalnie). W połowie czerwca 2025 r. ponownie znalazł się na aukcji. I znów pobił krajowy rekord, osiągając cenę 22,2 mln zł.

– *Przez cały ten czas w internecie postulowano, często w niewybredny sposób, żeby obraz jako „dobro narodowe" wykupiło państwo, rząd czy „jakieś publiczne muzeum"* – mówi Konrad Szukalski. „Rzeczywistość" kupił prywatny kolekcjoner, choć obraz mógł trafić do Muzeum Narodowego w Warszawie. Nie skorzystało ono jednak z prawa pierwokupu.

Ostatnia szansa

Prawo pierwokupu muzea zastrzegają sobie w umowach z właścicielami w zamian za przechowywanie, eksponowanie, konserwację i ochronę należących do nich dzieł sztuki. Szkopuł w tym, że często nie mogą z tego prawa skorzystać, bo nie mają za co. – *Nie funkcjonuje centralny fundusz na wykup depozytów, ale każdy organizator, czyli organ prowadzący muzeum, może udzielić dotacji na ten cel* – mówi dr Paulina Florjanowicz, dyrektorka Narodowego Instytutu Muzeów. W Instytucie też można składać wnioski o zakup muzealiów, w tym wykup depozytów. Program „Rozbudowa zbiorów muzealnych" dysponuje rocznym budżetem 3,5 mln zł, maksymalna dotacja sięga 500 tys. zł i chętnych jest zwykle więcej niż pieniędzy.

Skoro nie ma rozwiązań systemowych, wykup depozytów odbywa się doraźnie, od przypadku do przypadku. Najgłośniejszym (i najdroższym) ▶

REKLAMA

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ przypadkiem był rządowy zakup za 100 mln euro kolekcji książąt Czartoryskich w 2016 r. ze słynną „Damą z gronostajem" Leonarda da Vinci. Kolekcja liczy 86 tys. obiektów muzealnych, w tym dzieła największych europejskich artystów i zbiory narodowych pamiątek (buławy hetmańskie, trofea wiedeńskie, pamiątki po Kościuszce i Chopinie) oraz 250 tys. obiektów bibliotecznych: książek, starodruków i rękopisów. Umowa objęła związane ze zbiorami nieruchomości, a także roszczenia wobec dóbr kultury wchodzących w skład kolekcji, które zostały utracone podczas drugiej wojny światowej.

Zakup kolekcji wywołał kontrowersje. Zarząd Fundacji Książąt Czartoryskich, czyli organ prawnie odpowiedzialny za kolekcję, złożył rezygnację, twierdząc, że był pomijany w negocjacjach z rodziną Czartoryskich. Ówczesna opozycja mówiła o „gigantycznej aferze" i działaniu państwa na korzyść jednej rodziny, domagała się śledztwa i dymisji ministra kultury Piotra Glińskiego, bo Fundacja Czartoryskich miała obowiązek udostępniania dzieł, obowiązywał zakaz ich rozdziału i wywozu z kraju. Zwolennicy transakcji podkreślali, że sama „Dama z gronostajem" była warta kilka razy więcej.

– *Z punktu widzenia interesów Skarbu Państwa zakup kolekcji Czartoryskich był niebywale korzystny, bo dziś szacuje się, że 100 mln euro wydane na ten cel to zaledwie 5 proc. jej wartości* – mówi dr Florjanowicz. Monika Bryl, historyczka sztuki i socjolożka: – *Powinniśmy postawić sobie pytanie nie o to, czy stać nas na zakup dzieł i dóbr kultury narodowej, ale o to, czy jako społeczeństwo możemy sobie pozwolić, żeby trafiały na wolny rynek.*

Na to pytanie odpowiedzieli sobie Brytyjczycy, i to już pod koniec lat 70. Rząd odmówił wtedy odkupienia od spadkobierców zabytkowego Mentmore Towers, jednego z najwspanialszych domów epoki wiktoriańskiej. Zabytek, a z nim dzieła sztuki i wyposażenie, został zlicytowany w domu aukcyjnym Sotheby's. Oburzenie opinii publicznej doprowadziło do powołania w 1980 r. The National Heritage Memorial Fund (Narodowy Fundusz Pamięci Dziedzictwa), który wspiera finansowo zakup, konserwację i utrzymanie zabytkowych obiektów i dzieł sztuki. Od rządu Wielkiej Brytanii otrzymuje coroczną dotację (obecnie 5 mln funtów, czyli ok. 24,5 mln zł), pozyskuje też pieniądze z innych źródeł, w latach 1980–2020 wydał 368 mln funtów (1,8 mld zł).

Dom-muzeum Józefa Mehoffera przy ul. Krupniczej w Krakowie

O tym, komu przyznać grant, decyduje niezależna rada powiernicza, procedura jest przejrzysta i wsparta ministerialną kontrolą, a ocalone skarby narodowe są „pomnikiem dla tych, którzy zginęli za Wielką Brytanię". U nas tymczasem kolejne ekipy rządowe licytują się, komu stawiać pomniki, a nie jak sprawić, żeby państwo stało się istotnym i przewidywalnym graczem na rynku sztuki.

Potrzeby wyższego rzędu

Polski rynek dzieł sztuki wciąż jest na wczesnym etapie rozwoju, ale zainteresowanie nim rośnie, bo rozwinęła się nasza wrażliwość estetyczna, traktujemy to też jak inwestycję. Według GUS w zeszłym roku wydaliśmy na zakup dzieł sztuki i antyków 657 mln zł, w tym 404 mln zł na aukcjach. Antykwariusze dbają więc o to, żeby było czym handlować i wciąż doskonalą metodę zarabiania na depozytach. – *Jeśli obraz wisiał w galerii renomowanego muzeum razem ze skarbami narodowej sztuki, ma „certyfikat jakości", który pozwala dyktować wyższą cenę. Niektórzy antykwariusze odnajdują więc właścicieli depozytów i motywują ich do sprzedaży* – tłumaczy jeden z ekspertów. Jak dodaje, muzea bywają traktowane jak sklepy, a dzieła sprzedawane są wprost z wystawy.

W latach 90. antykwariusze uciekali się do triku: dawali obrazy do oceny muzeum (najlepiej prestiżowemu), a nawet gdy ono nie przyjmowało go do depozytu, przy sprzedaży wykorzystywali fakt, że obraz w tym muzeum „był". – *Dziś z tych samych powodów chętnie oferują prace na wystawy czasowe albo do depozytów krótkoterminowych, których z kolei unikają muzea, bo depozytów mają stosunkowo dużo, ale dzieł sztuki wśród nich znacznie mniej* – mówi Konrad Szukalski z Agra-Art.

Wartością dodaną może być miejsce sprzedawanej pracy w twórczości artysty. Tak było z rysunkiem Józefa Mehoffera, który klient Agra-Art kupił w konkurencyjnym domu aukcyjnym w Polsce za ok. 9 tys. zł, a potem okazało się, że jest to szkic do ważnego, ale zaginionego dzieła. To podniosło wartość rysunku i na kolejnej aukcji klientowi udało się go sprzedać za dwukrotnie większą kwotę.

– *Nie można wszystkiego sprowadzać do pieniędzy. Liczą się potrzeby wyższego rzędu* – zauważa z kolei Maciej Radziwiłł, przedsiębiorca i działacz społeczny. Wywodzi się z rodziny szlacheckiej pieczętującej się herbem Trąby, jest wnukiem Konstantego Mikołaja Radziwiłła, właściciela Zegrza, synem Alberta Hieronima i Anny Marii z Czartoryskich. Zasiadał w nowym zarządzie Fundacji Książąt Czartoryskich, gdy podpisała umowę

eprasa.pl 3e11af7a1e

o przekazaniu Skarbowi Państwa kolekcji Czartoryskich oraz jej nieruchomości. – *Czasem kolekcja przerasta możliwości właściciela, a naszej fundacji brakowało pieniędzy. Sprzedaż kolekcji państwu pozwoliła zachować ją jako spójną całość i udostępnić publiczności w godnych warunkach* – mówi Maciej Radziwiłł.

Ze środków Fundacji Książąt Czartoryskich uposażył założoną przez siebie w 2017 r. Fundację Trzy Trąby, która skupuje dzieła sztuki i pamiątki historyczne na całym świecie. W 2019 r. z prywatnych zbiorów w Limie odkupiła 20 wyjątkowych dzieł, m.in. XVI-wieczne portrety króla Jana III Sobieskiego oraz jego żony, królowej Marysieńki. Maciej Radziwiłł jako osoba fizyczna jest właścicielem ok. 300 eksponatów znajdujących się w różnych muzeach. Depozyty jego oraz fundacji stanowią trzon niektórych ekspozycji. Tak jest np. w Pałacu Radziwiłłów w Nieborowie. Dawna posiadłość rodowa ma dziś status oddziału Muzeum Narodowego w Warszawie. Kolekcja Czartoryskich jest z kolei prezentowana w Muzeum Książąt Czartoryskich, które stało się integralną częścią krakowskiego Muzeum Narodowego. Podobnie jak Dom Józefa Mehoffera, który wykupuje depozyty z kolekcji Mehofferowskiej, żeby muzeum nie straciło racji bytu. I sporo na ten cel wydaje.

Muzealne pełzanie

Dla dyrekcji Domu Józefa Mehoffera i Muzeum Narodowego w Krakowie sytuacja jest kłopotliwa – dość powiedzieć, że nikt nie chciał z POLITYKĄ o tym rozmawiać, a listę wycofanych depozytów uzyskaliśmy po kilku miesiącach wymiany maili. „W ciągu 29 lat istnienia Domu Józefa Mehoffera jego ekspozycja ulegała zmianom w związku z wycofywaniem zdeponowanych dzieł przez spadkobierców artysty. Wycofywane depozyty były każdorazowo zastępowane przez inne jego dzieła” – czytamy w stanowisku Muzeum.

Muzeum najwyraźniej ściga się z czasem i próbuje ograniczyć zubożenie ekspozycji: w minionej dekadzie odkupiło 73 depozyty z Domu Józefa Mehoffera. Zapłaciło ponad 11 mln zł, głównie w ramach programu „Kolekcje muzealne” oraz celowych dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Udało się dzięki temu zakupić m.in. dwa olejne płótna Mehoffera pokaźnego formatu – „Św. Teresa z Lisieux” (1929 r.) i „Mleczna Droga” (1923 r.) – stanowiące centralny motyw ekspozycji w Pokoju Józefa Mehoffera. Kolejnym odkupionym dziełem o strategicznym znaczeniu dla ekspozycji jest temperowe malowidło Mehoffera na tynku „Zachwycone Anioły” (1901 r.), od czasów artysty prezentowane w Pokoju Japońskim. Skompletowano też wielkoformatowe kartony wykonawcze do witraży fryburskiej katedry – jednego z najważniejszych, najcenniejszych zespołów z zakresu polskiej sztuki dekoracyjnej.

„(...) została zabezpieczona w swym zrębie, w swej najistotniejszej części, ta partia ekspozycji Domu Mehoffera, którą można uznać za historyczną (...) – podsumowuje Muzeum Narodowe w Krakowie w swoim stanowisku. A na stronie internetowej zaprasza na „Museum Crawl” (dosłownie: muzealne pełzanie), które pozwala zwiedzić Dom Mehoffera w pakiecie z Muzeum Czartoryskich.

ZBIGNIEW BOREK

© WIESŁAW M. ZIELIŃSKI/EAST NEWS

REKLAMA

Hip-chłop

O rapowej chłopomanii, czyli jak polski inteligent pokochał fantazję o życiu bohatera ulicy i stworzył jego imitację.

ŁUKASZ KRAJNIK

Spektakl „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy"

Naszą popkulturową współczesność definiują filmowi „Chłopi", książkowe „Chłopki" i „lud", który najbardziej medialni przedstawiciele humanistyki odmieniają przez wszystkie przypadki. Co prawda nie żyjemy już w młodopolskich realiach, lecz chłopomania zdaje się wciąż powszechną społeczną obsesją. Fiksacją nie tyle na punkcie mas ludowych, ile ukierunkowaną na wyimaginowaną cnotliwość „prostego" bezpretensjonalnego człowieka.

Zaktualizowana figura dobrodusznego chłopa jest jeszcze bardziej uniwersalna niż za Reymonta i Wyspiańskiego. Dziś wcale nie musi reprezentować wiejskiego proletariatu. Wystarczy, że będzie jak ulał pasować do roli szlachetnego barbarzyńcy. Kogoś, kto nie potrafi się odnaleźć na salonach i właśnie dlatego stanowi dla owych salonów niezwykle atrakcyjne wyzwanie: dzikie zwierzę do udomowienia.

Ta chłopomania, jak każdy kulturowy trend, najwyraźniej zarysowuje się w ramach najbardziej popularnych gałęzi sztuki. Jej obecność jest wyczuwalna w dziełach kina, literatury pięknej i naukowej. Jednak naprawdę wyraźnych konturów nabiera w kontekście muzycznym – hip-hopu, czyli nurtu, który od blisko dwóch dekad jest w sensie socjologicznym, politycznym i ekonomicznym naszym ulubionym produktem importowanym, a zarazem czołowym skarbem narodowym.

Uliczne wcielenie

Rapowa chłopomania w tradycyjnym „młodopolskim" wydaniu każe inteligentowi z dobrego domu gustować nie w twórcach inteligenckich – felietonowym Łonie czy wychowanym w dobrobycie Macie. To zakładałoby ryzyko konfrontacji – inteligent słuchający drugiego inteligenta opowiadającego o żywocie inteligenta przegląda się w lustrze w najmniej korzystnym świetle. A chłopomania jest gestem eskapistycznym. Nie fetyszyzuje się chłopa (w tym wypadku – ulicznego rapera), by walczyć o wolność, równość i braterstwo. Robi się to przede wszystkim ze względu na własne samopoczucie. Pełne zaangażowanie wyobraźni w fantazję o alternatywnym stylu życia pozwala odwrócić wzrok od konwencjonalnej nudy własnej egzystencji.

Drugą formę hiphopowej chłopomanii możemy nazwać imitacyjną. Idzie o krok dalej od tradycyjnej, odtwórczej, i przekuwa fascynację w kreację własnej fantazji. Tak jak uczestnik LARP-ów (Live Action Role-Playing), gier fabularnych na żywo, przebiera się w strój średniowiecznego rycerza i wyrusza na pojedynek z terroryzującym miasteczko smokiem, mieszkaniec zamkniętego osiedla wkłada strój blokersa i wyrusza szlifować diament zaklęty w betonowych dżunglach III RP. Fantazja o życiu „ulicy" pociąga artystów takich jak Dorota Masłowska, Wojciech Bąkowski czy duet Syny. Ci twórcy mocno ukochali sobie egzystencjalne rozterki rapowych barbarzyńców. Do tego stopnia, że uczynili z nich atrakcyjną, trochę campową, trochę ironiczną estetykę.

Dorota Masłowska to autorka „pierwszej powieści dresiarskiej" („Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną") i „pierwszej powieści hiphopowej" („Paw królowej"), a także dwóch albumów muzycznych flirtujących z rapową stylistyką – pod szyldem Mister D. („Społeczeństwo jest niemiłe") oraz po prostu jako DOROTA („Wolne"). Nie byłoby więc nadużyciem stwierdzenie, że kultura uliczna stanowi fundament niemal całej jej kariery.

Oba projekty muzyczne pisarki zdradzają jej chłopomańskie upodobania. Mister D. jest w tym zestawieniu opcją campową. Michał Weicher na łamach portalu

eprasa.pl 3e11af7a1e

screenagers.pl zarzucał płycie projektu „zbytnią dosłowność". Marcin Kancerek z serwisu CGM dostrzegał z kolei intencjonalne językowe błędy oraz „celowo paskudną artykulację".

Na „Społeczeństwo jest niemiłe" składają się utwory czyniące cnotę ze skrajnego przerysowania. Teksty traktują, jak mówi sama autorka cytowana na stronie internetowej jej wydawnictwa Galerii Raster, o „alfonsach, tirówkach i jeżdżeniu Audi". Liryczne narracje Masłowskiej sytuują się tu gdzieś pomiędzy rubasznością społecznej satyry „Świata według Kiepskich" a ironiczną optyką, jaką przyniósł sztuce współczesnej wszędobylski, postmodernistyczny sceptycyzm wobec powagi wobec czegokolwiek. Swoistą kropką nad „i" jest wideoklip do singla „Chleb" – kolaż bogato-biednych rekwizytów Polski B, tj. futer, złota i dresów.

Wydany zaledwie dwa lata temu krążek „Wolne", podpisywany jako DOROTA, stawia na bezpośredniość. Klementyna Szczuka pisała o krążku w „Małym Formacie", że jest „równie romantyczny, co naturalistyczny". Utwory na tej płycie najczęściej operują śmiertelną powagą. Również szkicują portrety blokersowych wzlotów i upadków, lecz już bez znanego z dzieła Mistera D. przymrużenia oka.

W przeciwieństwie do językowo rubasznego, momentami wulgarnego, jednak ornamentowego strumienia świadomości Masłowskiej Wojciech Bąkowski, a także duo Syny tworzone przez Piernikowskiego i 1988 uwydatniali swoje chłopomańskie pasje w skrajnym minimalizmie formy i treści. Bąkowski opisywał banalną codzienność podmiotów lirycznych wywiedzionych ze wspomnianych wcześniej blokowo-osiedlowych archetypów. Ukazuje ich jako niemających nic do powiedzenia na temat tego, co ich otacza, i właśnie dzięki temu bezkompromisowo szczerych.

Piernikowski z kolei balansował na granicy nostalgicznego pastiszu oraz złośliwej parodii brzmienia polskiego rapu z przełomu wieków. To groteskowa kombinacja rymów częstochowskich z powtarzanymi w nieskończoność słowami kluczami (np. zastosowane w każdej możliwej formie „białasy"). Pomysł jest narysowany tak grubą kreską, że równie dobrze mógłby zostać wykorzystany przez któregoś ze wziętych rodzimych stand-uperów czy kabareciarzy. Mógłby, ale nie jest, ponieważ za tą absurdalną formułą stoi wręcz grobowa powaga.

Krajobraz po Piorunie

Rozchwytywanym artystą, który w swoich dziełach inspiruje się hip-hopem, jest reżyser serialowy i filmowy Krzysztof Skonieczny. Przyglądając się jego dorobkowi, można dostrzec elementy chłopomańskie wywiedzione od wszystkich trzech wspomnianych wcześniej autorów. W niezwykle popularnej serii „Ślepnąc od świateł", na podstawie równie głośnej powieści Jakuba Żulczyka pod tym samym tytułem, pojawia się zagrana i wyreżyserowana przez niego (i napisana wraz z autorem pierwowzoru) postać Pioruna. Na pierwszy rzut oka drugoplanowa, ale niezwykle istotna – w parodystyczny sposób uosabia wszystkie stereotypy, jakie kultura wytworzyła na temat raperów. Mało bystry, lecz przebojowy gwiazdor, którego od uprawiania sztuki znacznie bardziej interesuje pielęgnowanie destrukcyjno-hedonistycznego stylu życia.

Piorun ucieleśnia najbardziej przerysowane wyobrażenie archetypicznego blokersa, którego leksyka i składnia od razu zdradzają pochodzenie. Rządząca jego codziennością hipokryzja (rapowanie o ulicznym życiu kontrastuje z codziennym luksusem) dodatkowo uwypukla tę śmieszność, co prowadzi nas w stronę Doroty Masłowskiej z jej projektu Mister D. Piorun, tak jak podmioty liryczne autorki „Wojny polsko-ruskiej", jest wyjęty z etnograficznej wizji hip-hopu – kultury, która pociąga inteligencję głównie swoją egzotycznością.

W wywiadzie dla serwisu GlamRap Skonieczny mówi, że tą rolą „chciał zrobić hołd dla polskiego rapu". Mamy tu więc znów do czynienia z protekcjonalnym pochylaniem się nad tą kulturą, którego pokłosiem były dwa pełnoprawne, ilustrowane wideoklipami utwory („Od Braci dla Braci" oraz „$LEPI OD $WIATE£") zrealizowane przez twórcę w jego serialowej roli. Reżyser przez chwilę kontynuował zresztą rapową karierę pod szyldem Tektonika.

Formuła hiphopowej chłopomanii Skoniecznego wyczerpała się najwyraźniej wraz z zeszłoroczną premierą „Wrooklyn Zoo". Film będący reinterpretacją „Romea i Julii" zanurzoną w oparach kultury rapowej i skate'owej nie osiągnął sukcesu „Ślepnąc...". Choć mamy tu całą gamę atrakcyjnych, wydawałoby się, narracji. Główny bohater jest zbuntowanym skejterem, który czyta legendarny hiphopowy magazyn „Ślizg", a w epizodycznej roli pojawia się Zdechły Osa (na którego koncerty chadza sam Kazik Staszewski, do czego przyznał się w wywiadzie dla Kanału Zero). Jednak narracje wykreowane po Piorunie nie urzekają już tak mocno – zapewne dlatego, że odkrywany wcześniej ląd za sprawą intensywnej eksploracji stracił swą uwodzicielską egzotyczność.

Przeterminowało się imitacyjne podejście do hip-hopu. Trudno wskazać ▶

© TEATR POLSKI W POZNANIU

REKLAMA

FUNDACJA KULTURALNY SZLAK
NIEDZICA 2025

XIII FESTIWAL
Barok
NA SPISZU

MAŁOPOLSKA wizytówka

FESTIWAL MUZYKI DAWNEJ
KONCERTY WYKŁADY, ZWIEDZANIE ZABYTKOWYCH KOŚCIOŁÓW

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
MAŁOPOLSKA
ZEW NIEDZICA S.A.
ASTRAIA

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

eprasa.pl 3e11af7a1e

▶ artystów, którzy poczynaliby sobie z tą kulturą równie brawurowo jak Masłowska, Bąkowski czy Syny. Nie zbladło jednak zainteresowanie mediów. Na łamach „Dwutygodnika", „Krytyki Politycznej" czy „Tygodnika Powszechnego" wciąż można się natknąć na teksty, których autorzy, posługując się inteligenckim sznytem, lansują tezę o immanentnej autentyczności „barbarzyńskiego" rapu.

W „Dwutygodniku" Filip Kalinowski określa wulgarne i brutalne utwory krakowskiej grupy Ćpajstajl (tekst „W dół kolorowym wzgórzem") mianem transgresyjnych. Widzi w dokonaniach tej formacji bezkompromisową chęć tworzenia sztuki granicznej. Pisze o „wstrząsającym naturalizmie", który „zderza się z dziecięcą naiwnością", a więc o spełnieniu chłopomańskiego marzenia o prawdzie zaklętej w prostolinijności.

Wyzwalająca Oliwka

„Krytyka Polityczna" poświęca obszerny esej kobiecej stronie rodzimego hip-hopu, w której widzi szansę na popkulturową promocję emancypacyjnych gestów feministycznych. Klementyna Szczuka przytacza wersy Oliwki Brazil o „eskortkach", które są „szmatami" i mają „suty jak salami" nie jako uprzedmiotawiające kobiety, lecz wręcz parytetowe. Przekonuje, że „skoro jest przyzwolenie, by analogiczne teksty pisali mężczyźni, twórczość Oliwki Brazil wydaje się wyzwalająca". Autorka poszukuje feminizmu o realnej sile rażenia nie w konwencjonalnym dyskursie akademickim czy sygnalizującym swą moralną wyższość przekazie aktywistów. Próbuje ją znaleźć w wulgarności żywego języka ulicy, czyli tam, gdzie według niej króluje prawdziwie antyestablishmentowe podejście do słowa.

Z kolei w „Tygodniku Powszechnym" pojawia się wywiad z legendą polskiego hip-hopu Peją. Tekst „Jestem ikoną" rozpoczyna cytat z bohatera: „Nie mam jak gwiazdy tych sprzedanych stadionów, ale mam coś, czego wielu z nich raczej nie osiągnie". Tym czymś jest oczywiście ukochane przez chłopomanów słowo refren „wiarygodność". Autor kultowego już krążka „Na legalu?" dzięki dekadom pisania wersów o społeczno-ekonomicznych problemach blokowego proletariatu został namaszczony przez reprezentantów inteligencji na uosobienie autentycznej, przyziemnej egzystencji „chłopa".

Co ciekawe, odpowiedź na tę sytuację przygotował sam hip-hop. Kultura, która przez tyle lat była protekcjonalnie idealizowana, porwała się na dość zaskakujący ruch – wygenerowanie wsobnej fantazji chłopomańskiej. Takiej, która już nie potrzebuje zewnętrznego inteligenckiego patronatu.

Kimże jest Belmondo, jeśli nie produktem epoki postchłopomańskiej? Gdyński raper porusza się po boleśnie konwencjonalnej tematyce „ulicznej" (która daje inteligenckiemu odbiorcy eskapistyczną rozkosz). Ponadto stosuje zabiegi stylistyczne nawiązujące do największych „imitatorów" – prymitywistyczną repetycję Bąkowskiego i Synów, neologizujący strumień świadomości Masłowskiej. Jakby tego było mało, obsługuje też przytoczoną na początku intertekstualną zręczność raperów inteligenckich – umie się posługiwać wulgaryzmami i mizoginią, ale też nawiązaniami do literatury czy niszowej muzyki niezależnej.

To samo można powiedzieć o dorobku Rogala DDL – rapera z jednej strony reprezentującego klasycznie uliczny odłam hip-hopu, a z drugiej przekazującego swoje treści za pomocą abstrakcyjnej (choć szalenie wulgarnej) gry skojarzeń oraz nieforemnego, wręcz arytmicznego flow. Twórczości artysty, którego pełny pseudonim brzmi Rogal Dziwki Dragi Lasery, znacznie bliżej do bluźnierczego dadaizmu Kodyma z Apteki niż dokonań domyślnego osiedlowego hiphopowca. U obu raperów Piotr Kowalczyk z Dwutygodnika widzi artystów „dokonujących brutalnej operacji na języku polskim" (artykuł „Chamy i psychopaci"). Obaj według niego odznaczają się też „naturszczykowską energią".

Swoistą kulminacją tego typu twórczości jest „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy", brawurowy spektakl wyreżyserowany przez Kamila „Kozę" Białaszka – rapera, który doprowadził rzeczoną sztukę samoświadomości właściwie do perfekcji. Teatralny projekt hiphopowca z Raszyna prezentuje się jako widowiskowa kompilacja chłopomańskich klisz. Bardzo sprawnie wymienia je Wiesław Kowalski na portalu Teatr Dla Wszystkich, zwracając uwagę na „serię brutalnych i banalnych scenek rodzajowych z życia blokowiska" czy dokumentującą uliczną codzienność „patotelewizję". Ponadto mickiewiczowscy bohaterowie przyjmują kliszowe rapowe pseudonimy i wykonują utwory o równie stereotypowych tytułach: Young Tadeusz – „Bramy", Oyche Robak – „Spowiedź Freestyle". Pojawia się też wulgaryzowana kontestacja antysystemowa w piosence „Pała" ozdobionym hasłem „pała musi jebać".

Koza kompiluje więc całą serię motywów, które prowokują inteligencję do pochylania się nad hip-hopem. Mamy tu autentyczność życia ulicznego (scenki z blokowisk), stygmatyzację, od której należy uwolnić (rola mediów w patotelewizji), bezceremonialną szczerość języka (sloganowe protesty, wulgarne komunikaty), a także wrażenie kulturowej nowoczesności, za którą należy nadążyć (całość pokazana jako stream, formuła zostawiająca w tyle wszelką audiowizualną konkurencję). Wybór „Pana Tadeusza" zdaje się wręcz szkolny, banalny. Zarazem jednak dzieło Mickiewicza to jedna z tych pozycji, którymi oświecony inteligent mógłby się posłużyć w procesie reedukacji ludu.

Barbarzyńca idealny

W teatrze według Kozy można dostrzec podejście Belmonda. Z miszmaszu formuły musicalowej z realizmem blokowym, narracji rapowej z muzyką techno czy nawet disco polo, a także rozmaitych mediów od telewizji po streaming, powstaje figura barbarzyńcy idealnego. Takiego, który nabył odpowiedni kapitał kulturowy (jest obeznany, oczytany, „naoglądany") i nie potrzebuje inteligenckiej edukacji. „Nowy Pan Tadeusz" to nie tylko zapis strumienia świadomości wyemancypowanego hiphopowego chłopa, któremu niepotrzebna piecza inteligenckich elit. To audiowizualny przekaz od chłopa, który zdał sobie w pełni sprawę z niedorzeczności protekcjonalnej postawy inteligencji wobec hiphopowców.

Chłopomania nie tyle więc umarła, ile została wchłonięta przez samych chłopów. Twórcy pochylający się nad naturalnym pięknem rapowego prymitywizmu przestali być komukolwiek potrzebni, bo ów uliczny *art brut* sam się wyemancypował. Narracja chłopomańska nie została jeszcze przechwycona w podobnym stopniu w literaturze i nauce. Tam kapitał symboliczny wciąż jest akumulowany przez inteligentów uprawiających romantyzującą etnografię. A szansa na zmianę jest nieporównywalnie mniejsza niż w samej muzyce. Bo to ta ostatnia – dziś ekonomicznie i logistycznie przystępna – wydaje się najbardziej ludową ze sztuk.

ŁUKASZ KRAJNIK

eprasa.pl 3e11af7a1e

Dyskoteka na cmentarzu

Zaryzykuję tezę, że jeśli czyjaś rodzina w 1944 r. nie doświadczyła na własnej skórze powstania warszawskiego, to osoba ta warszawiakiem mienić się nie może (myślę tu o polskiej części warszawiaków, bo część żydowska ma ze swoim miastem odrębne relacje). I tak np. moja żona jest warszawianką nie tylko od pokoleń, ale też w rozumieniu mojej ryzykownej tezy. Jej babcia, jak to się ładnie mówi, „przeszła przez powstanie warszawskie". Konkret, który się pod tym obłym sformułowaniem kryje, to rzeź Woli: bestialskie wymordowanie w ciągu paru dni 50–60 tys. cywilów oraz gwałty, rabunki i podpalenia.

W tej sytuacji odczuwana przez moją żonę potrzeba wyróżnienia 1 sierpnia spośród zwykłych dni kalendarza jest dla mnie zrozumiała, mimo że sama rocznicy nie obchodzę. Pamiętam o powstaniu – w końcu mieszkam tu od urodzenia – ale mój sposób rozumienia warszawskiej tragedii za bardzo koliduje z tzw. publicznym dyskursem. Dlatego potrzebę pielęgnacji pamięci moja żona realizuje ze swoją przyjaciółką, również zasiedziałą warszawianką. W tym roku postanowiły się wybrać na kopiec Powstania Warszawskiego. Jednak hałaśliwy i gęsty program oficjalnych obchodów, jakie tam zaplanowano, sprawił, że porzuciły swój zamiar. W mediach społecznościowych znalazłam świadectwa również innych warszawiaków, którzy poczuli się okradzeni z tej arcyważnej dla nich rocznicy.

> Dzisiaj o powstaniu warszawskim wolno już mówić wszystko, ale nie przybyło nam od tego mądrości.

Z pamięcią o powstaniu po 1989 r. zdecydowanie coś poszło nie tak. Rocznicowe ekscesy postfaszystów szokują oczywiście najmocniej. Bo rzeczywiście wydziarany mięśniak w koszulce z płytą zespołu Screwdriver „Blood and Honour" (niem. Blut und Ehre, pol. krew i honor – motto Hitlerjugend) potrafi zaskoczyć jako upamiętniacz ofiar nazistowskich zbrodni. Tym bardziej gdy człowiek pójdzie za podpowiedzią anarchistów z Kielc i zapozna się z utworem „Prisoner of Peace" z tejże płyty, w którym zbrodniarz wojenny Rudolf Hess odmalowany został jako cierpiący niewinnie w celi w Spandau więzień sumienia.

Do tego dodajmy zwyczajową scenografię, czyli kibolskie race zasnuwające dymem sponiewierane symbole Polski Walczącej, i ryk Bąkiewicza, tak celnie kiedyś skontrowany przez Wandę Traczyk-Stawską. Nie ma sensu pytać, co powstanie warszawskie ma wspólnego z wysławianiem białej supremacji, hejtowaniem Unii Europejskiej i szczuciem na Żydów, gejów, imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, dzisiejszych Niemców oraz Ukraińców. Oczywiście nic, ale to nie szkodzi. Jeśli powstanie było o czym innym, tym gorzej dla powstania.

Dla mnie jednak zwycięzcą w tegorocznym konkursie na najbardziej zwalającą z nóg formę upamiętnienia 63 dni umierania w mękach jest filmik z imprezy „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", który udostępniła w sieci Telewizja Polska. Widać na nim kobietę w koktajlowej sukience bez rękawów w parze z wiekowym weteranem powstania, wywijającą biodrami do piosenki „Siekiera, motyka" – wesolutko i frywolnie jak w „Sanatorium miłości". Humanistka nie może nie docenić tego performansu jako twórczego rozwinięcia motywu *danse macabre*, jednak nie chroni to przed kosmicznym stuporem.

Ludzie, czy wyście na łeb upadli?! Tańce na 200 tysiącach trupów sobie urządzacie? Na ciałach kobiet, dziewcząt i dziewczynek z obozu przejściowego na Zieleniaku, gwałconych zbiorowo przez RONA noc w noc przez ponad dwa tygodnie? Na gruzach zburzonego miasta, w którym kamień na kamieniu nie został? Oto, do czego prowadzą kult „bohaterstwa" i faszerowana nim jak brojler polityka historyczna – do dyskoteki na cmentarzu. I nagle warszawską masakrę bez precedensu reklamuje się na billboardach w całej Polsce jako przygodę życia, która pechowo nas ominęła, choć może się to jeszcze zmieni. Jest na co czekać, zwłaszcza że w wersji *all inclusive* oferuje się kącik animacji dziecięcej „Mały Powstaniec".

Nie sądziłam, że wspomnę z łezką w oku, jak obchodziło się rocznicę powstania w tym okropnym komunistycznym PRL-u, który zabraniał mówić, że Stalin nie przyszedł Warszawie z pomocą. Był to zawsze piękny cichy dzień – jakby dodatkowe warszawskie Zaduszki. Na godzinę „W" jechało się na Powązki i do wieczora chodziło wśród dygoczących światełek na powstańczych grobach. To prawda, że nie mówiło się wtedy wystarczająco o tym, co kryje zbitka słowna „tragedia ludności cywilnej". Jednak były przynajmniej skupienie, szacunek i najwłaściwsza emocjonalna nuta: nuta żałoby.

Dzisiaj o powstaniu wolno już mówić wszystko, ale nie przybyło nam od tego mądrości. Nie pomógł Miron Białoszewski ze swoim „Pamiętnikiem z powstania warszawskiego" ani Anna Świrszczyńska z wierszem „Niech liczą trupy", ani tytaniczna praca historyków literatury i idei nad rozmontowaniem romantycznego kultu śmierci. Polska wróciła do ustawień fabrycznych: upojona fantazjami o krwi. Nawet gdy nominalnie jest „za życiem", w rzeczywistości gardzi nim bezbrzeżnie, wielbiąc tylko śmierć.

RENATA LIS

eprasa.pl 3e11af7a1e

FELIETON

Sulej

(Nie)dobre reklamy

Blondynka w dżinsach spogląda na Nowy Jork z wielkiego trójwymiarowego billboardu, uśmiechając się zalotnie i przekonując, że naprawdę świetnie się czuje w swoich dżinsach American Eagle. Podpis pod reklamą: „Sydney Sweeney has good jeans". W języku angielskim *jeans* brzmi tak samo jak *genes*, czyli geny. Ot, taka gra słów. Jedni powiedzą, że zupełnie nieszkodliwa, jeśli już, to niezbyt zabawna, taki suchar wujka na weselu. Przecież mówi się potocznie o osobach atrakcyjnych, że mają dobre geny, a na portalach plotkarskich wciąż pojawiają jakieś newsy o *nepo babies*, równie pięknych co mama i tata. Po co więc tu nadmiernie psychologizować, to tylko reklama.

Ci drudzy uznali jednak, że żart pobrzmiewa niepokojąco. Bo co to znaczy, że Sweeney „ma dobre geny"? Atrakcyjne, białe, niebieskookie i blond? A jakie są te „niedobre geny", które narażają na społeczny ostracyzm, upokorzenia, krzywdy? Dzisiejszy „zły wygląd" to praktycznie każdy wizerunek odbiegający od zglobalizowanej bezpiecznej „białości" typu WASP, czyli podrasowanej kasą, obowiązkowo szczupłej i konwencjonalnej płciowo.

> Choć wmawia się nam co innego, dla reklamy wartości to tylko „chwyty". Reklamiarze to cynicy.

Wyglądy to oczywiście jedynie stereotypowe skojarzenia z określonym typem urody, zwyczajny, codzienny kulturowy rasizm. Nie trzeba sięgać po grozę XX stulecia, żeby się oburzać. Wszystkie ideologie lubią uproszczenia. Zgrabna blondynka o niebieskich oczach jako ideał urody przetrwała upadek narodowego socjalizmu, przewijała się przez rozmaite systemy i epoki, aż wylądowała z sukcesem w późnym kapitalizmie. Znów na piedestale.

Jeszcze kilka lat temu w reklamie levi'sów „Circles" (dostała nawet nagrodę na prestiżowym festiwalu Cannes Lions) tańczyły osoby wszelkich kultur i tożsamości, w każdym rozmiarze, w każdym wieku – podkreślano inkluzywność, dostępność. Dżinsy, których kariera rozpoczęła się od stroju roboczego dla mężczyzn, w kolejnych dekadach zaczęły występować w roli przedmiotu pożądania każdej grupy społecznej, na całym świecie. Prawdziwie demokratyczny ciuch, aż się prosi o humanistyczne przesłanie.

Okazało się jednak, że kiedy polityczny klimat na zglobalizowanej Północy się nieco zmienił, można szybko odłożyć na półkę coś, co nazywamy wartościami: demokratyczność, równość, różnorodność. Choć wmawia się nam co innego, dla reklamy wartości to tylko „chwyty". Reklamiarze to cynicy – po prostu się starają, żeby ich pomysł zadziałał. Chcesz być fajny, amerykański? No to zobacz, do czego masz dążyć. „Make America great again".

Niektórzy machną ręką: „O co tyle szumu, dobra reklama, jak dawniej", ale to nie jest powrót do reklamowej przezroczystości. To chwyt z dawnej filozofii reklamy (którą poprzedzilibyśmy przedrostkiem „retro"), kiedy stereotypowo atrakcyjna kobieta sprzedawała wszystko. Uprzedmiotowienie wizerunku gwiazdy w imię celów komercyjnych. Mniejsza o to, czy aktorka chciała zarobić, czy pozuje „ironicznie", rezultat jest prosty i wymowny. Billboard aż krzyczy: nigdy nie będziesz taka idealna jak ona, ale możesz się do tego zbliżyć, kiedy kupisz ten produkt.

A skoro możesz kupić te dobre dżinsy, które ma Sydney, to może i te „dobre geny"? Oto narracja, która wciska się między opinie tych, którzy widzą w reklamie ze Sweeney neutralny banał, a tych, którzy widzą tam Hitlera. To narracja raczej z przyszłości niż z przeszłości. Modę na określone ubrania łączy z modą na określone ciała. Przypadkiem (nie przypadkiem?) wrzawa wokół Sweeney połączyła się z dyskusją wokół opaski uciskającej na twarz marki Skims od Kim Kardashian. Ta „rajstopa", która ma zagwarantować ci piękną linię szczęki, „jak u Kim", została wyśmiana w internecie, ale Kim się tym nie przejęła – może dlatego, że wyprzedała wszystkie produkty na pniu. Ludzie chcą wierzyć, że jeśli kupią tę opaskę, będą wyglądać choć trochę jak ich idolka. To samo chce zasugerować fanom Sweeney reklama dżinsów. I dochody firmy wzrosły o 20 proc.

Co z tego, że dla większości śmiertelników geny Sweeney są równie niedostępne jak chirurg plastyczny Kardashianów. Obie sprzedają fantazje o ideałach piękna dzisiejszej epoki – fantazję nie tylko o byciu modniejszą, ale też o innym ciele, innej twarzy, innym kolorze skóry. To reklamy, które są demokratyczne tylko pod jednym względem. Mówią, że wszyscy jesteśmy beznadziejni i brzydcy. Marzenie o niedoścignionym ideale jest w XXI w. jeszcze bardziej niedoścignione i dystopijne, wpędza w kompleksy, unieszczęśliwia i więzi na każdym możliwym poziomie – społecznym, politycznym, psychologicznym – jeśli tylko dasz się takiej reklamie „schwycić". Ale czy ktoś kiedykolwiek się przejmował, jeśli zarabiał furę kasy na cudzym nieszczęściu? To „retro" jest nieustannie bardzo „futuro". Nieprzypadkowo Don Draper w serialu „Mad Men", o początkach reklamy w Stanach Zjednoczonych, powiedział: „To, co nazywasz miłością, zostało wymyślone przez takich jak ja. Żeby sprzedawać nylony".

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 3e11af7a1e

Hartman

Ptasiego mleczka!

Powiedział głupi w sercu swoim „Jestem szczęśliwy”. Twarz jego rozpromienił uśmiech zidiociałego anioła, po czym umarł. Ciekawe, że zawsze za najszczęśliwszych uważano idiotów oraz bogów. Idioci nie wiedzą, jak strasznym miejscem jest świat, a bogowie nie umieją cierpieć. Chcesz być szczęśliwy? Zrób z siebie idiotę. Albo boga. A jeśli nie umiesz, to może już sobie daruj. Nie ty pierwszy i nie ostatni umrzesz, nie będąc szczęśliwym. Obyś tylko pozostał człowiekiem. A znacznie łatwiej nim być, trochę cierpiąc, niż w niewzruszonym zadowoleniu i samozadowoleniu zażywać życia, jak szczęsnego wywczasu. Tak w wielkim skrócie wygląda opinia współczesnych filozoficznych wywrotowców – głównie z Francji rodem – w przedmiocie felicytologii oraz pokrewnej jej angelologii. Albowiem oprócz bogów i idiotów o szczęśliwość podejrzewamy jeszcze anioły. Nie grzeszą, to i szczęśliwe. Za niebem nie tęsknią, bo już tam są. Tylko któż z nas chciałby być bezgrzeszny?

Tymczasem nasz rodak prof. Łukasz Kaczmarek z UAM został redaktorem naczelnym naukowego czasopisma felicytologicznego „Journal of Happiness Studies” (POLITYKA 30). Gratulacje! Z tej niecodziennej okazji postanowiłem wtrącić swoje filozoficzne trzy grosze, albowiem filozofia ma wiele złych wieści dla poszukiwaczy szczęścia. I nie chodzi nawet o to, że przychodzi ono do tych, którzy wcale go nie poszukują. Chodzi o to, że – tak jak seks – nigdy nie spełnia obietnicy i nie jest tym, czym miało być. Albowiem nie do szczęścia jesteśmy zrodzeni i nie do sensu. Jak mówi klasyk, absurdem jest się urodzić i absurdem jest umrzeć. Szczęśliwi to głupcy, którzy o tym nie wiedzą.

> Chcesz być szczęśliwy? Zrób z siebie idiotę. Albo boga. A jeśli nie umiesz, to sobie daruj. Byleś pozostał człowiekiem.

No właśnie, szczęśliwy poczciwiec – Spodek, Sancho Pansa albo Lazzaro – któż chciałby nim być? A któż chciałby być greckim albo hinduskim mędrcem? Zresztą czy widział kto świętego eremitę albo lewitującego jogina? Nikt – i w tym właśnie jest problem, jaki po 23 stuleciach wciskania ludziom kitu odkryli filozofowie. To wszystko fikcja!

Fikcja grecko-hinduska podaje definicję szczęścia jako „ostatecznego dobra człowieka i celu jego wszelkich dążeń”. Tym samym można ogłosić, że wszyscy pragniemy szczęścia i do szczęścia dążymy. Tenże zabieg po taniości załatwia nam sprawę wszelkiej krytyki (do czasu jego zdemaskowania). A potem się mówi, że sprawa nie dotyczy samych przyjemności, lecz tego, jakim się jest. A właściwie, jakim się być powinno. I tu następuje apoteoza dwóch, trzech wzorców życiowych, dostępnych dla klas wyższych. Jeden to zagłębiony w siebie „kontemplator” – mędrzec, jogin, a nawet filozof. Drugi – roztropny i szlachetny doradca, autorytet służący społeczeństwu swoją mądrością i cnotą. Czasami załapie się jeszcze artysta – jako duch wolny i twórczy. Jeśli coś ich łączy, to ewentualnie równowaga psychiczna, opanowanie, a zwłaszcza wolność od wszelkich frustracji, złych bądź przesadnych namiętności oraz wszelkiego rodzaju uzależnień.

I tak to od niepamiętnych czasów filozofowie zarabiali na wmawianiu ludziom, że jak będą się uczyć i praktykować cnoty (pod ich kierunkiem), to będą szczęśliwi. Zamiast uczyć, jak być nieszczęśliwym, a więc rzeczy pożytecznej dla każdego, uczyli ich, jak być szczęśliwym, czyli szukania gruszek na wierzbie. Posunęli się nawet do bezczelnego wmawiania prostaczkom, że cnota niechybnie i samorzutnie prowadzi do szczęścia – jeśli nie w tym, to w tamtym życiu. I do dziś wielu ludziom się wydaje, że powinności moralne wynikają z imperatywu pomnażania szczęśliwości. Jakaż to hucpa! I jaka trywialna!

Cała ta manipulacja koncentruje się na propagowaniu przesądu, że ludzie mądrzy i szlachetni są szczęśliwi, gdyż najpełniej realizują ludzką naturę. Tyle że to bzdura i mrzonka, a nawet gorzej: kłamstwo. Ideał szczęścia – życia spełnionego, przechodzącego w stan zbawczy – sam w sobie jest głęboko neurotyczny, będąc odpowiedzią infantylnej wyobraźni na doświadczenie narcystycznego i diabolicznego przymusu powtarzania czynności przynoszących chwilową rozkosz. Brak możliwości jej utrwalenia – dziś byśmy powiedzieli: utrzymania wysokiego poziomu endorfin – skrystalizował się w micie o szczęśliwcu, którego potrzeby są ograniczone, a nastrój zawsze pogodny.

Naprawdę wszystko jest na odwrót. Szczęście nie przychodzi do tych, którzy go szukają, ani do tych, którzy go nie szukają. Człowiek wolny od poważnych chorób i kłopotów, a jednocześnie mający w miarę zdrową i zrównoważoną osobowość oraz elementarną samowiedzę, generalnie czuje się przez większość dnia dobrze. Jego nastrój jest w miarę stabilny, oscylując wokół umiarkowanego komfortu, przerywanego od czasu do czasu większym stresem, po którym jednakowoż szybko wraca do normy. Nie ma tu miejsca na żadną filozofię. Filozofia zaczyna się od zauważenia, że wszelka niepospolitość i wszelkie poważniejsze zaangażowanie w coś więcej niż własne przyjemności i interesy dużo kosztują. Mądry martwi się i troska. Dobry się naraża. Spokojny bierze na siebie sprawy targanych niepokojem. Tacy nie zawracają sobie głowy szczęściem.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 3e11af7a1e

Kosmonautopolityzm a sprawa polska

Misja polskiego astronauty Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w kosmosie się skończyła, za to na Ziemi zaczęła się misja polskiego prezydenta Karola Nawrockiego. Czy okaże się większym sukcesem niż misja pana Sławosza? Niektórzy uważają, że już się okazała, bo Nawrocki to obecnie pierwszy Polak w Polsce, podczas gdy Uznański-Wiśniewski był zaledwie drugim Polakiem w kosmosie, w którym przebywał niecałe trzy tygodnie, zresztą nie wiadomo, czy na pewno. W internecie czytam, że niewykluczone, że nigdzie nie poleciał, tylko cały czas sprytnie udawał, że leci.

Panuje opinia, że nawet jeśli Uznański-Wiśniewski faktycznie dokądś poleciał, to jego wyczyn i tak nie został medialnie wykorzystany. Być może dlatego, że w jego sztabie – w przeciwieństwie do sztabu Nawrockiego – zabrakło kompetentnych ludzi PiS, którzy poradziliby mu, co ma przed kamerami mówić i jakie wartości sobą reprezentować. Uważam, że jego misja z miejsca nabrałaby rozpędu i propolskiego kierunku. Wprawdzie pan Sławosz podkreślał na orbicie swoją polskość, ale moim zdaniem był za mało krytyczny wobec Niemiec. Zabrakło np. ostrego potępienia z orbity Niemców za to, co przez dwa tysiące lat robili Polakom.

Szkoda, że szansę na osłabienie pozycji Niemiec w kosmosie zmarnowano. Z kolei sprawa polska została zaakcentowana jedynie przez pierogi wysłane w ramach eksperymentu, które zresztą pan Sławosz natychmiast zjadł, co jest trochę nie w porządku, bo chyba nie o to w tym eksperymencie chodziło. Poziom jego misji obniża dodatkowo fakt, że po powrocie na Ziemię spotkał się z premierem Tuskiem, co niestety podważa jego zapewnienia o byciu Polakiem. W przeciwieństwie do niego Nawrocki od początku utrzymuje bardzo wysoki poziom, stanowczo odrzucając możliwość spotkania się z Tuskiem.

Zgadzam się, że dla Polski byłoby lepiej, gdyby w kosmos wystrzelono kogoś takiego jak Robert Bąkiewicz, kto jako idealista, patriota i żarliwy katolik nie połakomiłby się na pierogi. A wdziękiem i typem urody bardziej przypomina prawdziwego Polaka niż kosmonautopolita Uznański-Wiśniewski. Przynajmniej byłaby szansa, że zamiast przeprowadzać na orbicie jakieś nudne i niezrozumiałe eksperymenty naukowe, po wprowadzeniu się w stan nieważkości zadziwiłby świat, odpalając tradycyjną racę, a następnie ogłosił wojnę cywilizacji polskiej z obcymi cywilizacjami europejskimi i nielegalnymi imigrantami napływającymi do nas z terenu wszechświata.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00
CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl
PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Kontakt w sprawie bezpieczeństwa produktu: gpsr@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl 3e11af7a1e

Nasi i oni

Po artykule Martyny Bundy „Nasi i oni" (POLITYKA 30) o gdańskiej wystawie, której tytuł wywołał ogólnopolską dyskusję o trudnym fragmencie historii Polski, do naszej redakcji napłynęło sporo listów. Publikujemy ich fragmenty.

Nasi i oni

W emocjonalnej dyskusji wokół „Naszych chłopców" umknęło nam, Kaszubom, coś ważnego. A może nie umknęło? Może chcemy ciszy nad tą trumną?

Odkąd zaczęło być głośno o wystawie zorganizowanej w Muzeum Gdańska, moi znajomi popierający polską prawicę: PiS i Konfederację, bezkrytycznie zaczęli udostępniać posty nazywające tę wystawę „hańbą" lub „skandalem". Również ci, którzy mieli rodziców lub dziadków w Wehrmachcie i Kriegsmarine. Kaszubi związani członkostwem w prawicowych partiach poszli jeszcze dalej, krzycząc, że ta wystawa jest „podszeptem diabła" – to dosłowny cytat, a nie parafraza.

Wydawać by się mogło, że nie ma prawa dzielić nas, Kaszubów, obca dla nas narracja, narzucana z zewnątrz. A jednak… Tłumaczę to sobie tylko jednym: głębokim, tradycyjnym, bezrefleksyjnym przywiązaniem części Kaszubów do wspólnoty Kościoła katolickiego, który w naszym kraju nie jest Kościołem powszechnym, lecz polsko-narodowym. Ta instytucja nie wspiera tożsamości kaszubskiej. To oczywiste. Episkopat nie wyraził zgody na tłumaczenie całej mszy świętej na język kaszubski. Także zgoda arcybiskupa archidiecezji gdańskiej z 1993 r. na liturgię słowa w języku kaszubskim nie zakłada podejmowania inicjatywy ze strony duchownych, a jedynie ich zgodę lub niezgodę na inicjatywę wiernych.

Kościół trzyma Kaszubów na postronku, wiedząc, jak bardzo jesteśmy, w większości, przywiązani do tej instytucji. Każdy ma prawo wierzyć. Jednakże Kościół nie ma prawa tego wykorzystywać dla realizacji celów swoich i pośrednio celów polityków prawicy. A tak się dzieje każdej niedzieli.

DR ARTUR JABŁOŃSKI,
UNIWERSYTET WARSZAWSKI,
BADACZ JĘZYKA I TOŻSAMOŚCI KASZUBÓW,
PREZES STOWARZYSZENIA
PERSPEKTIVA KASZËBSKÔ

Po przeczytaniu reportażu pani Martyny Bundy o wystawie „Nasi chłopcy" trudno mi powstrzymać się od refleksji. Wystawa ta spełnia, moim zdaniem, słuszny i społecznie potrzebny cel, przybliżając społeczeństwu historię, w odróżnieniu od propagandy dyktowanej polityką historyczną. Polityka historyczna to obraz skrzywiony, nierzadko wręcz zafałszowany, dostosowany do politycznych potrzeb aktualnej władzy. Historia prawdziwa oparta jest na faktach, nie zawsze wygodnych czy przyjemnych. Wielu dzisiejszych młodych ludzi nie wie o tym, że niemiecki okupant zmuszał młodych mężczyzn zamieszkałych na terenach należących przed wojną do Polski, ale niewchodzących w skład Generalnej Guberni, do służby w Wehrmachcie. Podobnie dziś robi Putin, zmuszając Ukraińców zamieszkałych na terenach zajętych przez Rosję do służby w wojsku rosyjskim. (…) Społeczeństwa, które znają prawdziwą historię, stają się bardziej tolerancyjne. Wystawa „Nasi chłopcy" służy dobremu celowi.

DR INŻ. WITOLD LILIENTAL, ONTARIO, KANADA

Rozumiem, że w XIX w., gdy w okresie zaborów powstawała współczesna polska historiografia, nieprzypadkowo obrała ona sobie za cel „pokrzepienie serc" – tak jak cała reszta polskiej kultury. Chodziło o pokazywanie społeczeństwu, że jest narodem, który może być dumny ze swojej historii. Podobnie w krótkim, zaledwie dwudziestoletnim okresie międzywojennym po odzyskaniu niepodległości chciano umacniać postawy patriotyczne w obliczu wyzwań stojących przed nowo budowanym państwem polskim. Również powojenna Polska Ludowa musiała brać pod uwagę ograniczenia geopolityczne i ustrojowe w kreowaniu swojej polityki historycznej (czego nie chce dostrzegać cała masa polskich intelektualistów) i koncentrowała się na prostym przekazie patriotyzmu. Dlaczego natomiast w okresie „bezprzymiotnikowej demokracji" i „pełnej suwerenności" nasi decydenci także postanawiają uprawiać wyłącznie mitologię narodową?

Pamiętam, jak w okresie pierwszych koalicyjnych rządów PiS Polska odrzucała ideę prac nad wspólną, transnarodową wizją historii w Europie, wprost argumentując, że narody potrzebują swoich mitów. Stąd forsuje się wciąż wizję historii Polski według sienkiewiczowsko-matejkowskich wzorców, chociaż historycy wiedzą, że to zafałszowany i przez to szkodliwy obraz. (…)

Wrzawa wokół gdańskiej wystawy poza pogłębianiem narodowego podziału rozpowszechnia dodatkowo daleko idące uproszczenie, koncentrując się na dylemacie „zdrady" czy „przymusu". Tworzy przy tym fałszywy obraz Polaków z Pomorza jako wyłącznie hitlerowskich żołnierzy. Otóż nie wszyscy podpisali volkslistę, choć to groziło daleko idącymi konsekwencjami! Nie wszyscy też podpisywali pod przymusem, część zrobiła to ze strachu, część dla korzyści. Były przypadki wpisywania się na listę ze złości na dwudziestoletnie doświadczenia z życia w Polsce niepodległej, która wcale nie okazała się zrealizowanym marzeniem z czasów zaborów.

Wygląda niestety także na to, że wciąż z premedytacją przemilcza się „Zbrodnię Pomorską" – fakt, że Niemcy od pierwszych dni wojny i okupacji wymordowali dziesiątki tysięcy Polaków w celu zastraszenia i pozbawienia naszej społeczności ich elit. (Zbrodnie te miały na Pomorzu o wiele większy zakres niż w innych regionach kraju). Już w PRL podręczniki ograniczały się do wspomnienia obozu koncentracyjnego w Stutthofie i „krwawej niedzieli w Bydgoszczy". Nie wspominano o tysiącach rozstrzelanych w Piaśnicy (tu zamordowano 12–14 tys. osób, w powszechnie znanych podwarszawskich Palmirach – ok. 1700). (…) Historia niestety gra na emocjach, a nie opiera się na wiedzy i dlatego nie będzie nigdy „nauczycielką życia". Wystawa w Gdańsku jest tego przykładem.

ZBIGNIEW KRUŻYŃSKI

Wyjaśnienie

Na życzenie prof. Pawła Boreckiego informujemy, że zamieszczony w numerze 31. POLITYKI artykuł „Miliony na wiarę" autorstwa Zbigniewa Borka nie powstał w wyniku wywiadu z prof. Boreckim. Prof. Borecki był jednym z rozmówców autora. Podana w omówieniu wypowiedzi pana profesora data 1997 r. to rok uchwalenia nowelizacji ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania, która weszła w życie kilka miesięcy później, w 1998 r.

REDAKCJA

eprasa.pl 3e11af7a1e

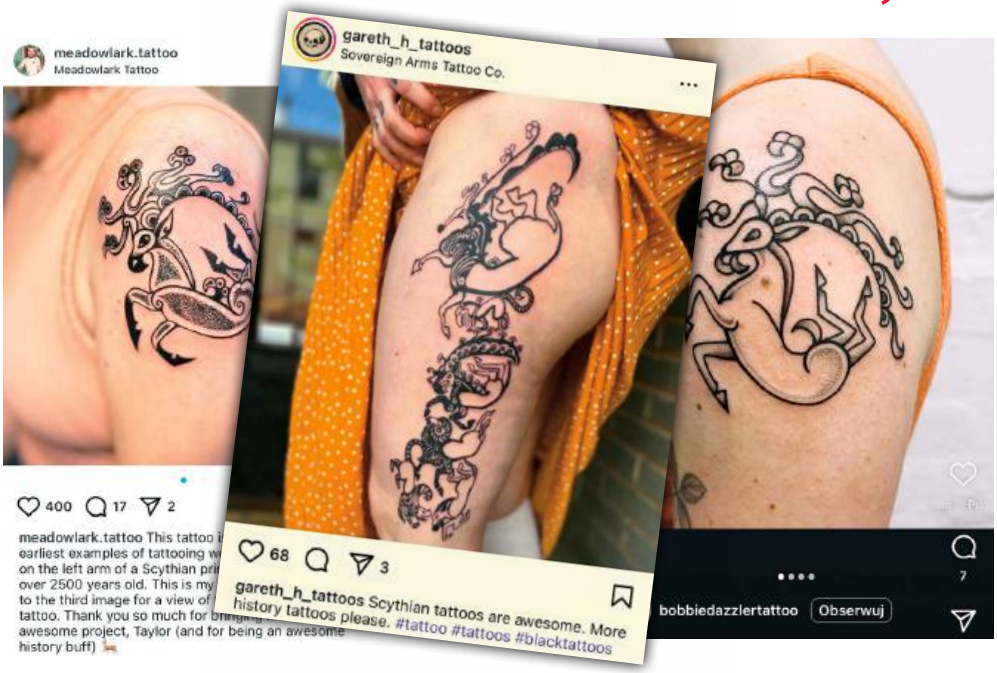

Jeleń na bicepsie

Scytyjskie wzory wracają – nie tylko na wystawy i do katalogów muzealnych, ale też na skórę ludzi, którzy szukają tożsamości między igłą a historią.

TREND

Siergiej Rudenko po raz pierwszy zauważył tatuaże na skórze zmumifikowanego Scyty w latach 40. XX w., gdy prowadził wykopaliska w Pazyryku. Na ramionach i plecach starca z kurhanu 2 widoczne były gołym okiem wizerunki jelenia, kota i ptaka. W kolejnych grobach znaleziono wytatuowane ciała kobiet i mężczyzn, ale ich wzory nie były aż tak wyraźne. Dopiero teraz, dzięki zastosowaniu zdjęć w bliskiej podczerwieni (*near-infrared*), udało się je wydobyć. Mnóstwo informacji dostarczyło ciało kobiety z kurhanu 5. Jej tatuaże stały się podstawą do analizy techniki, narzędzi i stylistyki, a wizerunki tygrysa, jelenia i gryfa okazały się tak przemyślane, że mogłyby zdobić katalog każdego nowoczesnego studia tatuażu.

Badania zespołu Gino Casspariego z Instytutu Maxa Plancka wykazały, że tatuaże zrobiono z ogromnym wyczuciem – jedne linie szerokie, równomierne, inne cienkie i ostre. Zdjęcia były tak precyzyjne, że rozpoznano dwie różne ręce tatuatorów: jeden był wyraźnie biegły w kompozycji i pracy z ciałem, drugi, bardziej nieśmiały, może dopiero się uczył. Odtworzono wzory, ale też technikę: podskórne wzory robiono metodą *hand poking* przy użyciu narzędzi z jedną lub wieloma igłami. Zaproszony do projektu współczesny tatuażysta Daniel Riday odtwarzał dawne wzory na sobie, by zrozumieć, jak powstawały. Odkrył, że scytyjscy mistrzowie dysponowali nieznanym wcześniej zestawem narzędzi, a wykonanie takich kompozycji wymagało cierpliwości tatuowanego oraz wprawy i dobrego planowania artysty.

Od jakiegoś czasu wzory koczowników z epoki żelaza, żyjących od Morza Czarnego po Ałtaj, wracają w świecie współczesnego tatuażu. Na Instagramie można znaleźć setki reinterpretacji jeleni z zakrzywionymi rogami, smukłych drapieżników z podwiniętymi łapami czy węży wijących się wokół przedramion. Figuralność, symetria i rytm tych wzorów doskonale wpisują się w dzisiejsze mody na tatuaże inspirowane mitologią, ornamentem i „archaicznym minimalizmem". Tyle że tu minimalizm jest pozorny – każdy zwierzęcy motyw to mała opowieść o zwierzętach, ich sile i relacji z ciałem, zauważają autorzy artykułu w „Antiquity". Badania wpisują się w nowy trend wśród tatuażystów, którzy szukają w przeszłości inspiracji, nie dekoracji, a w swojej pracy widzą rękodzieło z historią, nie tylko ozdobę.

Czy nowe odkrycia podbijają ten trend? Już dziś niektóre wzory z ciał Scytów znalezionych w Pazyryku są w katalogach tych salonów, które świadomie sięgają po pradawne motywy. Część prac to wierne kopie, inne to wariacje, hybrydy z innymi kulturami. Wszystkie łączy tęsknota za wzorem, który przetrwał tysiąclecia.

Ale jest też zasadnicza różnica między wtedy a teraz – tatuaże na ciele kobiety z Pazyryku zostały naruszone w trakcie przygotowań pogrzebowych. Skórę ponacinano i zszywano grubymi nićmi w miejscach, gdzie znajdowały się wzory. Tatuaże nie miały znaczenia rytualnego po śmierci, czyli ich rola kończyła się wraz z życiem. A zatem to, co dziś dla wielu ludzi stanowi znak wieczności, tożsamości albo ostatni gest buntu wobec śmierci – wtedy nie miało znaczenia. Wzory były istotne tylko w świecie żywych, może świadczyły o przynależności i statusie, jak twierdził Herodot w księdze V „Dziejów", może o odwadze, a może po prostu o dobrym guście. Pazyryckie jelenie i tygrysy trafiają dziś na ramiona, uda i łopatki klientów w Paryżu, Berlinie czy Nowym Jorku i też są znakiem przynależności, z tym że nie do plemienia, a do estetycznej wspólnoty.

Dziś wśród klientów trudno o koczownika. Na Instagramie widać, że scytyjskimi tatuażami chwalą się zazwyczaj „schludni barbarzyńcy": imponujące mięśnie i broda sugerują, że wrócili z polowania na niedźwiedzie, w rzeczywistości pachną niszowymi perfumami i właśnie wydepilowali ciało. Nie chodzi o bunt, może trochę o pokaz siły, może jest w tym też próba kontaktu z przeszłością i chęć, by wzór sprzed stuleci mówił, kim dziś jesteśmy. Przede wszystkim jednak chodzi o to, że jeleń z Pazyryku wygląda super, wijąc się wokół opalonego bicepsa. ■

Agnieszka Krzemińska
– archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym o higienie i dbaniu o urodę w przeszłości „Dawniej ludzie żyli w brudzie".

© MEADOWLARK.TATTOO/INSTAGRAM.COM, GARETH_H_TATTOOS/INSTAGRAM.COM, BOBBIEDAZZLERTATTOO/INSTAGRAM.COM, MICHAŁ MUTOR/AGENCJA GAZETA, AN, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3e11af7a1e

Król, który został papieżem

WIRAL

Były przypuszczenia, a nawet pewien niepokój, że prezydent Nawrocki będzie mniej memiczny od prezydenta Dudy. Pojawiają się głosy, że komedia już była, teraz będzie dramat, a „Duduś to przy nim pikuś". Ale jeszcze chyba będzie śmiesznie, internet próżni nie znosi, emocji do rozładowania jest w narodzie sporo. Nawrocki od pierwszych chwil na urzędzie pozuje raczej na króla: pozdrawia tłumy, ściska ręce, do Pałacu udał się piechotą z własnym orszakiem, tzn. ochroną. Na cześć królów bił w Krakowie zwykle dzwon Zygmunt i o to też zabiegał abp Marek Jędraszewski z okazji zaprzysiężenia. Dzwonnicy postawili weto i są w sieci niemalże bohaterami. Są też motywy papieskie – prezydent witał Polki i Polaków z okna Belwederu, nieformalnie, w podkoszulku (tzw. żonobijce).

Te monarsze, papieskie i amerykańskie akcenty widzom oczywiście nie umknęły. 6 sierpnia Nawrocki włożył czerwony krawat, a kreacja pierwszej damy przypominała do złudzenia błękitny kostium Melanii. „Trump z Temu", śmieje się jeden z internautów. Czyli, tłumacząc eufemistycznie, nieco tańsza kopia.

Duda często sięgał po patos („jestem człowiekiem niezłomnym"), Nawrocki wznosi patos na nowy poziom. Przedstawił się rodakom jako wybawiciel i – to neologizm Manueli Gretkowskiej – wybaczyciel („wybaczam całą tę pogardę", mówił). Jak policzył ironizujący ze wszystkiego portal ASZdziennik, słowa „Polska" w różnych odmianach użył w inauguracyjnym orędziu 83 razy. Internet mu zarazem wypomina, że nie przemawia, tylko krzyczy i pohukuje, jakby się szykował do ustawki albo pomylił Sejm ze stadionem („chłop z kibolstwa wyjdzie, kibolstwo z chłopa nigdy").

Największe emocje wzbudził w memotwórcach kadr z przemawiającym Nawrockim i słuchającym go Donaldem Tuskiem na drugim planie. Premier minę ma marsową. Stąd liczne internetowe wariacje: Tusk jako Robert Lewandowski (kapitan kadry, która wciąż ponosi porażki) ogląda triumfującą Igę Świątek (w tej roli Nawrocki). Albo: Tusk jako Zbigniew Herbert spogląda zazdrośnie na odbierającą Nobla Wisławę Szymborską... Itd. itp.

Kończy się w sieci era Andrzeja „Adriana" Dudy, ale jakaś nowa się zaczyna. Na razie sporo tu śmiechu przez łzy.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Iść na turasa

SŁOWO

W niedawną rocznicę wybuchu powstania warszawskiego najchętniej do zdjęć pozowali posłowie Konfederacji. Zdjęcia żyjących powstańców i powstanek w mediach społecznościowych zostały zepchnięte na bok przez sweet focie Ewy Zajączkowskiej-Hernik, starannie wystylizowanej, z płonącą racą i w koszulce Narodowych Sił Zbrojnych, oraz Sławomira Mentzena, również z racą, w T-shircie „Pamiętamy" (informatycy powiedzieliby o tym: „pamięć zewnętrzna") i z transparentem przypominającym o liczbie ofiar powstania. W dodatku pod berlińską Bramą Brandenburską. „A po Godzinie W chodziliśmy na wursty" – komentowano na platformie X. I dalej: „Albo kebsy u Turasa".

Kebs to po prostu kebab. Inaczej: kebsik lub kebabito, od lat jedno z najpopularniejszych dań w Polsce. Dwukrotny zwycięzca rankingu pyszne.pl na danie najchętniej zamawiane, przed pizzą, schabowym i cheeseburgerem. Z kolei frazę „kebsy u Turasa" popularyzuje dziś dodatkowo najnowszy utwór **Kizo** „SUV Boomer". „Jem swojego kebsa, nie muszę u Turasa" – chwali się gdański raper. I może to być nawiązanie do lokali w rodzaju opisywanego na naszych łamach Prawdziwego Kebaba u Prawdziwego Polaka (POLITYKA 30/18) albo pochwała domowej kuchni. Znacznie trudniej jednak z terminem „Turas". Według definicji ze słownika miejski.pl to po prostu „Osoba pracująca w barze z kebabem. Wbrew nazwie nie zawsze jest to Turek, najczęściej po prostu osoba ze wschodu o zauważalnej ciemniejszej karnacji". Już tu słychać, że rzecz może mieć wydźwięk lekceważący lub pejoratywny.

Do tego dochodzi problem ortograficzny: czy „Turasa" pisać wielką literą, jako Turka albo reprezentanta innego nieokreślonego narodu kojarzącego się z potrawą, czy jednak małą – jako nazwę potrawy, bo i w takim kontekście występuje. Zamiast „na kebaba" mawia się bowiem „iść na turasa". Pomylenie tych dwóch porządków („iść na Turasa") w dzisiejszej nerwowej atmosferze mogłoby zostać odczytane jako zachęta do rekonstrukcji odsieczy wiedeńskiej. Ale nie chciałbym podsuwać kolejnych pomysłów promocyjnych posłom Konfederacji.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Cały w Miu Miu na dworze stoję,
A Miu Miu boye teraz w modzie
MIÜ, miü miü, 2025 r.
Miu Miu – luksusowa marka odzieżowa z Włoch, do niedawna tylko kobieca

eprasa.pl 3e11af7a1e

Otwarta tego lata Via delle Valli, Droga Dolin, prowadzi w mniej znane zakątki włoskich gór – i ku bardziej zrównoważonemu modelowi turystyki.

W krainie świstaków

PODRÓŻE

To mój dom – mówi Debora Rambaldini. Stoi na kamieniu otoczona przez ciemnoszare turnie spowite strzępami obłoków i nakrapiane sinymi plamami późnych śniegów. Ze szczelin wyrastają kępy traw, fioletowe goryczki i bladożółte sasanki alpejskie, którym niestraszne są górskie wiatry i chłód. Deborze też nie. Leszczynowym kosturem z uwiązanym na końcu sarnim rogiem wskazuje kolejne miejsca w dolinie. – *Tam latem często widuję kozice* – wyciąga kij ku urwiskom Cima Cornisello. – *Tam jako mała dziewczynka zbierałam z tatą kwiaty. Mam je do dziś zasuszone w domu* – przesuwa wzrok ku ciemnej tafli Lago Nero, w której o świcie przegląda się łańcuch sąsiednich Dolomitów. – *A tam* – wskazuje bezimienny stawek nieopodal – *lubię położyć się na skale, zamknąć oczy i zasnąć z wiatrem na twarzy. To takie miejsce, gdzie przestajesz myśleć.*

Debora bywa w Val Nambrone od zawsze. Najpierw zabierał ją tu tata. Potem, jako studentka, prowadziła badania kozic. Od kilku lat jest leśniczką; na co dzień przemierza głównie niższe partie doliny, ale gdy tylko ma chwilę, ucieka bliżej skał i nieba. W tym roku została zaś ambasadorką Val Nambrone – w ramach otwartej w połowie lipca **Via delle Valli**. Sieć szlaków pieszych łączy 50 dolin i dolinek w okolicach Val Rendena i popularnej miejscowości Madonna di Campiglio.

– *Sama nie wiedziałam, że jest ich aż tyle* – przyznaje Loredana Bonazza z biura turystycznego kurortu i autorka pomysłu. Przyszedł jej do głowy na Camino de Santiago: urzekło ją doświadczenie codziennej wędrówki, zbierania pieczątek, poznawania świata z perspektywy piechurki. Zapragnęła odtworzyć to w rodzinnych stronach, tyle że w postaci sieci szlaków, a nie jednej długiej trasy, bo jednak nie każdy może pozwolić sobie na miesiąc urlopu. Via delle Valli także ma spójne oznakowanie, paszport do przybijania stempli, no i zaprasza do odwiedzania mniej znanych miejsc – zarówno przyjezdnych, jak i miejscowych.

Loredana przez całą zimę odwiedzała teatry w dolinie – istnieją w wielu miejscowościach, piątkowe i sobotnie spektakle to dla mieszkańców niemalże rytuał – i wraz z aktorami opowiadała o pomyśle. Zaangażowała też lokalne władze, przewodników górskich, klub alpejski Trydentu czy władze Parco Naturale Adamello Brenta, na którego terenie znajduje się ok. 80 proc. dolin. – *Jeśli chcemy zaprosić do nas przyjezdnych, musimy zrobić to razem, jako społeczność* – wyjaśnia.

Niekoniecznie chodzi o przyciągnięcie nowych osób. Półmilionową prowincję Trydentu odwiedza co roku ok. 6 mln turystów; niektóre zakątki, choćby Madonna di Campiglio, pękają w szwach. – *A przecież tuż obok są inne doliny, mniej znane, choć równie piękne* – przekonuje. Te w paśmie Dolomiti di Brenta urzekają fantazyjnie porzeźbionymi turniami i enrosadirą, czyli spowijającym je o zmierzchu różowawym blaskiem; te w granitowych masywach Presanelli i Adamello kuszą górskimi jeziorami i potokami. Z każdej z nich do Via delle Valli włączono jeden szlak, który najlepiej oddaje jej charakter.

W Val Nambrone Droga Dolin prowadzi nas ze schroniska Cornisello nad Lago Vedretta – wysokogórskie jezioro w zawieszonej na 2800 m n.p.m. niecce. Turkusowa tafla z dryfującymi bryłami szklistego lodu mieni się jak klejnot oprawiony w grafitowe granie i spełzające z nich jęzory zimnej bieli. W drodze powrotnej odbijamy w ścieżkę na Pian de Marmoti – Równię Świstaków. Pniemy się po górskiej łące spowitej miodową wonią różaneczników – i coraz gęstszą ciszą. Bezwiednie przestajemy rozmawiać; słychać tylko oddechy i chrzęst żwiru.

Nagle nasza przewodniczka Debora zastyga. Odwraca się z palcem na ustach, drugą dłonią wskazuje głaz przy ścieżce. Jest! Siedzi jak gdyby nigdy nic, rozgląda się, po chwili złazi i znika nam z oczu. Podczołgujemy się na czworakach na skalny próg, wyciągamy głowy. Przed nami zielona kotlinka obramowana piargami – tajemniczy ogród zawieszony między ziemią a niebem. A w nim rodzina świstaków: jeden gramoli się na skałkę i zalega jak sfinks, dwa kolejne kicają przez trawy. Patrzymy jak urzeczeni, patrzy też Debora – to na zwierzaki, to na nas. I aż promienieje – jak gospodyni, którą cieszy zachwyt gości. ■

Bartek Kaftan – dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.

© ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KAFTAN, ALICJA ROKICKA

Ten warzywny afrodyzjak, umiejętnie przygotowany, powinien chrupać w ustach i być słodki.

Afrodyzjak w sezamie

W sierpniu warzywniaki pękają od nadmiaru lokalnych produktów: boskich pomidorów, długich cukinii, kabaczków i dorodnych bakłażanów. Oberżynę uprawia się niemal na całym świecie, ale to roślina wymagająca. Potrzebuje ciepła i dużo wody. W Polsce nie jest tak popularna w uprawie, dlatego często sprowadza się ją z Włoch, Grecji czy Hiszpanii. Nie zmienia to faktu, że zdecydowanie lepiej jeść ją właśnie teraz, a nie w zimowe miesiące.

Ma wiele odmian. Podłużne, prawie czarne, białe w ciapki czy moje ulubione wielkie i okrągłe. Jak większość warzyw psiankowatych bakłażan jest niskokaloryczny. To niepozorne warzywo (a właściwie owoc, bo z botanicznego punktu widzenia bakłażan jest... jagodą) ma w sobie wiele prozdrowotnych właściwości. Jest bogaty w błonnik, potas, witaminy C i B6 oraz przeciwutleniacze, które wpływają pozytywnie na pracę serca, poziom cukru i cholesterolu we krwi. Uważany jest także za afrodyzjak.

Najlepiej wybierać solidne i twarde okazy. Bakłażan za długo przechowywany marszczy się, robi się miękki i nabiera nieprzyjemnego, gorzkiego smaku. Żeby pozbyć się nadmiaru goryczki, dobrze jest posolić bakłażany przed obróbką termiczną. Gotowanie czy smażenie jest ważne, surowe mogą nam bowiem zaszkodzić. Solanina w nich zawarta może powodować bóle brzucha. Dlatego może tak wiele osób za bakłażanami nie przepada. Nie ma nic gorszego niż podany półsurowy bakłażan, co często można spotkać w restauracji, np. na pizzy.

Najsmaczniejszy bakłażan to taki ugotowany na parze. Rozpływa się w ustach i nabiera lekkiej słodyczy. Wydobyć smak udaje się także poprzez smażenie – odpowiednio długo, by nabrał brązowej barwy i chrupkości.

Chrupiący smażony bakłażan już sam w sobie jest wyśmienity. Można podawać go z sosami albo kremem (na bazie twarogu lub tofu). Czosnek świetnie podbija smak potrawy i nadaje jej charakter, a czerwona cebula to ładny i smaczny element – z dodatkiem kwasu i soli staje się miękka i słodsza.

Tak przygotowane danie może stać się częścią większego posiłku. Świetnie sprawdzi się choćby podczas letniego pikniku. ■

KUCHNIA

Alicja Rokicka
– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Składniki:

- 1–2 bakłażany
- sól
- oliwa
- 100 g sezamu
- opakowanie tofu naturalnego
- 1/2 cytryny
- łyżeczka octu jabłkowego
- 2 ząbki czosnku
- 2–3 łyżki mleka roślinnego (opcjonalnie)
- 3 łyżki oliwy
- pieprz
- średnia czerwona cebula
- zioła do podania

Wykonanie:

- Przekrój bakłażana na ćwiartki lub ósemki, a następnie na mniejsze kawałki. Dobrze posól i zostaw w misce lub na ręczniku papierowym na 15 min.
- W tym czasie przygotuj krem z tofu. Tofu rozdrobnij i przenieś do pojemnika albo miski. Dodaj sok z 1/2 cytryny oraz łyżeczkę octu jabłkowego. Czosnek zgnieć płaską stroną noża i obierz. Dodaj do tofu. Zacznij blendować. Dolej oliwę. Jeśli jest taka potrzeba – to znaczy krem jest suchy i grudkowaty – dodaj odrobinę mleka roślinnego. Dopraw solą i pieprzem. Włóż do lodówki na 15 min.
- Cebulę przekrój na pół, a następnie w cienkie paski. Skrop sokiem z 1/2 cytryny i lekko posól. Dłonią wymieszaj składniki ze sobą. Cebula po chwili stanie się miękka i nabierze różowej barwy.
- Sezam upraż na suchej patelni i przesyp na płaski talerz. Bakłażan dobrze osusz ręcznikiem papierowym. Rozgrzej na patelni minimum centymetr oliwy. Ułóż bakłażan i nie ruszaj. Smaż 5 min, aż się mocno zarumieni, następnie przewróć na drugą stronę. Smaż ze wszystkich stron na złoto. Na chwilę przenieś na ręcznik papierowy, a następnie na talerz z sezamem – tak, aby kawałki bakłażana całe się nim pokryły.
- Na talerzu rozprowadź krem czosnkowy z tofu. Ułóż na środku kawałki bakłażana, posyp różową cebulą i ziołami. I już!

eprasa.pl 3e11af7a1e

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Co powie pierwsza dama

Marta Nawrocka nie będzie, wzorem poprzedniczki, milczącą pierwszą damą. A przynajmniej taki ma plan Kancelaria Prezydenta. Nawrocka jest funkcjonariuszką Krajowej Administracji Skarbowej i miłośniczką tańca. W kampanii wspięła się na Giewont z biało-czerwoną flagą. Teraz przed nią inne szczyty do zdobycia i nowy rozdział w życiu: w Warszawie i w asyście ochrony. **Czym się zajmie Marta Nawrocka i kto jej w tym pomoże, pisze na polityka.pl Katarzyna Kaczorowska.**

Czym zaskoczy Nawrocki

Kim właściwie jest Karol Nawrocki i dlaczego PiS oraz sprzyjające mu media widzą w nim mesjasza prawicy – to niektóre wątki rozmowy Karoliny Lewickiej z redaktorem naczelnym POLITYKI Jerzym Baczyńskim i jego pierwszym zastępcą Mariuszem Janickim. Zastanawiamy się też nad tym, kiedy i jak zakończy się żałoba strony demokratycznej, poobijanej i rozgoryczonej. Wakacje mogą się przydać. Podkast „Temat tygodnia" służy przykładem – wracamy we wrześniu.

O rety, HoReCa!

Miały być innowacje, a tu kawa i solarium? Awantura o wydatki z KPO, zwłaszcza w branży HoReCa (hotelarstwo, restauracje, catering), zelektryzowała sieć. Oburzają dotowane jachty i maszyny do kręcenia lodów. W naszym serwisie przyglądamy się sprawie w sposób niepopularny: na spokojnie. **Hanna Cichy i Aleksander Kierański (Polityka Insight) objaśniają, dlaczego oni wydatkami z KPO oburzeni nie są i co rząd może zrobić z tym rozlanym mlekiem.**

Trump lubi złoto

Prezydent USA otrzymał od szefa Apple dziwny prezent: szklany dysk na podstawce z 24-karatowego złota. W dysku wycięto logo z jabłkiem, wypalono nazwisko Trumpa, podpis Tima Cooka i napis „Made in USA, 2025". **„Cook nie pierwszy raz podlizuje się Trumpowi i nie pierwszy raz jest za to krytykowany. Warto jednak zrozumieć sens tej złotej szopki", zachęca na polityka.pl Michał R. Wiśniewski.** To nie jest zwykłe złoto, ale sztuka wyrafinowanej dyplomacji.

Biznes się kręci

Jak robić (skądinąd złoty) interes na kółkach do rowerów, wiedzą Yasu Matsunaga i Rafał Hornberger, założyciele firmy Dandy Horse, goście podkastu „Rowery, nie bajki" Juliusza Ćwielucha. Marka jest już tak znana, że zaczęła być podrabiana. W dzisiejszych czasach to znak sukcesu. Samo koło, choć wymyślone tysiące lat temu, to w kolarstwie rocket science. Szprychy, zapadki, bębenki, ratchety – kręci się od tego w głowie. A naszych rozmówców to kręci.

© PRZEMYSŁAW KELER/KPRP, MIKOŁAJ BUJAK/KPRP, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 3e11af7a1e

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 3e11af7a1e

PERGOLA
na miarę Twojego domu i ogrodu

selt by ALUPROF

- **Najkrótszy czas realizacji na rynku**
- **30 kolorów w standardzie**
- **Gwarantowana jakość** – ponad 10 lat doświadczenia w produkcji
- Dodatkowe akcesoria: oświetlenie LED, osłony boczne, czujniki pogodowe, smart home
- **Sieć wyspecjalizowanych partnerów na terenie całej Polski**

eprasa.pl 3e11af7a1e